

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO

TOM IV

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS

1930

JAN KASPROWICZ
Z CHŁOPSKIEGO
ZAGONU

KRAKÓW

1930

WYDAWCA

DZIEŁO

WYDAWCA

WYDAWCA

TOM IV

WYDAWCA

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

I. NA ROZDROŻU

Jesienny

Wiatr, bezlitosny, jak serc ludzkich sędzie,
W posępnym deptał obłędzie

Życia ostatki:

„Hej! hej! gdzie jesteś, ty wdzięku promienny,
Którym majowe szczyły się kwiatki?
Gdzie jesteś, kraso? Gdzie, płaszczu wiosenny
Wierzb i topoli?

Hej!...“

Tak wichher szydził z tej ziemi, z tej matki,
Co próżno słońca o litość błagała:

„O słońce, lej

Żary gorętsze po roli,

Nim umrze cała!“ —

A ona

Stała...

Sierocą

Tuli dziecinę do młodego łona,

Na którym wisi czerwona

Chustka persowa;

Łzy jeszcze w oczach nie zaschłe migocą,

Na piersi ciężka przechyla się głowa,

A z pod zawitki włos, spływając nocą,

Twarz jej owija

W cień —

Twarz, z której znikła gra kolorów zdrowa,

Którymi róża, ta dziewczca, pała
Śród rannych tchnień:
Dziś tu złamana lilja,
Jak na śmierć biała,
Samotnie
Stała.

A oto,
Jak ono ziele, nim je wichur potnie,
Wznosi znów głowę, nad wrotnie
Cięższe powieki:
Spojrzy w tę stronę, gdzie nadbrzeżne błoto,
Znacząc się śladem jakiejś czarnej rzeki,
Czołgać się zdaże ze żółwia ochotą
Ku zasępionej
Wsi.
I znów, patrzcie! jak rosiste ścieki
Zlewają kwiaty, tak jej lice złała
Ach! fala łzy
I aż na ręce spryszczonej
Srebrem zadrżała,
Gdy w burzy
Stała...

Zapewne,
Niżli to niebo, co się całe chmurzy
I świat, jak rozpacz, tak duży,
Gniecie ołowiem —
Niż zwiędłe trawy, niż szkielety drzewne,
Co nad jesiennem żółknieją pustkowiec,
Roniąc łzy czyste, ludzkim łzom pokrewne,
Dziś jej smutniejszy

Los...
Zapewne jeszcze ten, co serca zdrowiem
Igra, jak liśćmi ta wiatru nawala,
Szyderczy głos,
Ponad to błoto wstrętniejszy.
Więcej jej rzuciła,
Choć za nią
Stała.

„Dziewczysko!
Hej, chciało jej się tysiączną być panią!“
Tak te języki ją rania
Ostrzem trującym.
„Co dziś ją czeka? W chlewku legowisko
I kij i torba, boć, prawda! pod słońcem,
Pod bożem słońcem, gdzie równe jej psisko?
Tłuk! tłuk! nie więcej!
Tłuk!..
Dobrze ją sprawił! W swem chciwstwie piekącym
Każda w dostatki opływaćby chciała!...“
W duszy, jak huk,
Jak zawiść wichrów tysięcy,
Ta czeru jej grzmiała,
Gdy blada
Stała.

Jedyny
Syn bogatego nad wszystkich sąsiada
Codzień nadchodzi i gada,
Tuląc do siebie:
„Cicho, różyczko! o cicho! zdawiny
Wnet wyprawimy, jak gwiazdy na niebie,

Jak ten miesięczek nad nami, ten siny".
Wraz i do ojczuła:
„Stary wnet myśli wypocząć na chlebie,
Wnet moje ręce przejdzie huba cała,
Żenić się czas!”
I ojciec z zięciem już hula...
Wszystko widziała!...
Dziś — Izawa
Stała.

O Boże!
O miłosierny! Co za dola krwawa!
Toć się sam wiatr naigrawa
Z żalu dziewczęcia:
On innej ślubne przygotował łożę,
A ojciec w gniewy: „Nie dostanę zięcia!
Na wstyd ty w domu! Niech czart ci pomoże!
Biegaj ty sobie
W świat!”
Ach! lepiej było doczekać się ścieścia!
Czemuż jej matka nędzne życie dała!?
Nim doszła lat,
Czemuż nie legła ach! w grobie!?
Tak rozpaczała
I drżąca
Stała...

We świetle
Sama-ć się przepcha wśród syków tysiąca —
O tak! jak brzytwy tonąca,
Schwyci się życia.
Ale cóż pocznie to niewinne dziecko?...

Spojrzy... Za wioską, wśród trzciny spowicia
I wśród sitowia, co wieńcem się plecie,
Staw przeblyskuje,
Staw!
Naksztalt szarugi rozdartego wycia,
Burza w jej wnętrzu starganem zawrzała:
O Chryste! zbaw
Duszę, co sił już nie czuje!
Zmartwiała
Z tą prośbą
Stała...

A ślota,
Coraz ostrzejszą poświstując groźbą,
Ostatnim liściom swą kośbą
Życie odbiera
I na jej lice dżdżysty oddech miota,
Szarpie niebieską spódnicą i zdziera
Chustkę z jej ramion, wśród których sierota —
Dziecko, zapadło
W sen...
Oto się budzi, oczęta otwiera
I kwilić pocznie ta gołąbka mała,
A ona, hen!
Ku wodzie mając twarz zbladłą,
Jak skamieniała,
Nieszczęsna
Stała...

II. W KARCZMISKU

W karczmissku,
Stojącem w środku wioszczyny,
Na onem wzgórzu, skrytem w piasek siny,
Nad oną wodą, co płonie
W srebrzystym błysku —
W odbiciu tego miesiąca,
Który na niebios nieruchomym szczycie
Zwolna się w białych promyków koronie,
Jak w siatce, rusza
I wodę trąca
Owym promieniem, co spływa,
Jak nieszczęśliwa,
W tej nędzy ludzkiej zasłana topiele
Dusza —
W karczmissku jakie wesele
I życie!

„Od ucha!
Hej-że od ucha, ty stary!
Bo ci w te ślepie naleję opary —
W te maślankowe galki,
Że poznasz zucha!
Bo ci potrzaskam te skrzypce,
Jakem potrzaskał to szafsko w chałupie,
Że tydzień pewnie zbierałbyś kawalki!
A wy, kaczmarko,
Wlećcie tej rybce,

Co wej! na łokciu mi leży,
Kieliszek świeży!
Szparko
Żyć już nie warto!... Graj dalej,
Ty trupie!“

I w tany
Z rudą się Kaśką potoczy,
To tupnie nogą,
To rzeźko wyskoczy,
Aż mu się w górę podwieje
Skrzydło sukmany.
Za nim tłum chłopów, jak dęby,
Dziewek pękatych, jak nadrzeczne wierzby,
Gdy się z nimi rozpaśał, szaleje...
A lampka mała,
Szczercząc swe zęby
Z paszczęki mglistych odorów,
Jak z cieni borów
Szczerczą się blade w miesiącu paprocie,
Lala
Światło po dzikiej ochocie
Tej ciżby.

Więc pije
Kropelki potu z parobków
I onych dziewczek, podobnych do snopków —
Liże ten szat, co im zlewa
Czoła i szyje,
Rozcierwienione, jak cegły,
Które zrosiły drobne lzy deszczyka,
To nagie łokcie, jak gałęzie drzewa,

Chwyta dziewczynom
W uścisk przebiegły;
To szmatek chustki barwistej,
To znów rzęsy
Porywa kaftan niebieski w swą paszczę
Sinę,
To całe stado hulaszczę
Polyka...

W zakęcie,
Przy małym oknie, przez które
Spogląda miesiąc w tę szaleństwa dziurę,
Gwarzą staruchy-mądrale:
„Jak koń w chomonicie,
Tak człowiek w biedzie się strząsa,
Rad, że w niedzielę zajdzie na kwaterkę —
Na zdrowie, Kubo, na zdrowie, Michale!...
Ano! spojrzycie!
Jak strzępi wosa,
Jak się ten Szpera rozdyma,
Jak Kaśkę trzyma,
Widać, że biedy już wcale nie czuje —
Pijcie!
Ta dziewczka, znać oczaruje
I Szperkę.

Kobiecko
Ponoć schorzałe już do cna,
A on z tym tłukiem, niby wiedźma nocna —
Niech Bóg ma w swojej opiece
Babę i dziecko!...
Byłoby z nim dawniej inaczej,

Ale to prawda: człek płynie po życiu,
Jak łódź rzucona po zarosłej rzece.
Gdy raz się zdarzy,
Że się zahaczy
W gęstych zaroślach biedy,
Cóż sobie wtedy,
Choćby się cały, jak rana, oropił,
Waży?...
Tak i on z nędzy zatopił
Mózg w piciu!...

A listki
Białej za ścianą topoli,
Kiedy ją powiew ku sobie niewoli,
Że mu oddaje swe łono,
Jakby lubystki,
Lub innych czarów wypita —
A rosa-ć tylko, która z niebios spada,
Kroplami poi młodziuchę zgwałconą —
Bijąc w okienko,
Poszumów siła
Łączą z tym gwarem, z muzyką
Jękliwą, dziką,
I niby szeptem, tak żalosną straszą
Męką:
„O biadaż- z dolą-ci naszą,
O biada!...”

„Od piekła
Prawdziwie jesteś, rzempolo!
Myślisz zapewne, że duszę ci golą,
Jak mysz zleniała, wypocę?!

Skrzypka się wściekła:
Zwolnij-że z tonu, da! zwolnij,
Da! okrągłego, da! pójdę, jak w młynku!
Hej! dri-é ja harał, hej! harał ja noce,
I cóż wyharał?...
Wódki wygolnę!
Wczoraj wygnali z roboty;
Mój Boże złoty,
I cóż ja zrobił, żeś dzisiaj tak nędzę
Skarał?
Na łeb, kto zadrze, wypędzę
Z szynku!..."

Wtem chłopię
Zdarte do izby się ciśnie,
Błademi oczki naokoło błysnie,
I, zadyszane, płonące,
Jakby w ukropie,
Pociągnie Szperkę za ramię:
„Tatusiu! matka już kona! jak płatki
Tak wej! już zbladła, jak łopian na łące,
A wy tańczycie!
Chodźcie, nie kłamie!” —
„A niech cię piorun zabije!
Niech ona zgnije!
Czarci już „wszystko w naręcze zgaręli,
Życie
Niechby i twoje też wzięli
I matki!!“

I noga
Kopnie dzieciaka, jak czasem,

Gdy coś ci serce napoiło kwasem,
Kopniesz ten kamień, co leży
Bez win nad drogą;
Aż Jaluś jęknął nieboże,
Jak ten chojarek, gdy węń na podgaju
Byk rozsierzdziony bokami uderzy;
Aż w całym tłumie,
Jak wiatr w rozgworze
Z dębami, zaskrzypią głosy —
Jak drżą niebiosy,
Niebiosy mgliste, zasępione, sine,
W szumie
Ptaków, lecących w godzinę
Wyraju...

„Ha! trudno
Patrzyć na takie pastwienie...
A ty psi synu!!!“ „Hej! kto się tu żenie,
Temu pamiątkę ja sprawię,
Duszę paskudną,
Jak trzew wyciągnę mu z brzucha!..."
„O my się ciebie nie boim, ty zbrodniu!“
I wnet ta ciżba, równa ciemnej ławie
Bijącej wody,
Albo jak po dniu
Parnym, piorunna ta burza,
Pijana nurza
W pięściach przemocy pijanego jeńca —
Gody
Wyprawia, gdy szaleńca,
Przegłucha!...

I skrzyпки
Od razu zmiłkły sosnowe;
Tylko ciemiega, miesiąc siwą głowę
Wsuwał do wnętrza izdebki,
Gdzie rozgwar chryпки
Łączył z wyziewem się wódki
I z tą poźółką, mglistą lampki przedzą
W szmat jakiś szary, cuchnący i lepki...
Tylko z topolą
Wiatr, jakby smutki
Siadły mu w końcu języka,
Zda się, przenika
Ścianę skargami — któż zgadnie nad czyją
Dolą?...
Nad nędzą ludzką!... Hej, żmijo!
Hej, nędzo!...

III. POD KRZYŻEM

Siła jeszcze godzin przejdzie,
Nim ranek zadnieje;
Siła jeszcze, nim zakończy
Swoją podróż krwawą,
A tu wicher coraz mroźniej
Od północy wieje,
Coraz silniej w oczy sypie
Śnieżystą kurzawą.
Zgasły gwiazdy, które wczoraj
Tak jasno świeciły,
I gdzie droga, trudno znaleźć
W strasznej zawierusze,
Nawet wierzby kędyś znikły,
Gdzieś za mgłą się skryły:
Trzeba będzie lzy wypłakać
I wypłakać duszę,
Ach! bo siła godzin przejdzie
Nim ranek zadnieje,
Siła jeszcze, nim zakończy
Swoją podróż krwawą.

Była sługą w pańskim dworze —
Toć to chleb powszedni,
Który chłopskie dzieci gryzą,
Choć je chleb ten dławi;
Bo cóż poczną na dwóch morgach
Ci rodzice biedni,

Gdy żołądek prawie jeden
Całe żniwo strawi?
Często zboże grad pobije,
Często zmoczą deszcze,
Na przednówku głód dokucza
I nadzieje płonne,
A tu jeszcze czynsz opłacić,
Do kościoła jeszcze
Kupić świecę, chrzest wyprawic
I dać na podzwonne...
Więc też dzieciom na dwór pański! —
Toć to chleb powszedni,
Który chłopskie dzieci gryzą,
Choć je chleb ten dławi.

Nieraz kwiatem zapłonęły
Grusze w dworskim sadzie
I znów nieraz liść powiędły
Gdzieś tam w polu ginie,
Na obdarte, nagie drzewa
Zima lód swój kładzie,
A jej w służbie czas jak płynął,
Tak płynie i płynie.
Wybijała w roślą dziewczkę
O rumianej twarzy,
O przezdrowej, silnej piersi
I o twardej dłoni;
Choć trza nieraz nagiąć krzyża,
Choć się dłoń odparzy,
Znosi wszystko i za strawą
Krańniejszą nie goni —
I tak kwitły rok za rokiem

Grusze w dworskim sadzie,
Rok za rokiem liść powiędły
Gdzieś tam w polu ginie.

Wtem na wiosnę panicz przybył —
Opuścił stolicę,
Gdzie go gładcy ludzie gładkich
Uczyli zwyczajów —
Czas mu wrócić: Dziedziec stary
Wnet zamknie żrenice,
Przytem syt już wszelkiej wiedzy
I syt obcych krajów.
Spodobalo mu się zdrowie,
A chłopska dziewczyna
Niech się tylko dębem stawia,
Niech się wzdryć podroży,
Gdy ksiądz proboszcz krnąbrne sługi
Z ambony przeklina,
Pani głodzi, a ekonom
Harapem batoży;
Cóż dopiero taki panicz,
Co zwiedzał stolicę,
Gdzie gładcy ludzie gładkich
Uczyli zwyczajów!

W chlewie zlegnąć jej kazali,
Dali garść barlogu —
Cudzołożnej to wystarczy —
I za czas choroby
Odrącili jej zastugi —
Toć przecież po Bogu
Karać grzechy — i wygnali...

Wszystkie swe zasoby
Zawiązała w róg fartucha
I dziecię fartuchem
Owinawszy do swej piersi
Niewinne przytula
I tak żegna się z tem miejscem,
Lodowem i głuchem,
Gdzie ubili ją pod okiem
Niebieskiego Króla:
Gdzie jej w chlewie zlec kazali,
Dali garść barlogu
I zasługi odrzucili
Za czas jej choroby.

O ty świecie, pełen fałszu,
Wytarty obłuda,
Pomarszczony, żółkły świecie,
Co kłamiesz modlitwą,
Kłamiesz śmiechem i łzą kłamiesz!
Swoją ręką chudą
Czyjej ty się dotkniesz piersi,
Temu lepiej brzytwą
Pierś rozkładać i psom rzucić
Zakrwawione serce!
W czyje usta ty się wpijasz
Swą lodową wargą,
Temu lepiej wstrzymać oddech,
Życia skrę po skierce
Gwałtem stłumić, by płomienną
Nie wybuchły skarga —
O ty świecie, pełen fałszu,
Wytarty obłuda,

Zimny, żółkły, który kłamiesz
Łzą, śmiechem, modlitwą!

Nogi mdleją, twarz się ściąga,
Mgłą zachodzą oczy,
Trzeba spocząć choć na moment,
Nim dojdzie do celu;
Nim przed matką swoją boleść
I swój żal wytoczy,
Ach! bo matka zawsze matką
W smutku, czy weselu!...
Pewno przyjmie i przebaczy,
Rozgrzeje skostniałą
I, jak moźni, nie wypędzi
Chociaż z biednej chaty:
Pragnęłaby do matuli
Lecieć duszą całą,
Jako wichur ten, co wieje,
Lub jak ptak skrzydlaty,
A tu nogi już się trzęsą,
Mgłą zachodzą oczy,
Trzeba spocząć choć na moment,
Nim dojdzie do celu.

O mój Boże! mocny Boże!
Toć to krzyż jej znany,
Przed pięcioma jeszcze laty
Stroiła go w wieńce!
Niedaleko też i wioska,
Matki dom ciosany,
Gdzie raz pierwszy na jej twarzy
Zakwitły rumieńce!

Tu się oprze i wypocznie
Na małą chwilę
I dziecię snąć umarłą
Do życia dochucha.
Potem kroku wzdyć przyspieszy
O rzeźwiejszej sile
I matczynych słów pociechy
Rzeźwiejsza wysłucha...
O mój Boże! mocny Boże!
Toć to krzyż jej znany
Przed pięcioma jeszcze laty
Stroiła go w wieńce.

Widzi matkę: chce ją witać,
Ramiona otwiera,
I przebacza ciężką winę. —
Ona odpoczywa...
Chleb podaje i polewkę,
Przytem taka szczera,
Tuli dziecko i zziębniętą
Do kominka wzywa...
Ona ciągle odpoczywa —
Chce wyciągnąć ręce,
A tu ręce jak skostniałe —
Ona odpoczywa...
Chce przemówić, a tu usta
Jakby niemowlęce,
Tylko jeden cięższy oddech
Z ust jej się wyrzywa —
Widzi matkę: chce ją witać,
Ramiona otwiera

I przebacza ciężką winę —
Ona odpoczywa.

Siła przeszło gorzkich godzin,
Poranek już dnieje,
Siła przeszło, ona podróż
Zakończyła krwawą.
Wiatr już teraz od północy
Tak groźnie nie wieje
I już w martwe oczy śnieżną
Nie sypie kurzawą.
Nic jej zorze, co tak będą
Znów jasno świeciły,
I nic droga, której ślady
Znać po zawierusze.
Nic jej wierzy, co się teraz
Z za mgieł wychyliły:
Wyplakała już łzy wszystkie,
Wyplakała duszę —
Siła przeszło godzin ciężkich,
Poranek już dnieje,
Siła przeszło, ona podróż
Zakończyła krwawą.

IV. SZŁY ZBIERAĆ KŁOSY...

Szły zbierać kłosy...

Rankiem sierpniowym, zaledwie te rosy,
W które się żółte operliły rżyska,
I ona trawa, co smaragdów końce
Śród nich przeciska,
Wypilo słońce;
Rankiem sierpniowym, tej wczesnej godziny,
W szerokie pole, haj! w to pańskie pole,
Na którym widać, swe całe półkole
Oparły wielkie niebiosy,
Szły kobieciny,
By zbierać kłosy...

Jako te zielska,
Co nakształt płazu wloką swoje cielska,
Albo jak głogi, gdy je wiatr ku ziemi
W onem pustkowiu, co jesień już wróży,
Gnie dłońmi swemi,
Rękami burzy,
Tak się te nędzne kobiety chyliły
Po ten-ci nędzny dorobek... Zdaleka
Do płazu więcej, niżli do człowieka
Pogięte kobiet tych cielska
Podobne były —
Tak, jak te zielska...

Krwawe to kłosy!...
Zbliż się i spojrzysz, co za potu rosy,

Jak z onych liści i jagód głogowych,
Płyną z tych twarzy, by ogień czerwonych,
Od zgieć niezdrowych,
Od tchów tłumionych!
Patrzaj na ręce, na te bose nogi,
Które podwita odsłania ci kiecka:
Jakby różgami zsiekane kobiecka —
A już-ci ślą i niebiosy
Swój żar złowrogi
Na krwawe kłosy...

„A wej! słyszycie!...
Ja ci już resztę wydałam na życie...
Chłop, Bóg wie, gdzie tam poszedł za robotą,
Ani nie pisał... może zmarniał, może...
Aleć nam o to,
Mój mocny Boże,
Trudno w tej biedzie się troszczyć!...“ „Zapewne
I człek sam w nędzy, jak brzoza się zgina...“
„Eh!... a cóż wam-ci?... przecie macie syna,
Zapłaci wszystko sownie,
Lecz mnie — ni krewne...
Tak! tak! słyszycie!...“

Niech je te kłosy!...
Jakby je wszystkie pożarły wej! rosy;
Jakby ci kto je wylizał!... Hej! snopków
Nie zbierzem tutaj, gdzie te żdźbła się gonią:
Od tych dorobków
Niech święci bronią!...“
„A co? jak pan nas najedzie?...“ „Cóż z tego?
Przecież baciorem, jakby jaka plaga,

Za oną-ć słomkę zaraz nie wysмага?!
Czy to wej! jakie pokosy?
To dla biednego,
Gdy padną kłosy!...

Swój-ci to jeszcze,
A swoi-ć pono są jak one deszcze,
Które dla roli potrzebne... Z pewnością,
Choćby i przyszedł, to na pustym łanie
Tym naszym kościom
Da zlitowanie...
„Patrzta, kobiety, patrzta, wilk-ci w lesie,
A o nim mowa...” „Któż to chamskie dusze
Tak wam pozwolił?...” „Toć to ino proszę!...”
„Ja się tu z tobą popieszczę,
Ty chamski biesie —
Ty szydzisz jeszcze?!...”

„Za marne kłosy?!...”
„Wielmożny Panie! jak na kwiat, tak rosy
Spadną na ciebie z tej niebieskiej góry,
Gdy coś też biedzie...” „Złodzieje! lajdaki!
Ja z waszej skóry
Zrobię przetaki...”
„Jaśnie wielmożny!...” „Kobiecka! i wy to
Jeszcze do kolan padacie takiemu?
Te swój?!... to swój jest?!... paniczu! po czemu
Masz ty krew ludzką?... Niebiosy
Dadzą ci myto
Za marne kłosy!...”

I jak pszenica,
Której słoneczko opaliło lica —
Zanim od ludzkiej jeszcze padnie ręki —
Wpatrzona w niebo gorące, iskrzyste,
Tylko swe pęki
Zgina ziarniste;
Tak ta kobieta, dotąd w kablak zgięta,
Wystrzeli w górę, chwiejąc głową tylko,
Cięższą tem ziarnem, tej rozpaczy chwilką —
A żarem płoną jej lica —
Jak ta nieścięta
Jeszcze pszenica...

„Weź ty swe kłosy!...”
Pójdźma, kobiety!... Ale tobie rosy,
Wyżrą te ślepie, paniczu!... paniczu?!...
Ty psie plugawy!... bij! bij! grzbiet ten stary,
Aż po obliczu
Spłyną mi wary
Od onej w krzyżach boleści
.
.“

V. OSTATNIA POCIECHA

„O dziecię moje, o dziecię!
Niech cię wszechmocny Bóg —
Niech cię sam Pan Bóg prowadzi we świecie
Śród owych dróg,
Co, jak to mówią, do krwi samej ranią
Nogi swą gruda,
Co je walają kałem swego błota,
Me dziecię!
Chociażby poszło ci gładko,
Choćbyś się nawet stała jaką panią,
Że ino klękać wej! ludom
Przed wielmożniczą, pamiętaj, że matką
Twoją sierota.

Nieboszczyk ojciec — świeć, Chryste.
O świeć na wieki mu,
Za jego życie tak, jak kryształ, czyste —
Gdy nie miał już tchu,
Gdy na tem łóżku, niby pieniek ścięty,
Leżał przed końcem
Jeszcze ostatnie wymówił wyrazy,
Mój Chryste:
„A miej, kobieto, baczenie!
Niechaj ten kwiatek, z miłości poczęty,
Pod bożem rośnie ci słońcem,
Ludziom na korzyść, sobie na zbawienie,
Bez żadnej skazy!”

Oj, pomnisz sama zapewne:
Jak dziś był, smutny czas!
Obieśmy we łzy wybuchnęły rzewne,
Że rzucał nas,
Że nas opuszczał już ojciec na wieki...
Jak dziś, tak padał
Ten błąd śnieżek, jak ta śmierć, tak błąd —
Zapewne!
„Ulisia! moje ty serce,
A słuchaj matki, kiedy ja w daleki
Kraj już odchodzę” — tak gadał
Jeszcze ci ojciec — „nie miej w poniewierce
Matezynie rady“.

Córuchno! złota córuchno!
Prawda, mówiłam ci:
„Zgódź się tu we wsi” — „A dyć, niech ci spuchną
Te boki... ty!...”
„Nie kop gadziny... i kot ma swe czucie,
Niby się łąsi
Z onej żalości, że precz idziesz z domu,
Córuchno!...
Kyzia!... o marne ty moje...”
Mówiłam tobie: w mieście jest zepsucie —
Wiesz, co się stało tej Kasi,
Więc się też, dziecko, i o ciebie boję,
Lękam się sromu.

Chcesz mieć swą prawdę koniecznie,
Więc idźże z Bogiem, idź!
Ale pamiętaj, jak jest niebezpiecznie
We świecie żyć,

Ostatnia moja pociecho!...“ „Matulu!
Toć wy mnie znacie,
Wiecie, matulu, że mnie o was chodzi
Koniecznie:
Lepszy zarobek... Aż dreszcze
Mnie tu wej! biorą... Człowiek, choćby z bólu
Prawie umierał po stracie
Bóg wie tam jakiej, wyskoczyłby jeszcze,
Tak on zawodzi...

Słyszcie, matulu, z gościńca
Niby muzyka ta!
Same aż nogi wyprawiają młyńca.
Tak walenie gra!
Ciekawa jestem, kto to majster taki?
Czy Bartek Szyba
Miałby tak naraz wygrywać Jagusi
Z gościńca?
Bo to, widzicie, do czasu
Niby nie słyszał w karczmisku — „Złe znaki“ —
Gadają ludzie — „jak ryba
Dawniej dziewczyna, teraz, jak od kwasu,
Tak się wej! krztusi...”

Mówią, że stara gościnna,
Jak ten nasz siwy kot,
Pewnego rana do Bartosza, zwinna,
Pobiegła w lot,
Że mu prawila: „Córkę-ś odarł z cześci —
Żenić się trzeba!...”
I miała słuszność ta przy sobie stara
Gościnna;

„Wprzód niby też tak... a dalej...” —
„Ulisia! skądże ci naraz się mieści
Ten rozum w głowie?! Oj! z nieba
Patrzy sam Stwórca... lecz to na mnie zwali
Jego się kara...”

O rety! Chryste, o rety!
Nademną litość miej!
Na onym sądzie, nieboszczyk kobiety
Wyprze się swej:
„Tyś” — rzecze do mnie — „tyś ją zatraciła!”
Boże jedyny!
A jam ją strzegła, tak, jak oka w głowie —
O rety!
Nie top rodzonej w żalobie,
Zostań, Ulichna! siła złego, siła
Dla takiej, jak ty, dziewczyny
Jest w onym mieście... hej! nie wyjdzie tobie
Służba na zdrowie!...

Tak ci się palą te oczy,
Żywym się ogniem skrzą...”
„A nie dziwota! kulawy wyskoczy
Wej! z krokwią swą
Na tę muzykę, a cóż, gdy człek kości
Ma jeszcze świeże —
Zaskrzyłyby się nawet półślepemu
Te oczy!
Na nutę skrzypce, psie-juchy,
Rzną! Stałaś moją się w onej ciemności.
W onym sadeczku...Drzyj pierze

Na poduszczykę, da, gotuj pieluchy
Maluteńkiemu!"

„Ulisia! słyszysz, Ulisia!
Ani się waż mi na krok!
Zostaniesz w domu!..., „Czy ja jaka psina,
Żeby tak w skok
Zara „do nogi“ wam robić?... Myślicie,
Że ze swej gęby
Będzie czyniła cholewę prawdziwą
Ulisia?
Wzięłam zadatek, więc idę...
Zostańcie z Bogiem, matulu!... choć życie
U „państwa“ przewrócę na ręby,
Nic wam do tego... baczcie na swą biedę,
Bądźcie szczęśliwą!...”

VI. Z NIZIN

Brukowali ulicę... Z okna mej izdebki
Na grono pracujących codziennie patrzałem:
Robiło ich coś sześciu, a każdy z nich, krzepki,
Uderzał mnie postawą i żyłastem ciałem.
Nie łatwa to snąć praca od rana do zmroku
Ubijać twarde głazy żelazną maczugą,
Gdy ludzie takiej siły, ze krwią w bładem oku
I z czołem żyłowatym, zlanem potu strugą,
Milczeli dziwnie wszyscy — nikt słowa nie rzecze
I nikt się z tych olbrzymów głośnie nie poskarży,
Że dzień się nie chce skończyć i że słońce piecze,
Że pot kroplami ścieka z zakurzonej twarzy.
Snać pracy ich konieczność ujawszy w swe kleszcze,
Na usta im żelazne złożyła pieczęcie,
Że choć ich kości zmęczeń przenikają dreszcze,
Choć serce bije spieszniej, ci milczą zawzięcie.
Po łokcie zakasawszy zbrudzone koszule
I czapki w tył zsunawszy na spalone karki,
To wznoszą, to spuszczały centnarowe kule.
Aż nogi im się chwieją, aż się chylą barki.
A każde uderzenie jakiś takt wydzwania,
Co falą jednostajną w serce mi się wciska,
Jak wicher, który kłosem ostatnim pogania,
Jesienią, wśród pustego, owsianego rżyska.
Na dźwięki tych uderzeń nikt się nie odzywał,
Policzki tylko drgały i wypiękle wargi,
A z piersi ich kosmatych cichy jęk wypływał,

Co więcej opowiada, niżli słowa skargi...
W południe zwykły obiad: kartofle i śledzie;
Czasami talerz ryżu, kraszonego sadłem;
Raz nawet kawał mięsa widziałem — ach! w biedzie
Jest mięsa kawał szczęściem, dla was nieodgadłem!
Pewnego dnia pamiętam, byłem klótni świadkiem:
Z nich jeden rzucił talerz swej żonie pod nogi.
Snać obiad nie smakował... „Ha! pewno ukradkiem
Był jaki byk u ciebie! Strącę ja mu rogi!
Nie miałaś czasu lepszej ugotować strawy,
Ty suko! ty gadzino! ty nędzniczo wstrętna!
Uliczna łapipolo! Tutaj pot ja krwawy
Wylewam, ty na pracę moją obojętna!...”
Ja nie wiem, ile prawdy mieściło się na dnie
Kaluży tych podejrzeń; wiem jedno, że nędza
Podżega namiętności, ludzkim sercem władnie,
Jak gdyby uwikłała szatańska je przędza;
Że z ludzkich serc krzemyków, gdy je los połączy,
Potrafi nędza krzesać taki żar płomieni,
Że sypią się i sypią, pokąd prąd ten rączy
Nie strawi ich i głuchych nie sprowadzi cieni,
Przez które złote szczęście nigdy nie dociera;
Gdzie żaden kwiat barwistem nie płonie weselem:
Z męznego tutaj łotr się staje bohatera,
A ten, co byłby zbawcą, bywa niszczycielem.
Tu dwoje serc, skowanych małżeńskimi śluby,
Jak dwoje nieraz bydląt, w jeden wóz wprzagniętych:
Choć miłość tak wszechmocna, tu krótkie rachuby;
Tu gad się rychło gnieździ pośród uczuć świętych;
Tu życie tak się płacze, jak dwie wrogie myśli,
Zrodzone w jednym mózgu, jak dwa bicia wrogie
W jednego serca głębi... Ci, co jaśni przysli,

Wychodzą tu stąd brudni!... O, wy losy srogie!
Był jeden między nimi, któremu w południe
Nie nosił nikt obiadu... Zresztą, jak i drudzy,
Miał piętna twardych znojów; widać życia grudnie,
Śród których kroczą losów nieprzyjaznych śludzy,
Niejeden raz mu ciało i duszę ranily.
Wydawał się ten człowiek, jak ów jesion stary,
Co, dawno postradawszy czar zielonej siły,
Za wolą wiatrów jęczy nagiemi konary —
Jak jesion, który grzbiet swój pochylił ku ziemi
I płacze łzami rosy nad znikłą urodą,
A jednak nazbyt silny, choć między młodem,
Ażeby już na zawsze paść spróchniałą kłodą.
Gdy przyszedł czas obiadu, uchodził na stronę,
Kładł na bok swoją kulę, na kamieniach siadał,
Odwijał chleb z kobiałki i kromki zwilżone,
Zapewno octem z wodą, spokojnie zajał,
A potem na kamieniach, włożywszy pod głowę
Kamzelę, legł, jak inni, na spoczynek krótki...
Patrzałem na to wszystko i me serce zdrowe,
Ja nie wiem, jakieś dziwne ogarniały smutki.

Wracając raz do domu w południowej chwili,
Zwolniłem trochę kroku, widząc kamieniarzy;
Snać właśnie wypoczynku godzinę skończyli,
By znowu jąć się pracy, choć tak słońce parzy.
On jeden z kamiennego nie wstał legowiska,
Spragniony, widać, bardziej rozkosznego źródła,
Co, jako deszcz dla żyta zwiędłego, wytryska
Ze źródła snu dla duszy powiedleń wśród znoju,
Wtem któryś z nich, śpiącego szarpając za koszulę,
„Nu, auf, Sie alter Pollack, s'ist schon Zeit!” zawoła;

I wstał, zakasał rękaw, schwycił ciężką kulę:
I znów się nogi trzęsały i pot kapał z czoła.

„Nu, auf, Sie alter Pollack!...“ Te szydercze słowa
Ze serca najtajniejszej nie płynęły głębi;
Na dnie natury ludzkiej jeszcze żar się chowa,
Którego świat dzisiejszy lodem nie wyziębi;
Rozpali on się w płomień, tak jasny i wielki,
Że światłem swem ogarnie wszystkie świata końce,
Roztopi ludzkie serca, dziś mroźne kropelki,
I zleje w jedno morze. W niem braterstwa słońce
Wciąż będzie swoje kształty kapalo dziewicze,
I, blaski na toń morza śląc z niebieskiej góry,
I, znowu fal serdecznych dźwięki tajemnicze
Na skrzydłach złotych blasków unosząc nad chmury,
Wieczystą między niebem i ziemią harmonję
Przypływem i odpływem sił wspólnych wytworzy.
Upoją-ż i mnie jeszcze tej rozkoszy wonie,
Nim serce me w mogiłę na zawsze się złoży?
Na dźwięki swojej fali, gdy samotna bije,
Owiana ciepłym wiatrem tej myśli uroczej;
Gdy szumi, jak to źródło, które skała kryje,
Zamknięta przed dusz zwykłych zamglonemi oczy —
Usłyszy-ż moje serce echo, tak olbrzymie,
Jak przestwór, który ziemię od niebiosów dzieli,
Jak przestwór ten bez końca, w którym wszechświat
drzymie,
Zatopion w snach gwiazdzistych na mgławiej pościeli?
Tak głośnie, jak złęczone traw i kwiatów szumy,
Szelesty drzew, jęk jezior, rozchuki potoków,
Płynących z gór fal białych spienionemi tłumy?
Jak trzaski tych piorunów, co się rwia z obłoków,

Podartych w szmat błyskawic ognistymi szpony?
Jak wszystkich tworów wszystkie tchnienia i odgłosy;
Jak żal i radość czeleka, wszechstworzeń korony,
Co duchem swoim wzlata, jeśli chce, w niebiosy?
Tak dźwięczne jak melodia, która z sfer tych płynie,
Gdzie szumią wieczne ruchy światów miliona,
Kraążących wśród swych orbit w wieczności krainie —
Melodia, która w serce wnika i z niem kona?
Niech stawia mnie przed sędzią, co litością zdjęty
I prawdy jej przecuciem, „Tego czy Barnabę?“
Zawoła do tej tłuszczy; niechaj tłum zawzięty
— Zapewne los najsroższy — wskazując na słabe,
Stargane moje kości i na lęz w mem oku,
Zakrzyknie: „Na fałszywym pomścij nas proroku!
Ukrzyżuj go! ukrzyżuj! a puść mężobójcę!“
Niech znoszę trud najkrwawszy i gminu pogardę,
Na krzyżu niech umieram, jeśli tego trzeba;
Niech w bok mi wbiją oszczep, w ręce gwoździe twarde,
Lecz niechaj chociaż przedsmak czuję tego nieba...
A przyjdzie czas! o, przyjdzie! Wszak nawet wyrazy,
Topiące mnie na chwilę w zmrok właściwy grobom,
To tylko zwykła sprzeczność natury bez skazy
I życia sił zewnętrznych, które walczą z sobą...
Podjęli go z ulicy — zbliżył się zbiedzony:
„Już kilka dni nie jadłem; w gorączkę i słotę
Z dalekiej tu się dotąd przybłąkałem strony“ —
„Ach! dieses arme Luder“ — i dali robotę.

Czekałem, aż w mogiłę słońce się zapadnie,
Rzuciwszy swych pałaców lazuruw górę;
Aż niebo, co swem berłem ponad ziemią władcze,
Okryje się w królewską wieczoru purpurę.

Czekalem, az zamilknie gwar i huk fabryczny.
 Az zamrze, choc na chwile, zycie na tym rynku.
 Gdzie krew swa musi dawac za bezcen tłum liczny—
 Az przyjdzie „fajerabend“, godzina spoczynku.
 A potem, kiedy prace rzuca kamieniarze,
 Zwracajac swoje kroki tam, gdzie serce blogo
 Zaczyna bic, gdy czlowiek ujrzy mile twarze,
 Przyblize sie do niego — wszak nie mial nikogo —
 I „skad Wy?“ wnet sie spytam, traciwszy go w ramie.
 Odwrocil sie zdumiony i nie wyrzekl slowa,
 Lza tylko srebrna blyska: mial na twarzy znamie
 Czlowieka, w ktorym radość i smutek sie chowa,
 Zrodzone w naglej chwili. I do robotnika
 „A skad Wy?“ znowu pierwsze skieruje pytanie.
 Dopiero on: „Wy Polak?!... polskiego jezuka
 Od roku nie slyszalem, juz od roku, panie!
 Ja jestem z pod Prusaka — od Poznania jestem.
 A w Lipsku przeszlo tydzien...“ I potem swej doli
 Rozpoczal opowiadac historie — szelestem
 Pszenicy, kiedy wiedznie, lub jekiem topoli,
 Gdy wiatr ja obrabowal z wszystkiej mlodej krasy,
 A tylko pozostawil podarte lachmany —
 Ach! cięzkie mial ten czlowiek z losami zapasy
 I czarna krew plynela z niejednej mu rany!
 Fornalem byl pod panem i wiernie mu sluzyl;
 Utrzymał sobie krowe, mial chleb jaki taki;
 Lecz pan po ojcach wioske zbyt rychlo zadluzyl,
 Odprzedal ja Niemcowi i poszedl — w zebraki.
 Przyblęda gospodarke nowa zaprowadzil
 I zaczal wnet innego trzymac sie porzadku;
 Nasiagal kolonistow, na schedach osadzil,
 A wszystkich dawnych ludzi wypędzil z majatku.

On poszedl na komorne i jak mógł sie zbieral,
 Na zniwa kosil zboze miennych gospodarzy;
 Jesienia na fabryke, gdy sie czas otwieral,
 A zima szedl na mlocki... Ale los nie darzy
 Zbyt dlugo swoim szczesciem: Pomarli ojcowie;
 Toć trzeba ich pochowac, księdu mszę zaplacić,
 A skad tu wziac pieniedzy? — i bylo po krowie!
 Trza bylo na podatki wnet sukmanę stracic,
 Sprawiona w lepszych czasach, i na pośmiewisko
 Do bozej isc swiatyni w kamzeli obciętej!
 Nastawaly cięzkie chwile: cala zimę blisko
 Nie dostal nigdzie pracy, wiec ostatnie sprzety
 Do zyda! Oj zalowal — jak tu nie zalowac?
 Ktos mowil mu: „Tyś glupi! lepiej, bym napadli
 Po cichu jaki chlewik, niz tak wciąz harowac“.
 Kraść nie chcial... dzia i pradziad przenigdy nie kradli.
 Poslyszal, ze w obczyźnie jest chleba do syta;
 Ze zboza tyle rośnie, az go nikt nie zbierze,
 Ze placą za trud ludzki potrójne tam myta,
 Ze tam sie jako czlowiek zyje, nie jak zwierze.
 U krewnych pozostawil zone z dwojgiem dzieci —
 Przyjeli ja, cóz robic? toć to krew ich własna,
 A przytem, gdy zarobi, wyrwie wszystkich z śmieci,
 Sprowadzi ich do siebie, gdzie im gwiazda jasna
 Do śmierci świecić będzie — i szedl w obce strony!
 Namówion przez ajenta. Zawiodly nadzieje!
 I tutaj nie jest cięzszy żytni kłos złocony,
 I jarmzo tu nie lżejsze i tu pot sie leje!
 Robotę jakas dostal, gdyz tańszej jest placy
 Robotnik, sprowadzony z nędznej, polskiej wioski;
 Pracowal, ze az skóra schodzila od pracy,
 I troskal sie o swoich, ze az zółkl od troski.

Lecz trudno coś dla żony i dzieci odłożyć:
 Zarobku w obcej ziemi było ledwie tyle,
 By nędzny kąt zapłacić i samemu dożyć
 I czekać, aż szczęśliwsze zawitają chwile.
 Oj przyszły szczęsne chwile! Z chałupy pisali —
 Pisali: „umarł synek“. Ha! cóż robić! Boże!
 Łzę słoną otarł łokciem i pracował dalej —
 Napróżno tu się żalić; cóż tu żal pomoże?
 Wszak w tej tu obcej ziemi i w tej obcej chacie
 Nie było żywej duszy — wśród obcej rodziny,
 Do którejby się zwrócił: Ej, posłuchaj, bracie,
 Pisali: „umarł synek“ — mój synek jedyny!
 A zresztą płacz, narzekaj, wyrwij serce z łona
 I pokaż je skrwawione; trudź się, że aż w trudzie
 Oniemią zwiędłe usta — aż jęk wszystkich skona;
 Przemówią twarde głązy, nie przemówią ludzie.
 Pisali: „żona chora; powracaj do domu;
 Przed śmiercią chce się widzieć i pożegnać z tobą“ —
 Bo komuż raz ostatni ma otworzyć, komu
 Swą duszę i swe serce, stargane żalobą?...
 Ach! żona — droga żona! Tyle lat na świecie
 Biedolił się z nią razem w mrozie i wśród spieki,
 I miałbyż nie powrócić i biednej kobiecie
 Nie stulić sинеj wargi, nie zamknąć powieki?
 Opuścił więc robotę i dalej w swe strony,
 O kiju, zarabiając, tak jak mógł, wśród drogi;
 I szedł tak i pracował, i słaby, zbiedzony,
 Odparzył sobie ręce, poodparzał nogi.
 Czy dojdzie jeszcze na czas? czy zastanie jeszcze.
 Przy życiu, gdy przybędzie, swoją żonę miłą?
 Oj brały go tam dreszcze! Zimne brały dreszcze!
 Oj biło biedne serce! Chłopskie serce biło!

VII. SZWACZKA

Była szwaczką — znałem tę dziewczynę —
 Pracowała od świtu do nocy,
 O i nieraz przez noc aż do świtu
 Warr!... deptała — warr!... warr!... warr!... maszynę

A wśród warku maszyny i zgrzytu,
 Gdy godzina gonila godzinę,
 Gdy sztych znikał — sztych!... sztych!... sztych!... za
 sztychem,

By się skarżyć na los swój sierocy
 Nie zostało jej czasu chwileczki.
 Zresztą komuż się skarżyć? Niebiosom,
 Co patrzyły wąskimi skraweczki
 Przez jedyne okienko izdebki?
 Może słońcu, co złotym przepychem
 Will zamiejskich zdobiło fasady,
 Rubinową zlewało je rosą,
 Lecz tu w mieście, przez ten ciężar lepki
 Podwórkowych wyziewów, przez czarne,
 Gęste dymy fabryczne, przez zwarte
 Szczyty domostw, piętrzących się hardo,
 Nie umiało się przedrzeć na zwiady:
 Jakie płyną tu łzy nieotarte,
 Ile westchnień tu idzie na marne,
 Ile serc tu zdeptanych pogardą!
 Może z ludźmi podzielić się skargą?
 Dla niej ludzi nie było na świecie.

Któż z nich patrzy na brata lub siostrę,
Gdy na bracie lub siostrze rupiecie?
Często raczej godziły w nią ostre
Salonowych anielic wyrzuty,
Tak niezgodne z różowaną wargą,
Że chlamidka niedosyć jest grecką,
Trochę nazbyt zapiętą do góry,
Że haft jakiś niedosyć zesnuty...
I swawolną nieraz czuła rękę,
Gdy na pańskie, rozpieszczane dziecko
Przymierzała jedwabną sukienkę,
Za to złoty — to w sam raz dziewczusze!
Trzeba cnocie silne stawiać mury:
Zbytki rodzi zarobek nietrudny,
A w zbytkowej życia zawierusze
Jakżeż łatwo paść, gdy droga śliska;
Gdy występku obraz tak jest złudny,
Jakżeż łatwo piekielnemi śluby
Na wiek wieków złączyć się z występkiem!
Inni znowu, którym serce ścisła
Widok nędzy, przyodzianej strzępkiem,
Cóż pomogą swojemi rachuby,
Gdy wieczyste ze życiem zapasy
Na czynniejsze nie pozwolą wsparcie,
Prócz na ciche, milczące współczucie?
Więc też patrząc na drżącą z pośpiechu,
Jakby szpilek lechtało ją klucie,
Gdy sunęła na miasto z robotą,
Skinął głową i westchnął: „biedula!
Szkoda lat tych i szkoda tej krasy!
Szkoda... rychło została sierotą:
Los, co biednych tak smaga zażarcie,

Co w nędz ludzkich lubuje się echu.
Co jak-wieher północny wciąż hula
Na zmierzwionym lzą i krwią zagonie,
Podciął ojca, zanim dojrzał kłosem.
Matka poszła gdzieś we świat — do służby
Kto wie, jakim świat ją darzy losem,
Już tak dawno, jak nie daje wieści,
Może w troskach nieprzespanych tonie,
Może leje łzy, ode krwi krwawsze —
Świat maluczkich pieczętą nie pieści —
Może nędze przyszły dla niej w drużby
I złączyły ją z mężem — na zawsze...”

Prawda... Wiosny poranek różowy,
Co jest bytów rozwiciem, jest śpiewem,
Lechtającym tajemną głąb duszy,
Że się dusza, jak harfa, rozgrywa
W takt namiętny, rozkoszny, a zdrowy,
I ją owiał serdecznym powiewem.
Toć zwierz w polu i ptak w leśnej głuszy.
Robak w ziemi, ze stworzeń najlichszy,
Wskrós odczuwa wpływ słońca i wiosny,
Wskrós za słońcem i wiosną się zrywa,
Łącząc w płodny się sojusz miłosny...
Miałbyż człowiek się oprzeć tej sile?
Nawet nędza, co, jak szatan, wichrzy
W szlachetniejszych popędów harmonji
I szlachetnych na zbrodni pochyłość
Ach! tak łatwo posuwa — co w toni
Obojętnych wyrzeczeń zanurza
Ludzkich pragnień potężne okręty,
Nie powstrzyma miłości w zapędzie,

Nie pochowa natury w mogile:
Tak potężną w człowieku jest miłość,
Rozbudzona tak silną natura!...
Więc i szwaczka, rozkwitłszy jak róża,
Strojna w wszystkie młodości ponęty,
Skosztowała rozkosznej uciechy.
Miłość była spokojna i zwykła,
Tem silniejsza, że była spokojną;
Czysta, biała, jak pierze łabędzie
I łagodna jak obraz anioła:
Szał nerwowy i rozpacz ponura,
Pochylona, wybladła, i nikła
Której ojcem jest romans francuski,
Serc ich sztuczną nie dręczyły wojną.
On był tragarz, na śpichrz dźwigał wory,
Czyścił zboże i popychał wózki,
Ładowane chłopskich łez owocem.
Nie był piękny, jakkolwiek wesoła
Twarz poczciwość zdradzała i serca
Szlachetnego świeciła odbiciem.
Był jej ojcem w tem życiu sierocem,
Był jej sercem, jej duszą, jej życiem.
Każdy wieczór, po pracy, przychodził,
Przyniósł chleba i sera; z zarobku
Grosz odpadły jej dawał — wesele
Mieli za to wyprawić, gdy wiosna
Nową zieleń po ziemi rozściela.
Lecz los, świeżych nadziei odzierca,
Los, co żyto, nim wiąże je w snopku,
Tłucze gradem i kwiaty, nim sploną
Barw słonecznych rumieńcem, podepcę,
Bez litości w to szczęście ugodził...

Zawitała znów dola żałosna:
On, pod twardym naciskiem ciężaru,
Padł i życie zakończył w szpitalu;
Jej z chwilowych słodczy i z czaru,
Co wypełniał nadzieją jej łono,
Pozostała li gorycz, złudzenie,
Jutra straszna niepewność i żalu
Łzawy potok, tłumiony gwałtownie,
Za dobytek, dzieciątko w kolebce,
Wstydu krwawe, zapalone głownie,
I pobożna pogarda — za mienie.
Była szwaczką — znałem tę dziewczynę —
Pracowała od świtu do nocy,
O, i nieraz przez noc, aż do świtu,
Warr!... deptała — warr!... warr!... warr!... maszynę.

A śr..d warku maszyny i zgrzytu,
Gdy godzina goniła godzinę,
Gdy sztych znikł — sztych!... sztych!... za
[sztychem,

Nie zostało jej czasu ni chwili,
By się skarżyć na los swój sierocy.
Któż jej życie samotne umili,
Gdy najdroższych grób zamknął na wieki,
A dziecina w przytulku podrzutków?
Lżą zachodzą znużone powieki,
Pierś przytłacza ciężkie brzemie smutków —
Wszystko znosi w milczeniu przeciłem:
Może lepszych doczeka się czasów
I lepszego dorobi się chleba,
Wszakżeż trudny zawsze jest początek...
Dorobiła się znacznych zapasów.

Czterech desek — za cały majątek,
Czterech dziadów za całą drużynę;
Wszak to dosyć, cóż jej więcej trzeba?
Była szwaczką... znalazłem tę dziewczynę...

II Z FLORY SWOJSKIEJ

I. RUMIANEK POSPOLITY
(MATRICARIA CHAMOMILLA)

„Nieboga!

Aż mu oczęta zbielały

W tej głowie!

Aż, jak ta trawa na rowie,

Tak zeżółkł cały;

Aż mu się rączka, aż mu się ta noga

Zwija, jak ona jeżyna,

A i te plamki! jak czarne jagody!...

Skąd się to bierze

Ono-ć choróbsko!... Hej! morówko sina!

Otwarta tobie zawsze stoi droga

W nasze chałupy, w te nasze zagrody!...

Jak ognia i wody,

Jak onych zaćmień na niebie,

Tak się i ciebie

Człek nie ustrzeże!

Bogaci

Mają-ci swoje doktory,

Swe leki —

Wszak im pieniądze, jak rzeki,

Płyną we wory!

Ale tu u nas, kiedy człowiek straci

Jeden lub drugi półzłotek,

Jużć mu tydzień trza z głodu przymierać —

Dolo-ż! ty dolo!...

Idźcie, kumoszko, na ogród, za płotek —
Panienka święta i Bóg wam zapłaci —
Idźcie-że jeszcze rumianku zbierać!
Oj nędza szczera-ć,
Leczyć tak dzisiaj, lecz, Boże,
I to pomoże
Za twoją wolą...

A poco
One żalości? Aniołkiem
W niebiosach
Będzie z tem oczkiem, w tych włosach,
Z tem białem czolkiem —
Tam, gdzie dusze, jak gwiazdki, migocą,
Tam, gdzie co rano się tuli
Do stóp Dziewicy ta zorzyczka złota,
Tam, gdzie miesięczek,
Jak sierpik, leży na tej ziemskiej kuli...
A bodajście wy! Na dolę sierocą
Taka na świecie zostanie żorota!
Jużcie ochota
Żyć tu odchodzi, aniele!
Idź, boże ziele,
Do bożych rączek!...

Panienko!
Niepokalana! Przeczysta!
Te miecze,
Co ci nad krwią, która ciecze,
Jak groch, rzęsiła
Z ran Twego syna — co serce-ć nad męką
Pana naszego przeszyły,

Niechaj odpędzą pokusę od matki,
Co dziś już po niej...
Choć mi tak zimno, jakby lodu bryły
Kto mi w zanadrze kładł zmrożoną ręką,
Oddam ci chętnie te skarbów ostatki,
Jedynie kwiatki,
Co mi w chałupie zostały:
Lecz i gad mały
Swych szczeniąt broni!

Pomnicie,
Rok temu pewnie już będzie,
Gdy „pali!”
Pali się!“ we wsi wołali,
Aż człowiek wszędzie —
Od stóp do głowy — czuł, że już mu życie
W kościach, jak woda, się ścięło...
Gorzał Olejczyk.. Patrzałam, jak wtedy
Z pod onej stajni,
Gdy się już całe daszysko zajęło,
Z wyciem — jak nóż mnie krajało to wycie! —
Suka swe małe ratowała z biedy...
Oj! — myślę — kiedy
Taka jest miłość w psiej budzie,
To cóż my, ludzie,
Ludzie zwyczajni?!...

O dziecię!
Choćby mi przyszło z torbami
Iść sobie;
Choćbym gdzie w obcej chudobie,

Zalana łzami,
O chleb prosiła i o liche śmiecie
Na ono-ć nocne wezglowie;
Choćby przez ciebie, jak oną wierzbine,
Wiatr bił mnie naga,
Nie dam ci umrzeć... Patrzcie! aż mnie mrowie
Straszne przechodzi, jak wędnie to kwiecie:
O rączki chude! o wy oczka sine!
W złą wy godzinę
Przyszłyście na świat!... Panienko!
Ty nas swą ręką
Broń przed tą plagą!"

I z chaty
W on nieszczęśliwy poranek
Wybieży
Na to zapłocie, gdzie świeży
Rośnie rumianek,
Taki skromniutki, a taki bogaty
W zapach, w lecznicze swe wonie,
Z kryzą na szyi, jak mleko bieluchną,
Jak istne mleko,
I w pozłocistej, jak słońko, koronie —
Jako to słońko, co blask swój skrzydlaty,
Żywy, jak ogień, gdy iskry wybuchną,
Sypki, jak próchno,
Z uśmiechem zsyla na ziemię,
Co w ciszy drzemie,
By trumny wieko...

Gotuje
Cudowne ziółka w garnuszku

Kamiennym
I na kwiateczku tym sennym,
Co wiadł na łóżku —
Co snąć już życia żadnego nie czuje,
Łzawemi oczy spoczywa...
Hej! hej ty ziele! ty cudowne ziele,
Dzisiaj-ci na nic
Pewno już tutaj będą twoje dziwa!
Pewnie-ć to widmo, co koniec zwiastuje,
Rychło w swych trupich uścisków piszczele
Zamknie wesele;
Onę-ć ostatnią nadzieję
Rychło rozwieje
Rozpacz bez granic!...

„Kumolu!
A chodźcie ino, a chodźcie
Co prędzej!
Widać, już koniec tej nędzy!
Jak burak w occie,
Tak zesiniała twarz od tego bólu!...“
„O rety! Chryste!... Nie żyje!...“
I tak, jak długa, na łączynę padnie,
Na ono dziecko —
W tych brudnych kryzach, co jej zamkły szyję,
W tej chustce żółtej na głowie!... Hej! w polu
Gdy wiatr zawieje, gdy, jak lis, tak zdradnie
Ku wsi się skradnie,
Jak drżą pod płotem te kwiaty!...
Tak z onej straty
Drżało kobiecko...

II. NIEZAPOMINAJKA (MYOSOTIS PALUSTRIS)

„A nie zapomnij ty o mnie
Onąć godziną,
A nie zapominaj ty o mnie!
Za Dunajami, co Bóg wie, gdzie płyną,
Nad wodą siną
Morza, iż mówią, tak huczy ogromnie,
Że ziemia trzęsie się w kolo,
Że oneć bory, oneć ciemne lasy,
Co jako pasy,
Brzeg opasują,
Jak żywe drżą,
Choćby wesoło
Pomiędzy ludźmi, co biedy nie czują,
Szło ci to życie w czerwonym kołnierzu,
Oj ty rycerzu,
Nie pogardź mną!...”

I aż „neslowym” fartuchem
Lzy ocierała,
Z jasnego „neslu” fartuchem —
Gdy go tak w drogę daleką żegnała
Za wsią, co stała
W jakimś zamgleniu zasępionem, głuchem...
Za wsią, przy „błocie”, przy bagnie —
Przy tem „jeziorku”, przy tym grząskim stawie,
Co w miękkiej trawie

Między sitowiem
W spokojnym śnie,
Czysto, by jagnie
Pomiędzy sianem spoczywa,... „Nie powiem,
Ale to serce, jakby kto, o luby!
Zamknął je w śruby
Tak ściska mnie!...”

Czytałam w jakiejś książczyni,
Że w taką chwilę —
Tak w onej stało książczyni —
Gdy kto przed sobą ma nie dwie, trzy mile,
Lecz drogi tyle,
Że człowiek prawie aż w zamysłach ginie,
A jest, jak — my tu dwoje —
Niby wiesz, luby, że na drogę ona
Dobrze jest pono
Wziąć ku pamięci
Ten kwiatek, wej!...
O życie moje!
O doloż moja!... Niech strzegą cię święci
I ten Pan Jezus, co strzeże owieczek!
A ten kwiateczek
Na sercu miej!”

I tak się schyli ku łące
I zerwie kwiatek,
Z pomiędzy trawka na łące,
Aż łokieć błysnie z pod płóciennych szmatek,
Aż na ostatek
Tego żegnania spłonie twarz w gorące,
Jak ranne niebo, kolory,

Jak wej! to słonko wrześnieowe, co wschodzi
Z sinej powodzi,
Zdrowe i świeże —
Jak wej! ten dzień.
„W oneć wieczory
I w oweć rana, gdy zmówisz pacierze,
Pamiętaj o mnie!... Gdy wrócisz, mój Boże!
Jak w jakim dworze
Na oścież sień!...”

„Kata-ć pamiętać nie będę!
Choć czas nie krótki —
Kata-ć pamiętać nie będę:
Ale to zwiędnie i na co te smutki?...“
I niezabudki
Ściśnie kwiatuszek w swej garści... „Na grzędę,
Ojcowską wrócę też jeszcze —“
„A przecie pisuj!“ — „Czemu nie mam pisać?
A ty kołysać
Ucz się, dziewulo...
Bo pewnieć czas! —“
„Aż-ci mnie dreszcze,
Kiedy tak mówisz... aż się oczy tulą —“
„A kóli czego? toć przecie... bądź zdrowa!“
„Bądź zdrów!... Uchowa
Toć Pan Bóg nas...”

Tak się ci dwoje żegnali
Onego rana,
Tak się ci dwoje żegnali:
Ona wróciła do dom zapłakana,

Jako ta złana
Srebrzystą rosą roślinka; on w dali
Zginał pod miastem... Nie długo
Może w „Kolberku“ albo gdzieś w Szczecinie
Jak listek zginie,
Co spada z drzew...
„Królewskim sługą“
Będzie we świecie, odda trud swój wszystkim —
Ale gdy wróci, odbierze nagrodę:
To dziewczę, młode
Jak żywa krew!...

„Keń-że to, Jasiu mój, jedziesz?
We świat daleki?
Keń-że to, Jasiu mój, jedziesz?“
„Rzy już koniczek: za góry, za rzeki,
Zamknąć powieki
Pod krwawym piaskiem, dziś pewno mnie wieszysz,
Mój ty koniku, mój wrony!“
„A weź mnie z sobą! U króla-ć ja prała“
I haftowała
Będę pieluszki
W złocisty ścieg!
Śpij, mój złocony!
Schowaj te rączki, te tłusciuchne nóżki;
Nie długo tatuś będzie cię kołysał —
Nicpoń! nie pisał
Cały już wiek!...”

„A niechże-ć go tam wcierniasty!
Niech go morówka!
A niechże-ć go tam wcierniasty!

Ty wej! tak wędziesz, jak w polu makówka,
A jemu wdówka —
Pękata we łbie Małgola: Niewiasty
Poszukał sobie, że ino!
Jak istna kłoda! ale cóż? U-wdowy
Chleb-ci gotowy —
A ty? czy sznurek
Korali masz?
Ledwie chuścina
Obwiążesz szyję... poganin, szwed, turek,
Ale nie człowiek jest z niego... „Nie wierzę!...”
„Toć mówię szczerze,
Więc wiarę dasz.

Czy to zeszłego tygodnia
Nie pisał do niej?
Słyszysz! zeszłego tygodnia!
A ona-ć temu wcale się nie broni:
Jak ryba w błocie —
Tylko z radości, że to czysta zbrodnia,
Tak ogoniskiem, wej! trzepie!
Gnije-ć to owo, jak w beczce kapusta;
A jaka tłusta!
Wiatry nie zdmuchną
Gadziny tej!
Toć ja jej w ślepie
Żywego waru naleję!... Córuchno!
Zawsze-ć mówiłam ci, widzisz: wianuszek
Kryj pod fartuszek,
Baczenie miej!...

A przecie do wsi szły listy
I wszyscy gwarzą —
A przecie do wsi szły listy,
Że za nim niemki z przychówkami lażą
Aż mózgi smażą
Sobie ludziska z podziwu!... To czysty
Jeno rozpustnik, nie więcej!...
Żeń się z Antosiem... Do nóg mi się kłania,
Wziąć się nie wzbrania,
Choć widzisz przecie,
Niby ten krok...
A i tysięcy
Też nie masz żadnych... Żeń się, żeń, me dziecię,
Złoto ty moje!..., „Matusiu! czekajcie,
Czasu mi dajcie
Ten jeden rok...”

I tak czekała.. Rok minął,
A on ze służby —
Jej na czekaniu rok minął —
Powrócił we swe i — jął spraszać w družby:
A nużby, nużby
Kto mu tak niewczas z Małgolą zawinął?...
I weselisko wyprawia:
„Walczy”, aż pot mu kapie z poza ucha;
A jak rzerzucha, gdy deszcz ją zmoczy,
Co z cicha spadł
I bagno splawia,
Ona-ć wdowuła... A tamtej hej! w oczy
Spojrzyjcie tylko: w łzie, zorzą srebrzonej.
Jak ten zroszony
Niebieski kwiat!

III. BIELUŃ POSPOLITY (DATURA STRAMONIUM)

„Nastucha!... słyszysz?!... Nastucha!...“
„Hihihihih!... A juści mam uszy,
Więc ci też pewnie, że słyszę, jak grucha
Taki wej! gołąb pstrokaty,
Jak ty!... jak ty! ci powiadam!...“ „Ja! z duszy
Wszystko ci rzucę przed tobą, jak szmaty;
Jak wej! na fryjur z kozucha,
Tak się uwolnię z tej troski:
Bo, widzisz, we wsi po ludziach to chodzi,
Że niby ze mną tak jesteś, a znowu
I z komisarze nie inac... Ej! grodzi,
Mówią-ci ludzie, płot na okół chaty,
Strzeże swojego przychovu,
A jednak stwórz mu nieboski
Włazi z zagrodę;
A jednak świnia mu obca
Ryje po grzędzie!
Żal ci nam chłopca;
Na własną szkodę
Wyrósł, oj! wyrósł! Tak wszędzie,
Widzisz, gadają...“

Nastucha!... słyszysz?!...“ I w poły
Obejmie dziewczkę, córę stelmachową,
Który na folwark przyszedł prawie goły,
A dziś, jak swojak prawdziwy,

I wieprza tuczy i niejedną krowę,
Łacno utrzyma — z pańskiego... „Bóg żywy,
Że ino brak mu stodoły,
A juści jako u gbura
Całe obejście... I wszystko to pono
Z woli tej Nasty... Ano, ptak się trzepie,
Bo ma dwa skrzydła, i stelmach czerwoną
Podnosi buzię: ma z czego — szczęśliwy!...
Ledwie, że dziewczkę poklepie
Po brzuchu gruby Przepióra,
Juści i stary
W łapie ma pewny przepitek;
Juści mu świeży
Rośnie pożytek!
Ówci bez miary
Już „ognaryją“ mu mierzy
Za to klepanie.

A jest i klepać co prawie“ —
Tak sobie gwarzą naokół ludziska —
„Istny rarytas... choć to lepiej w stawie,
Lepiej na samem dnie rzeki
Utopić szczęście takowe... Ta, z pyska
To wej! psi naród, jakby jakie leki,
Brała na piękność...“ „Ha! w kawie,
Gadają, na noc się myje —“
„Niech się i myje... Lecz w tem niema sprzeczki,
Że jakby wcale nie z chłopa... Na drzewie
Rosną-ci, widać, zielone listeczki —
Ot! z bożej woli... ale tam — niech sieki
Porwą człowieka! — nikt nie wie,
Kto matkę schwycił za szyję...“

Bądź-że, jak było,
Jednak to pewna: z żywota
Lelijka niby
Wyszła niecnota..."
„Co wam się śniło?
Lelijka?!... to bez uchyby
Prawdziwy bielun!..."

I mają słuszność ludkowie:
Patrz, choćby dzisiaj! Ta wysmukła dziewczka,
Z twarzą, jak mleko, i w chustce na głowie,
Widać, że świeżo wypranej.
I w tej koszuli, oparta o chlewku
Dworskiego szare, pochylone ściany,
W ciemnym serdaku, w połowie
Przecinającym jej ciało,
Czyż niepodobna do tej lilii czystej,
Co wystrzeliła przypadkiem wśród zielska,
Śród tych kartofli, na które srebrzysty
Rzuca miesięczek blask swój rozespany?!...
Więc też i nie dziw, że z Bielska
Wojtka aż dotąd przygnało
Jakoweś licho;
Że nie uważa na słowa,
Iż dziewczka w sobie
Truciznę chowa;
Że taką pychę
Zamknie matczyńsko swe w grobie —
Nic nie uważa!...

„Mówię raz jeszcze dziewczucho,
Żeli to prawda — ja nie chcę poślada.

Nie chcę wybierek... Choć z jedną koszulą.
Ale do gniazda Sochali
Nigdy nie wpuszczę nieczystego gadu;
Musi być panna, jak kryształ... Obrali
Ludzie-by ze czci; tatulo,
Co był jak szczere-ci złoto,
Przewróciłby się zapewne w swej „tronie“...
Zresztą, dyć powiedz, czym nie jest wart tego?
Piętnaście morgów, trzy krowy, dwa konie“ —
„Hihihihih!... a toć wczoraj ślali
Swatów od Piątka, za niego
Pójdę odrazu z ochotą!
Mój miły Boże!
Nie trza mi twoich rozkoszy,
Dosyć mam sama
Spleśniałych groszy:
Mówią we dworze,
Że jestem niby, jak dama,
A ty? hihih!..."

„Nasta!... Nastusia!... jedyna..."
„Idź, ty!“ — i Wojtka, co ją trzymał w pasy,
Ręką odpycha — „Nie idzie mi ślina
Na takie cmoki do gęby!
Za Stachem Piątkiem będą lepsze czasy..."
„Nasta!..." „Hihih!“ i wyszczerzy zęby
Ta stelmachowa dziewczyna
Białe, jak wełna jagnięcia,
I rzy, hej! rzy tak, jako klacz dwuletnia;
Tak się rzechoce, że te ślepie duże
Pełne są śmiechu; że się gnie jak pletnia
Smagła jej postać; że piersi, w obręby

Koszuli skryte, jak róże
Jawią od tego się zgięcia,
Aż Wojtek cały
Zadrżał na dzikie te czary,
Dziewczę od ziemi
Uniósł za bary
I, oszalały,
Wargami wpił się wrzącemi
W owoc — bieluniu...

IV. PSIANKA (SOLANUM NIGRUM)

„Wiecie, z Walkową to-wam, dziwne rzeczy,
Coraz to gorzej...” „Ba! ja dawno gadam,
Że przed tym stworem człek nie ubezpieczy
Swojej chudoby, ni siebie...
Na chlebie
Jestem już lata; na ławie
Niejednej siadam;
Buciska
Zdarłem niejedne w tej ziemskiej podróży,
Jak mówi proboszcz, a przecie
Na onym świecie,
Gdzie, jak łód prawie,
Powiada księżyk, ta droga jest śliska,
Jeszcze nie natknął się wcale —
Drogi Michale,
Niech mi tak zdrowie posłuży,
Jako żadnemi nie kłamię słowy —
Na stwórz takowy.

Pewnieć, że wołu chwytaacie za rogi,
Że macie słuszność... Na ten przykład wczora:
Idę ja z miasta, ledwie wlokę nogi,
Bom też ,co prawda, na smutki
I wódki —
Jak wej! to wiecie, gdy żona
Zwłaszcza jest chora —
Więc idę,

Aż tu mi babsko ścieżynę zachodzi:
Ślepie mgłą zaszyły na wiatrze,
Przecieram, patrzę —
Juści to ona!...

A też mi leziesz na moją wej! będę,
Tak sobie zaraz pomysle
I w duszy kreślę,
Jak w takiej chwili się godzi,
Święty znak krzyża i mam już ochotę
Minać niecnotę...

Lecz cóż? myślicie... czyż mogłem ja śmiało
Niby zawrócić?... Zajrzała mi w oczy,
A tak z podelba, aż mi grzeszne ciało
Przejął dreszcz jakiś... Ty Boże!

Na dworze
Był dzień-wam jasny, jak woda
W swojej przezroczy,
A równie
Czułem, że wokół robiło się ciemno" —
„Ba! i nie dziwno, to czary!

Ot, wiesz, ten stary
Tomek Swoboda
Taką powiadał rzecz o soltysównie,
Kaśce Olszance, tej z Grabia,
Że jak mu wabia
Zadala siłą tajemną,
Tak wszystko skutkiem tej nieczystej mocy
Widział, jak w nocy..."

„Prawda... lecz zważcie: „Michale“, wyrzekła,
„Pono-ci twoja zaledwie już dycha,

Toś ją poterał!“ A bodaj się wściekla!
Bodaj ogniło ci działo!
W powraśło

Niechaj cię jaka mrówka —
Skręci do licha —
Tak wiecie
Nibym nie mówił, ale wej! na wargach
Ino zipało... „Kiej słaba,
To na nie baba!

Słomiana wdówka
Też, jak potrzeba, osłodzi ci życie —
Chciałem znów minąć — „Ty! głupi!

A toć nie kupi
Na żadnych pewno się targach
Jak ty drugiego... Boisz się proroğu?
A! mam go w oku!

Mam ci go we krwi, w każdej drobnej żyłce
Na tem wej! ciebie, w tej ręce! w tej nodze!“
I ta bezwstydną wam suka po tyle —
Aż po kolana w te tropy,

Jak snopy
Żywej pszenicy, odsłoni
Na jawnej drodze
Golasy...

„...Kiedym przed laty służywała w mieście,
To brał sam kupiec za szyję
I jak tę żmiję —
Że niech Bóg broni —
Tak mnie okręcał naokół; tak wczasy
Wyprawiał sobie, tak gadał,
Gdy przy mnie siadał:

A niech cię djablów ze dwieście!
Jaki ty przerok masz pod powiekami,
Hej! jak on mami!...

A jednak strachu dyć nie miał!...“ Wcierniasty
Sam wie przyczynę, że na to gadanie
Tej rozpuśnicy, tej jakiejś niewiasty
Człek zaczął rozum już gubić“
„Hołubić
Pewnie-ć zachciało się, chlystku?!
Dyć-ci, mospanie,
Młodego —
Mówi ksiądz proboszcz — na cnotę nie starczy,
A coś dopiero w tym razie,
Gdy w grzesznej skazie
Listek po listku
Z duszy — niech mojej aniołowie strzegą —
Jak z drzewa, taka naocznie
Zrywać rozpocznie?!
Dyć coś, gdy taka zawarczy,
Kiedy z tej mordy, niby z onej dzieży,
Psie kły wyszczerzy?!...

Ba, wiesz: czy z Walkiem było tu inaczej?
Też go urzekła!... Chłop się jej zalecał
Kiejby niespełna rozumu; nie bacz, —
Że mu się tatlać nie dadzą,
Że radzą
Ludzie mu dobrzy: „Walocho!
Od tego pieca
Co prędzej
Odejdź, ha! odejdź, bo pewno się sparzysz!

Służyło w mieście to owo,
A tam niezdrowo —
Mówią — po trochu,
A tam tak palą, że na kawał jędzy
Każdą dziewczynę wysuszają!
Nie ujdiesz z duszą —
I coś tak ważysz?
Lepiej się w kamień na drodze odmienić,
Niż z taką żenić!“

„Znam-ci ją, rzeczce, od samego dziecka,
A w niej żadnego-m nie widział feloru...“
I miał rację... Pannica kupiecka
Nibyć się inną widziała
Od mała —
Jak ten goździczek tak rosła!
Takiego stworu
Nikt wtedy
Ani nie przeczuł w Antkowej córuli...
Lecz stary pomknął na wieki,
I bez opieki,
Jak łódź bez wiosła,
Została Jagna... Poszła szukać biedy,
Dyć, i znalazła za wiele!
Bieda w pościele
Człeka obtuli —
Mówi księżyczek —, że pod tą pierzyną
I zmysły giną!...

I jej zginęły w tem mieście przeklętem!
Snać rozbestwiła się, jak zwierzę nieczyste!
Ucierpiał Walek: wprzód stracił ze szczętem

Z tej mankolji chudobę —
Osobę
Nawet już swoją miał za nic —,
A potem świsty
W szeroki
Świat go pognały, że, gdzie dziś, nie wiedzieć.
A ona od tej chwili,
Jakby palili
Bez żadnych granic
Żywi w niej czarci, jeszcze gorsze skoki
Wyprawia sobie bez końca...
Boi się słońca,
W dzień woli siedzieć,
A zaś wieczorem ciap! ciap! ciap! się wlecze
Po łyzy człowiecze..."

„Gdzież po łyzy ino?!... toć pono, że taka
Jest jako upiór i że krew wypija
Jednem spojrzeniem; u Kuby Mięczaka
Uwiędła krowa, a pisze,
Jak słyszę,
W dawnych, wej! książkach, że wszelka
Ladaczka-żmija
Nad bydłem
Nawet ma rękę..." „Dyc, mówię: najwięcej
Jednak nad ludźmi. Widzimy,
Czem onej zimy
Stał się Żużelka,
A w co się dzisiaj za dechem obrzydłym
Tej morownicy zamienia
Bartek Golenia:
Ni jęć dziecięcy,

Ani go żony powstrzymają żale
W grzesznym zapale!

Ano, bo widzisz, wszystko ci to jedno,
Czy masz kobietę, czy płaczą ci dzieci;
Gdy taka wzrokiem chce trapić, to w sedno
Sama już trafi, że w chacie
O stracie
Wówczas nie myślisz już żadnej;
Dusza ci leci
Spalona
Na potępienie, jak gdybyś wycisnął
W gardło psiankowe jagody,
Stary i młody
Tutaj bezwładny
Prawie zarówno... Tak! tak! dzieci, żona,
Stodoła, stajnia, chałupa,
To śmieci kupa!
Takeś uwisnął
Przy onej dziewce, jak ten mech-lichota
Tu wej! u plotu..."

V. ŻMIJOWIEC POSPOLITY
(ECHIUM VULGARE)

„...Mówicie,
Że niby przegrać tej sprawy
W żaden sposób nie mogę?
Dyć się i zemszczę! Stary popamięta,
Co to, wej! znaczy zastępować drogę,
Co to, wej! znaczy zatruchiwać tak życie
Swemu zięciowi! Czy to człek, jak w orce
Ten koń kulawy?
Czy to my jakie bydlęta,
Niby te w mojej obórcie,
Z których, od pracy, są już kości same,
By w jarzmie chodzić, gdy taki dziadyga
Kiwnie swym palcem? Oj, zetrę-ć tę plamę,
Zetrę-ć ją, mówię, tak, jak Twoja pięta,
Panienko święta,
Starła łeb smoczy, że została — figa,
Hi! hi! z całego, wej! stworu... Oj dziadu!
Tak poprzecinam ci te kudły siwe,
Jak szkapia grzywę,
Że ani śladu
Onej godziny
Nie pozostanie z czupryny!
Tak cię wykąpię na sucho
Że cię, ty — jucho!...”

I ręką,
Ciężką jak topór stalowy,

Jak święta ziemia, tak czarną,
Huknie ci w stół ten, że w karczmie aż ściany
Tak się zatrzęsły, jakby jeno marną
Były purchawką, że ten sufit, miękka
Sadzą, by jedwab czarniawy, pokryty,
Prawie na głowy,
Na te niebieskie kaftany,
Na te spencery i świty
Zdawał się walić... Nawet lampka mała,
Jak widmo jakieś lśniąca nad szynkwasem,
Od tego huku zlekła się i drżała...
A ona flaszka, którą Ćmuk, pijany
Za boże rany,
Jak mówił straszny zbereźnik, „tymczasem”
Na stronę jeszcze odstawił w ferworze,
Spadła, zlewając mu strugą opary
Te szarawary,
Co mu nieboże
Żoneczka miła
Własną swą dłonią uszyła
Z jakiegoś, widać, drelichu —
Ludziom do śmiechu...

„Też, Ćmuku!
Skaranie boskie, na szkodę
Ino łazicie...” „Karczmarko!
A co wam gadać!... są-cię u mnie grosze,
Zapłacę wszystko... Fi!... fi!... fi!... Barbarko,
Ty psia bestjo! czy już nie masz tuku
W tych swoich kościach?... Oj! mam ci kobiecko
Niby jagodę!
Oj kosząc żyto, da! koszę

I nakosiłem...“ „Wej! dziecko
Lepiej wam było kołysać w chałupie,
Lepiej do żony, niż bruździć do domu
Wyspać się krztynę! Pokosy na kupie
Zmiękną, porosną...“ „Cisawej jałosze
Zielska naznoszę...“
„Oj, też znosicie — chude, że wej! sromu
Dość macie we wsi i wstydu... rację
Zawsze ma dziaduś...“ „A niech go cholera
Ciężka zabiera!
A niech on zgnije!...
Panie Dorada,
Czy była słusność u dziada?
Wytrzyjcie jej sami oczy,
Że aż wyskoczy!...“
„Raz rzekłem:
Słusność jest po waszej stronie;
Dziwię się tylko, że gości
Pani karczmarka sama się pozbywa,
Że na interes...“ „My tu ludzie prości,
Nie żadne panie, a z takim wej! piekłem
I źle się pewno nie zgodzi; za zyskiem
Takim nie gonię...“
„O wielkie cuda! o dziwa!
A też ruszajcie z tym pyskiem,
Hadvokatowi lepiej wódki świeży
Kieliszek wlejcie!... Panie hadwokacie,
Więc sprawiedliwość niby wej! odmierzy
Mnie, jak to mówią, po sam sztrych?... Jak żywa
Istna pokrzywa
Byleś mi, dziadu! lecz czekaj!... O stracie,

Pan wie, nie gadam... Rychtunek z nim zrobię,
Że go!... psianogi drelichy na djabla!
Baba zesłała,
Dyć niech i sobie!
Fi! fi! Barbarko
Podwiąż fartuszek... Karczmarko,
Choć macie gębę, jak ścierkę,
Jeszcze kwaterkę!...

Dorado!
Panie Dorado! z honorem
Niby tak mówcie...“ „Toć mówię:
Jakem uczciwy!..., „Fi! fi! znane rzeczy,
Że wam też głowę golili; obuwie
Też już mieliście nie z lyka... Dyć, kładą
Takie obrączki, jak się czasem zdarzy;
Dyć-ci przed morem
Prędzej się człek ubezpieczy,
Niżli przed lochem... Dyć, sparzy
Człowiek się łatwo...“ „Macie zadość w czubie...“
„Dyć, gdzie i zadość... Zamknęli, głodzili,
Ale nie widać po pyskach; dyć, lubię
Takie nadęte, jak kiej żaba skrzeczy!
Widać, wyleczy
Człowiek się rychło z wszystkiego! od chwili
Widać, zależy! czerwone, w lelijki
Prawie przechodzą — blajchu ani ździebłki!
A one ślepki —
Kiejby u żmijki...“
„Ćmuk!...“ „Dyć, nauki
Nie potrzebują wej! Ćmuki —

Ale to też tak!... no, dalej,
Czy my wygrali?...“

„A juści,
Że u nas prawo jest czyste:
Czynna zniewaga, a za to
Czeka kryminal, czerwieniak!...“ „Dyć czeka!...
Była zniewaga: dziad ściągnął mnie lata,
Czy też kosiskiem przez plecy... Nie puści
Ćmuk tego płazem... czerwieniak! ty stary!...
Hm! całą listę
Bodaj pizrecie... Człowieka
Ograżka bierze... Ej, kary,
Dziadu, nie ujdiesz!... czerwieniak!...“ „Też statku
Trochę Józefie... pan-ojciec!...“ „Gębule
Lepiej wam stulić, karczmarko!...“ „W przypadku,
Jako niniejszy!...“ „Dyć, krew szła jak rzeka,
A nawet spieka
Była na ranie!...“ „Józefie!...“ „Bo stule
Pysk wam ten zaraz; dyć, lepiej wódeczyny
Dajcie przed pana pisarza... zniewaga,
Jak ciało, naga,
A za te winy
Do czerwieniaka,
Mówicie niby?... Ej! oskubię ptaka
Do samych pypci!... ej! psie giecele
Jak na śróć zmiele!...“

„Sromota,
Kiedy jest człowiek jak bydle —
A wy, co na mnie tak z boku,
Panie Napierny? jakby, wej! te ślepie

Żgnąć we mnie chciały! jakby wam w tem oku
Był jaki pałasz!... karczmarka to z błota,
Myślicie, wyszła bez czystszej czucia?
Wej! za ożydle
Wziąć go, aż cały się strzepie,
I precz do domu! zepsucia
Nie róbcie złego; sam Bóg was nawiedzi...
Czy to nie ojciec!...“ „Dyć, cicho? prawicie
Tak, jak wam gęba urosła... niech siedzi!
Niech taki ojciec!... Napierny! co klepie
Ta w babskim czepie
Nie uważajcie, Napierny!... na szczycie
Takiej mądrości zawsze figa tylko...
A... a... dyć... figa!... Rzeknijcie też cośik,
A ja forszusik
Tą samą chwilką
Zaraz podrzucę,
A jak pszenicę wymłóczę,
Panie Napierny, Doradzki,
Dam też na placki!

Pólszosta

Tu, wej! złotego... pod nosem
Co się krzywicie?... za mało?
I tak już baba w chałupsku się głodzi...
A co?...“ „A cóżby? przeczytam rzecz całą:
Prócz tego sińca, to przez swoje usta
Puścił obelgę!...“ „A puścił: w izbisku
Tak ci wej! głosem,
Aż po wsi słyhać, zawodzi:
Rakarska duszo! psi pysku!
Żonę masz za nic! marnujesz dobytek!

W karczmie utopisz, com przez życie szparał...
 A wara, dziadu!... daleś na przepitek?
 Co cię to, siwcze, tak bardzo obchodzi,
 Co robią młodzi!...“
 „Macie swą prawdę; jeśli dziaduś karał,
 To miał na kogo: nikt pewnieby córy
 Nie wziął bez grosza...“ „Rychtyczek!... po słowie
 Widać, że w głowie
 Nie żadne wióry
 Lecz rozum wielki
 Macie, Napierny!... kropelki —
 Krzty nie daruje... ta, klnę się
 Na ciebie, biesie...“

III

GAWĘDY I TYPY

I. KRÓL LEAR Z BIEDACZEWA

Hej! miał-ci chatę, mój Boże!
Hej! miał-ci chatę!
Półtora morga w ugorze,
Półczwarta owsa i żyta —
Nawet na proso i na len starczyło!
A cóż dopiero —
Prócz roli w órce —
Powiedzieć na te pastwiska,
Gdzie trawa śliska
W słoneczku błyska!
To też jałoszkę i ciele pstrokate,
I dwie staruchy, dwie mleczne,
Co rok utrzyma;
Gdy przyjdzie zima,
Nawet i siana zeschłego do syta
Miał na obórze:
Wzdyć mu się wszystko pełniło,
Szczęście, jak słonko, świeciło
W tę duszę szczerą.

Więc-ci też szepcą wokoło
Wszyscy sąsiedzi:
„Patrzcie! człowiek to gołą
Zaledwie skórę okryje,
A on to czysto, jakby djabeł jaki
Ścielał mu łożę,
Na groszach leży!”
Lub, że mu „Król” jest z nazwiska,
Thuką ludziska

Jakby po owem kowadle,
Co iskry ciska:
„Huk! huk! Tu człowiek kaździutki się biedzi,
I skwarka nie ma w swem jadle,
A Król to za się
Cały w okrasie —
Jak król prawdziwy tak żyje!
Ale-é swych pierzy
Różne już zbyły się ptaki:
I Król z torbami w żebraki
Także pójść może!”

Weszło-ci w grzbiet i Stachurze
To królowanie;
Więc raz jedynej swej córce
I synalowi, co smagle,
Niby za ojcem, wyrósł, jak ten jary
Białak za płotem,
Gładząc, poszepnie:
„Gną się człękowi pleczyska,
Snać śmierć już bliska,
O królewężta wy moje,
Moje dzieciska!
Nie długo dusza przy mamusi stanie:
Czas już, abyście oboje
Snać pomysleli
O swej kądzieli
I swoim pługu, nim nagle
Krew ta zakrzepnie;
Co ma, to odda wam stary,
A że nie umrze z ofiary
Waszej, wie o tem“.

I tak się stało: z kądziela
Przyszła synowa,
A córuś dalej za Grzełą,
Co ma o milę swą sochę,
A ojciec — ojciec na łasce u dzieci...
„Widzisz, ty turze,
Ty wilku siwy!”
Tak szydzą z niego ludziska,
Kiedy, w płachciska
Kawał okryty, za bydłem
Na puste rżyska
Lezie jesienią... „Koltuniata głowo!
Posmaruj szarem się mydłem,
Bo pewnie-ć, Królu,
Jak w jakim ulu,
Roi-ć robactwa się trochę.
Oj! oj! te dziwy!
Cielsko wygląda z rupieci,
Istnie, jak słonko, co świeci
Nad nami w górze!...”

Hej-ci, mój Boże! mój miły!
Hej-ci, mój Chryste!
Królu żydowski, bez siły
Krzyż dźwigający! oplwany,
Prawie koszuli pozbawion ostatniej!
Drogę Ci ścielą
Ostre krzemienie,
Zgraja, jak setne wężyska,
Trucizną pryska,
Błotem obrzuca cię, Panie,
Z swych serc bagniska!

A Ty, jak ono-ć jezioro przezyste,
Które oblało zaranie,
Milczysz spokojny,
I, bogobojny,
Bogu oddajesz swe rany,
Swej krwi strumienie:
„Boże! zbaw ludzi z tej matni!
To nędza zlewa ród bratni
Wstrętną topielą!...”

„A cud to, słodki Jakóbie“ —
Synowa rzecz —
„Że, jak na własnej tu hubie,
Owa starota wciąż gnije,
Niechby też „na chleb“ poszedł do córeczki;
Jak kolek zgnily,
Tak on już na nic!
Ślepe to prawie, z pastwiska
Nawet krowiska
Do domu przyznać nie umie!
Hej! kawał psiska
Nad bydłem w polu trzyma lepszą pieczę,
W lepszym od szkody rozumie
Pewnie-ć ustrzeże...”
„Ba! wierzę! wierzę.
Lecz dziś... grzmi, słyszysz, deszcz bije!”
„Te kilka granic?
Przecież nie leje, jak z beczki,
A zresztą jeszcze się steczki
Nie zatopiły!”

„A otwórz, córo jedyna!
Ojca wygnali!
Północna prawie godzina,
Ja-ć nagi, trzęsę się cały,
Jak ze zmokłego gadu, ciecze woda!”
„Ty psi kadłubie!
Widzisz, przybyłeś?!...
Nasza chałupa za niska!
Wszystko do pyska

Kładłeś tamtemu — dlaczego
Nawet płachciska
Na grzbiet ci stary te mądre nie dali?
Ej! widać, dobrze się strzegą
I swej zdobyczy!
A niech ci użyczy,
Ojczulu, Pan Bóg swej chwały,
Jak nam życzyłeś!
Idź! idź! gdzie wietrzyk cię poda
Toć i nie jestem już młoda,
Wstawać nie lubię...”

I poszedł... A burza się wzmaga,
Burza szalona,
Jak potwór kładzie się, naga,
Czarnem swem cielskiem na ziemię,
To znów się zrywa i gromów maczugą
Razy wycina
Po grzbiecie boru,
Co jęczy bokiem od wsiska,
To znowu błyska
Płomiennem okiem błyskawic —

Skrami ogniska,
Które rozpala krwawa dłoń demona
Pośród chmurzystych tych mgławic...
To znów ta burza
W swych mrokach nurza
Świat nędz i zbrodni, co drzemie
W paszczy potworu;
To znowu z gromem, swym sługą,
Wstęgą się wije długa
Olbrzym-gadzina...

W szerokim polu, za wioską,
Uwiązł starota:
Na wolę zdając się boską,
Ku niebu zblakłe wzniosł ślepie
I rozkrzyżował, jak on krzyż, dwie ręce:
„Oj! co za plaga!
Ty Boże-Ojcze” —
Bezzębne skomlą wardzyska —
„Ze żurem miska
Dla psa się znajdzie i buda,
A człek śmieciska
Zbył się swojego!... Oj! Panienko złota!
Kto się w opiekę Twą uda...”
Tak lka ten stary,
A burz ogary
To w siwym topią czerepie
Swe kły zabójcze,
To cały grzbiet w strasznej męce,
Z wyciem, jak wycia zwierzęce,
Ta burza smaga...

II. RUDAWSKI

Różni bywają na ziemi ludkowie —
Tacy i tacy: jednych Pan Bóg stworzył;
Że mają więcej rozumu w swej głowie
A innym znowu coś takiego włożył,
Czy wlał do wnętrza, co niby na zdrowie
Nie zawsze onym biedakom wychodzi,
Zwyczajnie jakąś miękkość, z której ból się rodzi.

Mówię biedakom, bo juścić na świecie
Jest to wiadomem, że w wysokim stanie
Zbytniej czułości nigdy nie znajdziecie:
Wielcy panowie i szlachetne panie,
Dla których żywot z samych róż się plecie,
Więcej na rozum biorą wszystkie sprawy —
Ha! trudno, tak już, widać, chciał Stwórca łaskawy.

Jakto? twierdzicie, że niby w tej chwili
Nieco za ostry o nich sąd wydaję?
Stary jest ze mnie wyjadacz, patrzyli
Na mnie ludziska, jakom w życiu staję
Przeszedł niejedno, jako, moi mili,
I do pałaców znajdowałem drogę,
Więc o tem sprawiedliwie coś orzeknąć mogę.

Prawda! zawlecze-ć pod wyniosłe wrota
Jakowyś nędzarz swoje zbite kości,
Tak i w nich, bywa, rozbudzi się cnota,

Że mu kęs chleba podadzą z litości,
Albo szmat jakiś... Ano, nie dziwota:
Jako ten oset, co zalega pole,
Tak nędza i najtwardszych czasem w oczy kole.

Ale by rzucić pałacowe progi,
By wstać od srebrem zastawionych stołów
I między naród pospieszyć ubogi,
Jak ten rybitwa, co idzie na połów
Serc i dusz bratnich i na żadne głogi,
Na żadne głązy raniące nie zważa,
To, mówię wam, w tym świecie rzadko się wydarza.

Jednemu tylko znał wielkiego pana,
Którego pamięć jest mi, jak wryta,
Choć od tych czasów została obsiana
Ta nasza ziemia świeżem ziarnem żyta
Z pięćdziesiąt razy... Podarta sukmana,
Na którą inni z jawnym patrzą wstrętem,
Dla niego była zawsze czemś prawdziwie świętem.

Widać, rozumiał Chrystusa orędzie,
Choć o niem głośno nie mówił nikomu,
Jak się to działo, o, i dziać się będzie
Niejednokrotnie w pobożnisiów domu...
Czyn, a nie słowo, miał zawsze na względzie,
Tak też nie z słowem, ale zawsze z czynem
Szedł równać się pospołu z pogardzanym gminem.

Kiedym go poznał, mówię wam, był młody,
Jako ten buczek, który w boru rośnie...
Po ojcach posiadał sady i ogrody,

Pola, i łąki mieniające się w wiośnie
Zbożem i trawą i kwiatem. Miał trzody
I stada owiec bieluchnych; miał cugi
W uprzężach, z srebra kutych, i rozliczne sługi...

Właśnie był wrócił z dalekiego świata,
Gdzie od lat kilku jeździł po nauki.
Wnet też, powitać chcąc szlachcica-brata,
Jęli się zbiegać sąsiedzi, jak kruki:
„Nielada bal nam wyprawi do kata!
Człowiek“ — mówili — „rad z kielicha chłepce,
A z niego pan! Zwyczajów pańskich nie podepce!“

I rwetes powstał między sąsiadami:
Nuż uczyć córy, jak sznurować usta,
Jak strzelać oczkiem; wszak pieniądz nie plami,
A zaś Rudawski to partyjka tłusta,
Wart miljonik; trzymać go zębami,
Choćby się miały nadwyżyć zęby —
Ha! może przecież kogoś przyśle w dziewosłęby.

I wnet, jak spojrzeć, cała okolica
Zmieni się w jedno ogromne wesele:
Tu obiad suty, tam znów wieczornica,
Do tańca huczą żydowskie kapele;
Aby miennego ugościć dziedzica,
Każdy, choć z resztą grosza się szamocze,
Sprowadza z obcych krajów trunki i owoce.

Ale mój panicz wcale się nie szasta:
Szlachcie za pamięć podziękuje słowem,
A gdy się która nawinie niewiasta,

By się nieznacznie, niby dobrem chowem,
Pochlubić córką, skłoni się i basta!

Jakby miał woskiem zalepione uszy,
Tak nie go, niby skrzypiec bez strun, nie poruszy.

„Kutwa! dusigrosz!“ — poczęli sąsiedzi

Coraz to głośniej szydzić w swoim kole;

„Więcej ma złota, niżli inni miedzi,

A jadłby z żłobu przy ośle i wole...”

Czasami nawet ten i ów pobredzi,

Że, coś mu, widać, ciąży na sumieniu,

Gdy ludzi tak unika, gdy się chowa w cieniu.

Lecz Jan Rudawski nie unikał ludzi

I lica swego nie trzymał w ukryciu:

Tylko się do tych bywało, nie trudzi,

Którzy przenigdy nie siali w swem życiu,

A wciąż chcą zbierać — do tych, których nudzi

Skrętność i praca mrówki, albo pszczoły,

A pełne miechy chcieli spichrze i stodoły...

Rano, nim jasne rozlały się zorze,

Zanim się ptactwo pobudziło w boru,

Pan z panów rzucił skórą kryte łożo

I dalej w pole z kamiennego dworu

W prostym sieraku: ekonom nieboże

Więcej się w swojej miłował postawie,

Niż dziedzic na Rudawkach, Rudkach i Rudawie.

Ale nietylko własnymi oczyma

Dojrzy, gdzie rośnie co i gdzie co leży;

Nieraz, bywało, sam pluga się ima,

Lub, jak parobek, za broną pobieży,

Albo snop zwiąże... Z ludziskami trzyma

Jednaką rękę: „z nimi — mawiał — żyję.

Więc niechaj święta ziemia i pot mój też pije“.

Ludzie, jak ludzie, od prastarej doby,

Kiedy im rozum harapem wlewano,

Do czapkowania na różne sposoby

Mocno przywykli, poczęli kolano

Zginać i przed nim, by, jak od choroby,

Żegnać się potem i splunąć gdzieś z hoku,

Ujrzawszy, że już „parch ten“ nie ma ich na oku.

„Hej! moiściewy“ — tak do nich wyrzecz —

„Święci mi żadnej jasności nie dali,

A zaś wielmoże, jak wszystko, co czlecze,

Co jest śmiertelne, bywali, bywali!

W wilgotnym grobie skruszały ich miecze,

Maką z ich kości posypują ziemię.

A pamięć o niektórych gdzieś tam w księgach drzemie“.

Ano z początku było nie do wiary,

Że niby szlachcic zniża się do chłopca:

„Widno, kpi sobie“ — tak niejeden stary

Pomyślał fornal — „wszakże jego stopa

Na to stworzona, by deptać nam bary,

A ręka jego, by wymierzać razy,

A język jest-ci na to, by dawał rozkazy...”

Ale Rudawski w ten moment ich uczy,

Jako pisano w Chrystusowym prawie,

Że pycha ludzi przenigdy nie tuczy,

Że wszelki człowiek, pracujący krwawie,
Równy jest drugim, a gdy los poruczy
Jednemu z bliźnich o garść więcej ziarna,
Dla innych niech je sieje dłoń od pracy czarna.

„Mam-ci ja“ — mówił — „dobytki, mam brony,
Plugi i radla, cepy i kozice,
Ale te pulchne i tłuste zagony,
Które mi sypką wydają pszenicę,
Waszych mi ojców pot wymierzył słony:
Nie panem jestem, lecz jednym z włodarzy,
Co stoi na wspólnego mienia twardej straży...”

I wspólne mienie wnet ku wspólnym celom
Począł obracać, chłopom pobudował
Chaty, aż oczy, jak dzień, się weselą...
„Odkąd się człowiek — mawiał — w norę schował
Zmienił się w zwierzę; Bartoszmom i Grzelom
Tak samo trzeba światła i powietrza,
Jak panom Artiurym, choć ich twarz jest bledsza“.

I tak się stało, że odtąd pokrzywą
Lud się nie karmił roboczy, dostatek
Chleba żytniego i strawę godziwą
Zawsze miał doma, nawet mięsa platek,
A w życia swego chwileczkę szczęśliwą,
W dzień chrztu lub godów mógł zabić i wieprza:
Tak jemu naraz dola zaświeciła lepsza.

Gdy między braćmi wynikną niesnaski,
Gdy sąsiad zelży lub skrzywdzi sąsiada —
„Bracia jesteście!“ — wykrzyknie Rudawski —

„Wszak się sąsiadom waśnić nie wypada“.
I słowa jego, jak słoneczne blaski,
Braciom wnet lica rozpogodzą gniewne,
I sąsiad złe naprawi tej chwili napewne.

Zdarzy się nieraz, że we wsi ktoś chory,
Spieszy z pomocą, jak posłaniec boży;
Zanim z mieściny przyjadą doktory,
Sam wnet opatrzy, sam okład przyłoży;
Nawet do posług najniższych tak skory,
Jak gdyby życie przepędził w szpitalu —
Widocznie miłosierdzie miał w każdziutkim calu.

„Ludzie — tak mawiał — równi z przyrodzenia;
Zwykły najemnik, książęta wyniośli
Z adamowego wyszli pokolenia,
Jak z pnia jednego pęki latorośli...
Ale światłości potrzeba strumienia,
W żywej nauce trza skąpać rozumy,
By chłop, że równy panu, poznał czar tej dumy“.

I murowaną wnet szkołę wystawił,
I dzieciom chłopskim książkę w rękę wciska,
A gdy się w którym dar boży objawił,
W świat je posyła do wiedzy ogniska.
Węszył talenty i jak chart się wprawił —
„Zresztą — powiedział — znaleźć sprawą łatwą:
Są siły niespożyte między chłopską dziatwą“.

Takim był, wiecie, Rudawski, pan z panów...
Szlachta z początku jęła kręcić nosem,
Śmiać się, że wieś swą zamienił w Pacanów,

Że cham nie drzewem, ale książek stosem
Będzie podpalał w kominku: „z baranów,
Z swojskich baranów trudno jest niestety!“ —
Szydziła sobie szlachta — »zrobić rambuljety...«

Lecz gdy z pisklęcia wypierzył się sokół,
Gdy „stado bydła“ zmieniło się w ludzi,
„Jakobin z niego!“ — krzyczano naokół —
„Tradycję ojców przeniewierczo brudzi!
Tłum pisma uczy, by krwawy protokół
Umiało kiedyś chłopstwo z nami spisać,
A któż wzburzoną falę zdąży ukołysać?!“

W nieszczęsną chwilę ono słowo rzekli...
Nadszedł czas taki, potrzykroć przekłety,
Gdzie chytry wilcy na słońce wywlekli
Zwierzę z łon chłopskich... Ze zdrady poczęty,
Rozsypał bunt się jako skry... I wścieklej
Od psa wściekłego warczał tłum szalony...
Gdzie szukać wybawienia? gdzie szukać obrony?

„Niech on ratuje!“ — wołają — „Ma siłę,
Bo, widzim, dzisiaj swoich w ludzi zmienił:
Rąk swych nie krwawia! Posoką opile
Niechaj powstrzyma brytany... Rozpienił
Straszny się potok, niechybną mogiłę,
Gotując dla nas i dla naszych dzieci...
Rudawski niech, jak anioł, z pomocą nam zleci!“

Lecz pan Rudawski był już pośród drogi:
Zaledwie przysła wieść, na konia skoczy,
Aby popędzić, gdzie luna pożogi

Krwawą się płachtą na niebie roztoczy,
Gdzie bujny zagon zmienia się w odłogi
I gdzie podniosłe człowieczeństwa znamię
Od razu zaginęło w jednej krwawej plamie.

„Bracia! — wyjęknie — nie krew, tylko miłość...!“
I jednym słowem szaleńców uśmierzy...
Z oczu im zniknie ta dzika opilość,
Która zniszczenie naokoło szerzy...
„To pan z Rudawy, co z chłopem w zażyłość
Poszedł braterską — dobrze — widno radzi“
Posłuchać słowa brata, jużci, nie zawadzi“.

I posłuchali... Lecz z tłumu wyloni
Taki się jeden, co nie „ślepy mieczem“,
Ale był ręką: zgrzytnął, dobył broni
I ze szwargotem: — „o, my nie upieczem.
Swojej pieczeni, gdy zawładną — oni!“
Wymierzył prosto w Rudawskiego serce,
W to serce, co z miłością nie było w rozterce.

I padł Rudawski i dziś — lata płyną
I mnie już dawno posiwały włosy —
Nad grobem jego wieczorną godziną,
Gdy cichy wietrzyk z traw otrząsa rosy,
Samotna wierzba chyli głowę siną
I szumi, szumi pieśń o jej potędze,
Co brata dostrzec w chłopskiej umiała siermiędze...

III. MACIEJ KOSARCZYK

Są-ci mędrcomie, co wchłonęli w siebie
Mądrość, zawartą w wszystkich księgach świata,
Co gwiazdy zliczyć umieją na niebie
I krople w morzu i one atomy,
Wypełniające wszechbytu ogromy,
Z taką łatwością, jakbyś trzasnął z bata,
Co widzą tam, gdzie innych wzrok jest niewidomy.

Oni to właśnie, ci wielcy mędrcomie,
Przez swoje szkiełka dostrzegli uczone,
Że człek siermiężny — zwykle cham się zowie —
Żadnej w swem ciele nie posiada duszy.
Bo cóż — pytają — tę bryłę poruszy?
Je to i pije, ciągnie pług lub bronę
Wraz z koniem, a na resztę zamknięte ma uszy.

Trudno nie wierzyć; mózg nasz nie tak ostry,
Placu tym mędrcom pewno nie dotrzyma;
Więc broń swą złóży... Lecz, bracia i siostry,
Chociaż ich prawdę przyjmiecie w pokorze,
Tem, co wam w prostych dziś słowach przedłożę,
A co własnymi widziałem oczyma
Przed czasem niezbyt dawnym, nie wzgardzicie może.

Kiedys, o zmierzchu, gdym był sam w izdebce,
Słuchając szumu srebrzystych topoli —
Więzi mnie język, którym drzewo szepce,

I którym trawy przemawiają drżące —
Jakichś mnie rojeń objęły tysiące,
A wśród nich jeden rwał się mimowoli
Wykrzyknik: „Ileż serca drży w najmniejszej płonce!

Ileż to duszy jest w tem liściu z drzewa,
Co, do gałęzi przyrósłszy, z szelestem
Innych listeczków swoje szumy zlewa
W przeszywającą, tajemną harmonję!
Ileż jest duszy w tem ziele, co błonie
Upstrzyło kwieciami mnogością i „jestem“
Przez swoje woła barwy i przez swoje wonie!...

Ileż miłości jest w tym psie, co oto
Widzę, jak właśnie szczenięta przenosi
Na podścielisko ze słomy — przez błoto
I przez kamienie, leżące wśród drogi...
Lecz o tem wszystkim mędrców zastęp mnogi
Wie i tę prawdę emfaticznie głosi —
Ty tylko nie masz czucia, człowiecze ubogi!“

Naraz znajomy głos mnie z snów obudzi —
Chłopak sąsiada chwycił mnie za ramię,
Wołając w strachu: „Niech się pan potrudzi,
Stary Kosarczyk kona już od rana,
Tak się pasuje ze śmiercią, że kolana
I ręce sobie nieledwie połamie;
Pan, mówią, to zażegna, przybiegłem do pana“.

Miałem u chłopów zawsze nieco wiary,
Choć zwykle dla nich każdy surdutowiec
Jest, jak ów potwór, na którego czary

Nie podziałają: w ciału kłem się wżera,
Ssie krew czerwoną, ze skóry obdziera,
Na zatracenia prowadzi manowiec
I strąca tam, gdzie piekło swe bramy rozwiera.

Jam był szczęśliwszy — dlaczego? do rzeczy
To nie należy... Dość, że chłop w swej biedzie,
Która go naksztalt siedmiorakich mieczy
Nie poprzestaje kłuć z każdego boku,
Tę moję nicość zawsze miał na oku:
„Poradźcie — mawiał — kochany sąsiedzie,
Człek kłopot i strapienie spotyka co kroku“.

Tak też i wówczas, gdy się żegnał z światem
Maciej Kosarczyk... Mruk to był nad mruki.
Własnego brata nie nazywał bratem:
Zawsze surowy, jak pień w korze grubej,
I, jakby zawarł kamedulskie śluby,
Zawsze milczący; trzeba było sztuki,
By słówko zeń wyciągnąć: bał się go, jak zguby.

Nigdy na siebie, bywa, nie uważa:
Żebrak, co marny swój żywot opędza
Groszem, na który u wrótni cmentarza
W mróz i zawieję, w deszcz i upał czeka,
Więcej ma w sobie pozorów człowieka,
Niżli ich miała ta chodząca nędza,
Choć mogła się ogarnąć za zboże z sąsiedka.

Nieraz, gdy włókł się — ciap! ciap! do kościoła
W podartych butach, w sukmanie, powrośłem
W krzyż przepasanej, tłum dzieciaków woła,

Śmiejąc się z niego: „W ostatki jedyny
Byłby z was niedźwiedź! Są już grochowiny“ —
Tak szydzą jedni, a drugi: „przyniosłem,
By można was prowadzić, spory kawał liny...“

Ale groch rzucaj o ścianę, a większy
Zobaczysz skutek, niż na nim wywarły
Wszystkie szyderstwa. On już nie upiększy
Swojego ciała przed śmiercią. W swą ziemię
Jak kret się zarył, lub jak ropuch plemię,
I już za życia był, jakby umarły:
Jaśniejszy śnać promyczek żaden w nim nie drzemie...

Czy sąsiad chory, lub umiera krewny,
Czy drży kto z zimna, albo chleba nie ma,
Czy komu zasiew splukał deszcz ulewny,
Albo też grady lan wytlukły pszenney,
Stary Kosarczyk zawsze był niezmienny:
Na lzy, na skargi, rękami obiema
Okolo uszu machnął i szedł w trud codzienny.

Żona, jak owa bylica, gdy wiosną
Upadną deszcze, cała złana łzami,
Dzieci, jak w rosie dziewanny, co rosną
Na sypkich piaskach, daremnie go proszą:
„Ludzie twe imię na językach noszą,
Żeś nie jak człowiek, tylko zwierz; nad nami
Miej litość, razem z twoim wszak i nasz wstyd głoszą.

Mamy garść siana, słomy cały stożec
Prawie, że zgnil już za oną stodolą;
Owsa nie braknie, a i żyta korzec

Znajdzie się jeszcze; weź, sprzedaj i nowe
Spraw sukmanisko, zaczesz włosy płowe
I lice umyj, złane niby słomą,
I żyj, jak ci, co mają mózg i serce zdrowe..."

Nic nie pomogło: na prośby i rady
Pomruknął czasem lub się głupkowato
Zaśmiał i poszedł, jak ten jego gniady,
Z łbem opuszczonym na pole... Żelazem
Nie zmieniłbyś go czerwonym... Był głazem
Który oblepił czarny brud, i na to
Świat cały nie miał środka z Panem Bogiem razem.

Raz tylko jeden wydał z swego wnętrza
Głos, nakształt trzasku, jak to drzewo w boru,
Gdy ręka burzy, nad myśl ludzką pędzsa,
Grubą mu gałęź odłamie; jak żmija,
Gdy nadeptnięta, w pion swe kręgi zwija,
Skręci się wtedy i oko potwora,
Nabiegle krwią, w powietrze, niby kolek, wbija.

„Precz z mego domu! precz! precz!“ tak na córkę
Syknie, gdy hańbę swej córki spostrzeże;
A gdy ta płacze, porwie za rozwórkę
I, niby lekką kozicę, drząc cały,
Rzuci o ziemię, aż w drobne kawały
Sprzet się roztrzaskał: niby jakie pierze,
Tak szczypcy się dębowe wokół rozleciały.

I córka poszła z ojcowskiej zagrody,
W świat wypędzona, a on znów się skulił
W swą własną skórę, jak ten jeź; do kłody

Znów był podobien i znów wgryzł się w rolę,
Jak w kawał sukna wgryzają się mole,
I ani popadł w gniew, ni się rozczulił,
I znów, jak głaz, przyjmował dole i niedole...

Tak aż do śmierci... Wieczór coraz ciężej
Kładł się na sioło, kiedym wszedł do chaty,
Gdzie snąć już życie śmierci nie zwycięży:
Kosarczyk leżał na sosnowem łożu,
Zwiędły, jak oset, zdeptan na przydrożu,
Z parą ócz, zblakłych, jak one bławaty,
Zostale na ściernisku po sprzątniętem zbożu.

Mrok izby chłopskiej blask rozszarpał słaby
Żółtej gromnicy, a posępna ciszę,
Od świecy żółtsze, przerywały baby,
Za konających szepcąc modły głuche;
Czasem brzęczącą usłyszaleś muchę,
Czasem on jęknie lub ciężko zadysze,
Lub, ruszy się, zachrząszczy pod nim słomsko suche.

„Bóg zapłać panu!“ — tak do mnie wyrzeknie
Kosarczykowa, ciemnej sukni końcem
Łzę ocierając, co jej rosą cieknie
Po wymarszczonym policzku; — „w tej nędzy
Pan może znajdzie nam radę, bo między
Ludźmi wszystkimi, co żyli pod słońcem,
Nikt strasznie tak nie konał... może umrze prędzej.

Teraz już chwilkę tak spokojnie leży,
Nawet przez usta wyszła mu już błada
Niby chmureczka: niech kto chce nie wierzy,

Boć wszystko mara, tylko Bóg jest wiara,
Jednak — wiadomo, Walentowa stara,
Co śmierć widziała niejedną, powiada,
Że dusza tak z człowieka wychodzi, jak para..."

Ale zaledwie te słowa wypowie,
Chory się zerwie z posłania, kościste
Wypreży ręce i te oczy w głowie
Tak, jak szerokie, wytrzeszczy i stęknie,
Że pierś kosmata, zdawało się, pęknie
Z trzaskiem, jak obręcz na beczce... O Chryste!
Takiego, jak ten widok, któż się nie ulęknie!

Parska, aż ślina usta mu pokryje,
Jak gdyby „bożą wolą“ nawiedzony,
Zaciska zęby, skręca chudą szyję,
Plachtę pod sobą drze na drobne szmatki;
Jak dzikie zwierzę, zamknięte do klatki,
Tak się szamoce ze śmiercią, do żony
Przemówić chce — nie może... sił to już ostatki...

Przestrach ogarnął obecnych, wszak dreszcze
I mnie schwyciły; baby jęły modły
Za konających czytać w głos: „Tej jeszcze
Udziel mu łaski, w tem życiu jedynej,
By śmierć miał prędką, potem przebaczyć winy,
O Panie Jezus, aby go zawiodły
Anioły twoje święte do świętej dziedziny..."

I jedna w rękę gromnicę mu wciska:
Wziął, lecz w tej chwili wyrzucił ją z dłoni,
Babę odepchnął od swego łóżyska,

Siadł nieruchomie i zaczął dokoła
Błądzić oczami; ścignął brwi u czoła,
Jakby powieki skryć chciał w fałdach skroni,
I znów porusza wargą i coś szepnąć zdoła...

„Jagusi żąda, nieszczęsnej Jagusi,
Którą przed laty jeszcze wygnał z domu“ —
Tak, zalewając się łzami, wykrztusi
Kosarczykowa — „posłałam-ci-ć po nią,
Lecz i najlepszym nie zdarza się koniom,
Ażeby biegły ze szybkością gromu,
Potrzeba dnia całego, nim dotąd przygonią..

Masz inne dzieci“ — tak się zwróci k'niemu —
„Kłęczą przed tobą, przeżegnaj sieroty,
Złóż na ich głowy rękę, by złemu
Zastąpić drogę tą przeświątą zbroją,
Błogosławieństwem rodzica..." Ukoją
Snać go te słowa i wyrwą z matrwoty,
Bo głów łkających dzieci dotknie ręką swoją.

Lecz znów w tym samym zerwie się momencie,
Jakby go kurcze porwały... „Innego —
Rzeknę — tu nie ma ratunku; pieczęcie
Spokojnej śmierci przyłożyć tu może
Tylko Jagusia. Tak jest, mocny Boże!
Abyś go zabrał do przybytku swego,
Wygnała tylko córka tutaj dopomoże“.

I tak się stało... Jagusia, o długą
Drogę od naszej biedująca wioski,
Wejdzie do izby, lez oblana strugą,

I na tej smutnej pościeli krawędzie,
Gdzie śmierć za chwilę z triumfem zasiądzie,
Padnie nieomal bez zmysłów:
Tak zmógł ją ból, że szlochać śnać się nie pozbędzie.

Stary Kosarczyk poznał swoją córę:
Popatrzył naprzód, jak człowiek, co oczom
Swoim nie wierzy, potem rękę w górę
Podniósł i ciężko spuścił i bezwładnie
Na głowę dziecka; ze źrenic mu zdradnie
Dwie się po twarzy wielkie łzy zatoczą,
A głowa podniesiona w poduszki opadnie.

Jak obmacuje ślepiec grzbiet gołębia,
Aby się jego barwą rozkoszować,
Tak on swą ręką, co się już oziębia
Od tchnień śmiertelnych, szyję córki chłodzi,
Albo palcami wyschniętymi brodzi
W jej gęstych puklach: chciałby je tam schować,
Tak miękko mu w tych włosów jedwabnej powodzi.

W kątach ust zwiędłych, skrzywionych cierpieniem,
Widać to było, spoczął uśmiech błogi,
A wargi drżały: z Jagusi imieniem
Z wnętrza ostatnia uleciała para:
To, jak powiada Walentowa stara,
Dusza z człowieka w nowe idzie drogi —
Lecz można-ż temu wierzyć? Ha! różna jest wiara...

IV. HANKA OLPIŃSKA

Spiritus flat ubi vult.

Prawią wam biblję o przeróżnych Jobach,
Opowiadają, że byli tu święci,
Co marli żywcem, pogrzebani w grobach,
Albo ginęli na krzyżach rozpięci,
I że w dzisiejszych używania dobach,
Gdzie każdy tylko ma siebie w pamięci,
Nikogo w ludzkim nie znajdziemy tłumie,
O którym rzecby można: O, ten cierpieć umie!

W niejednej baśni, w niejednej legendzie
I na niejednej dawnych dziejów karcie
Gubi się oko w bohaterów rzędzie,
Co, ogłosiwszy prawem praw zaparcie,
Szlachetnej krwi swej nie mając na względzie,
Mężnie zwalczali światowładztwo czarcie —
A zaś z tych legend i z tych kart wynika,
Że dzisiaj nikt w przebojach życia nie zamyka.

A jednak duch ten, co płodził rycerzy,
Co męczenników prowadził na stosy,
I dzisiaj jeszcze swoje ziarna szerzy,
Z których brzemienne wyrastają kłosa;
W pierś on niejedną i dzisiaj uderzy,
Że dźwięk wydaje, jak ten dzwon, w niebiosy
Ślący swój hejnał, ku drodze gwiazd mlecznej,
Bo duch ten z Boga idzie, bo ten duch jest wieczny.

Tylko ta dzisiaj zachodzi różnica,
Że owi ducha bożego wybrańce,
W szyszak żelazny nie skrywają lica,
Jak ci, co biegle odpierać pohańce,
Orły cesarów, rogi półksiężycy;
Że na bojowe występują szanice
Bosi, obdarcy, spragnieni i głodni,
A cisi — bez surm, kotłów, bez blasku pochodni.

I takie czasów dzisiejszych jest znamię,
Że człek cierpienia nie smaga się codziem,
Grzbiet odsłoniwszy, w najludniejszej bramie,
Ażeby grzeszny, ułomny przechodziem
Miał do kajania bodzić w krwawej plamie,
Aby lesbijski lub sodomski zbrodzień,
Szczęście widzący w zmysłowej przewinie,
Nauczył się rozkoszy szukać w dyscyplinie.

Dziś, jeśli walczą, to walczą ukryci,
Drobní, za ledwie okiem dostrzegalni,
Jak te pajęczki, co z jedwabnych nici,
Uwitych w ciała własnego przedalni,
Snowają siatki kunsztowne: pochwyci
Wiatr je lub owad i zerwie, nawalniej
Jeszcze się biorą do cichego trudu
Sztukmistrze, aż na nowo nie dokażą cudu.

Dziś, jeśli cierpią, to tak, jak te ziola,
Jak ten rozchodnik albo szczaw ubogi,
Które na miedzach rosną lub dokoła
Polnej, dzielącej cudze schedy drogi,
Wiją się z bólu, uginają czoła,

Gdy na nich spocznie ciężar ludzkiej nogi,
I potem znów się góry podniosą,
Po cichu zaplakawszy srebrną, ranną rosą.

Chcesz się przekonać, chcesz na własne oczy
Ujrzeć, gdzie dziś swój uczynił przystanek
Duch, co swe koła słoneczne wciąż toczy,
Idź i do chłopskich zagładnij lepianek,
Lub nor fabrycznych, między tłum roboczy.
Gdzie ludzi w łózkach nie zastaje ranek,
Gdzie wieczór braknie snu dla ciężkich powiek:
Tam cierpieć i tam walczyć umie prosty człowiek.

Tam nie jedynie o ten kęs powszedni —
O czarny kęs ten, co jak miód jest słodki
Dla szarej rzeszy, walczą ludzie biedni:
Kielnie i heble, kilofy i młotki,
Cepy i kosy podnoszą niejedni,
Roniąc pot krwawy, dla kwiatu szarotki,
Dla tej cudownej rośliny, co ciska
Swoją urok z niedosiętych szczytów, z nad urwiska.

Tam dla tej gwiazdki, co świeci na niebie,
Dla tej jutrzeńki, co się z mgieł wychyla
I potem znowu w ciemnych mgłach się grzebie,
Niejeden nędzarz swą duszę przesila
I swoje ciało. O wodzie i chlebie
Żyje, a marzy o skrzydłach motyla,
I dla tych skrzydeł, zwodniczych, niestety!
Ze zdrowych, krzepkich ludzi, stają się szkielety.

Taka Hanusia Olpińska! Cierpienie
I bohaterskie ponad siły bole
Ślicznego kwiatu podcięły korzenie,
Że zwiądl, że liści zieleniące zwoje,
Na dół opuścił, a przewonne tchnienie,
Droższe, niż wszystkie balsamiczne zdroje,
Stracił przed czasem... Dziś sucha lodyga
Na wątłym, zgniłym grzbiecie ciężkie pyły dźwiga.

A pomnę — piękna była ponad zwyczaj!
Smągła, jak sosnka w nieścinanym boru,
A twarz! a oczy!... Hejże! nie wyliczaj
Cudnych składników niebiańskiego tworu;
Blasków od słońca, barw od róż pożyczaj,
Woni od rana, ciepła od wieczoru,
Dźwięków od wczesnej, skowrończonej śpiewki,
Jeżeli chcesz wysłowić urok chłopskiej dziewczki...

Wyszła za szewca, jak wychodzi wiele
Cór wyrobniczych, które los wygania
Z chałup do miasta, gdzie ślubne im ziele,
Bóg wie, kto wije... Szewc był tego zdania,
Że „zawsze lepiej w karczmie, niż w kościele“,
W szynku też codzień kieliszkiem wydzwania,
„Dźwięczniejsze bowiem szkło wydaje tony
Niż kruszce, z których ludzie ulali swe dzwony“.

Pił, gdy był wesół, pił, gdy chodził struty —
Zwłaszcza dlatego, że nikt jakoś miary
Nie myśli wcale wziąć na nowe buty:
Jakaś przyszczyпка, jakiś obcas stary
Do naprawienia — to wszystko! Zbyt suty

Grosz stąd nie płynie, ale-ć na opary
Marne półkwarcie juści że wystarczy,
A żona? — niech się o nią Bóg troską obarczy.

„Zresztą — belkotal — jak ma człek pocziwy,
Człowiek rozumny dbać o taką żonę,
Co niesłyszane chce wyprawiać dziwy
I ma widocznie w głowie przewrócone!
Dał Bóg nam dziecię, chłopak, jak dwie śliwy,
Jędrne ma pyski, z radości aż płonę,
Że będzie szewcem ta pociecha nasza
Lub krawcem, a zaś ona chce mieć — Mesjasza“.

I szewc miał prawdę... Hanka, sama nie wie,
Skąd jej się do głowy brały takie myśli;
Nieraz, jak piękna melodja w śpiewie,
Drży to jej w sercu. I wtedy to kreśli
Obraz w swej duszy, wonny, jak modrzewie:
Na świat ten — mówi — różni ludzie przyszli —
Tacy i tacy, a któż zgadnąć może,
Że syn jej tak nie będzie, jako dziecię Boże?...“

Czytała w książkach nieraz opowieści,
Jak wychodzili męże z niskich stanów,
Zrodzeni we łzach i ciężkiej boleści,
Lepsi od książąt i od możnych panów;
Jak potem wielkiej doznawali cześci,
Jak byli nakształt tych cudownych dzbanów,
Z których — tak pisze w niejednej książeczynie —
Na świat, zmęczony trudem, miód i mleko płynie.

A że dla świata; potrzeba tej rosy
Że świat ten cierpi prawdziwe tortury.
Czyż to nie widać naokół? W niebiosy
Pnie się jęk krwawy, do słonecznej góry.
Że ludzie z nędzy giną, jak pokosy,
Że czem naodziać nie mają swej skóry,
Że mróz nędzarzy w nagie ciało siecze,
Że chleba już nie pomną głodne usta czlecze.

Sama-ć na własne widzi przecież oczy,
Jak trzy miesiące już leży w barłogu
Chora Stawarska, a nikt nie przyskoczy
Z możliwych, by stanąć na biedaczki progu
I poratować ją groszem... Tam broczy
W krwi swojej własnej, zlecając się Bogu,
Sąsiad Piątkowiak: na starość, niebiegły
W mularce, spadłszy z muru, rozbił skroń o cegły.

Tam Wierzbńskiego wygnali z roboty,
Bo tylko młodzi coś w fabryce znaczą —
Poszedł gdzieś żebrać, zostawił sieroty,
Które od zimna i od głodu płaczą...
Tu zmarł Sydoreczyk, a po nim ni złoty
Jeden nie został; złamane rozpaczą
Nie wie kobiecko, za co go pochowa.
A ksiądz go nie pogrzebie za proszące słowa.

Wieprze — to widzi — mają swe pomyje,
Swoje łupiny i swój groch, koryta
I swoje chlewy... Tylko człowiek żyje
Nieraz bez kromki, bez dachu... Nie pyta

Nikt się nędzarza, gdzie złoży swą szyję.
Na której dźwigał, nim jeszcze zaświta,
Do późnej pory, jarzmo, aż się cały
Uginał, jakby miał się złamać w dwa kawaly.

A ona-ć sama! jakżeż jej się dzieje?!
Takiego losu nie życzę nikomu!
On, co zarobi przepije i przeje
I potem jeszcze sprawia piekło w domu!
Czas już, by świat zmienił swe koleje,
Aby się pozbył wszelakiego sromu
I wszelkiej nędzy, aby mogli w gości
Do stołu iść pełnego także ludzie prości.

I czas ten przyjdzie niedługo, bo wszędy
Pomiędzy ludźmi głucha wieść już chodzi,
A słodka, dźwięczna, jak Boże kolendy,
Że się tu mocarz przewielki narodzi,
Niby król jaki, który tak w te pędy
Cały świat zmieni, w wszystko złe ugodzi
Twardą swą dłonią, że złe się rozprysnie,
A szczęście nad wszystkimi, jak słońce zawisnie...

A ten, co takie wszechwładne ma ręce,
Nie będzie chodził w pozłocistej szacie,
Ale, jak Chrystus, król królów, w stajence
Na świat ten przyjdzie, albo we warsztacie:
Nikt go nie pozna w tej powszedniej męce:
Choć jest kosztowny, jak złoto w dukacie,
Będzie wyglądał, niby miedź, a przecie,
Jak z zorzy, tak zeń blask się rozleje po świecie.

Głowę nad wszystkich będzie miał uczoną,
Że gdy swe ucho przyłoży do ziemi,
Usłyszy zaraz, co mówi jej łono;
A gdy do góry spojrzy oczy swemi,
Przeniknie zaraz tę górę złoconą,
To wielkie niebo... Nad księgi mądrymi
W przeróżnych kołach całą młodość strawi,
A potem swą mądrością biednych ludzi zbawi.

Ha! któż to zgadnie — Boże! chroń od pychy!
Że ona nie jest tą wybraną matką?...
Z drobnej gałązki, z jakiejś płonki lichej
Wszakże wyrasta silny dąb! Ostatkom
Sił nie sfolguje; jak ten chłopski, lichy
Koń, będzie w pługu chodziła, aż rzadką
Z ziarna swojego wychowa roślinę,
Co bujnym spełni kwiatem nadzieje matczyne.

Ona-ć, co prawda, może nie doczeka,
Aby za sprawą synowskiego dzieła,
Wyszła z tej doli, co łamie człowieka...
Ale cóż ona? W biedzie się poczęła,
Więc w biedzie skończyć też może... Daleka
Jest ci od tego, by dla siebie wzięła
Owoc soczysty; niech inni go jedzą,
Gdy ona pod cmentarną gdzieś wypocznie miedzą.

I nie przestała folgować swym siłom;
Pierwsza na nogach, pędziła o świecie,
Gdzie jaki taki zarobek jej miła
Wzmacniał nadzieję. Tam gdzie szła na szycie,

Tam się mocuje z ciężką ziemi bryłą
Na przedmieszczańskich zagonach; tu mycie
Podłóg u „państwa“, tam znów jakieś pranie,
Aż dziw, że na to wszystko jeszcze sił jej stanie!

Gdy wróci do dom z nóg upadająca,
Kiedy jej potu struga niemal krwawa
Leje się z czoła z trudu i gorąca,
Niejedna z szewcem czeka ją przeprawa:
Pijak dni swoich troską nie zamąca,
A troska żony dla niego zabawa —
Z gniewu się tylko szamoce i pieni,
Gdy nie chce mu na wódkę dać z swojej kieszeni.

Nieraz też żal ogarnia w tej doli,
Że tak na wieki los swój z szewcem skula;
Nieraz ją serce, jak rana zaboli —
A jest na wszystko, niby listek czuła —
Prowadzić życie bez serdecznej woli,
Lecz gdy już ciężkie trzewiki obuła,
Trzeba je dźwigać, trzeba wszystko znosić,
A Boga o wytrwanie i cierpliwość prosić.

Nieraz wspomina czas ten, gdy nad rzeką
We wsi, pod borem, rosła, jak sasanka!
W złocistem słońku tak jej lata cieką,
Jak wody w blaskach wiosennego ranka.
Na okolicę słynęła daleką:
„Niema dziewczyny, jak Wojtkowa Hanka!“
Prawią młokosy i w karczmie jej zdrowie
Niejeden pije duszkiem, jak gdyby po słowie...

Hej! hej! z tem słowem! Ono innym służy!
Ani pierzyny ni jasných koralí,
Bez tego zgnieść ją, jako listek róży,
Lecz nie przed ołtarz!... Hej! i dziś się pali
Do niej niejeden, nawet talar duży,
Gdy na posługi z domu się wydali,
Niejeden z panów, i stary i młody,
Pokaże i poszepce: „Szkoda twej urody!“

Ale Olpińskiej nie przyjąć z pokuszeniem,
Choć sama nieraz skarży się przed sobą
W tajni swej duszy i prawie ze drżeniem,
Że snąc nieszczęsną przyszła na świat doba,
Że, widać, źle się „spikło“ z jej imieniem,
Że lepiej ciężką męczyć się chorobą,
Niż takie życie — pierś się kraje w ćwierci,
Gdy o tem człek pomyśli — prowadzić do śmierci.

Juści-ć, że szkoda jej urody, juści!
Ale gdy człowiek związał się obrączką,
Niech sobie nigdy cugli nie popuści,
Niech będzie wiernym, choć jedną bolączką
Stałby się cały, choćby do czeluści
Miał zejść ognistych... Jak sok kwiatów pączkom,
Tak cnota żonie i matce! Hej! Boże!
Na głowę dziecka hańby sprowadzić nie może.

W bólu i walce płynie rok za rokiem.
A dziecię rosło, pono-ć nawet w szkole
Bywało między towarzyszy tłokiem
Zawsze na górze, a nigdy na dole.
Rosło pod matki opiekuńcem okiem

I pono-ć żadne nie zeszyły kąkole
Na tym zagonie, który matka hojnie
Zlewała swoim potem, a krwawo, a znojnje.

Ale czas przyszedł, gdzie matczyne dłonie
Nie wystarczyły. Syn o kiju ruszył
We świat, by szukać gdzieś w dalekiej stronie
Nowej nauki, którą znaleźć tuszył
O własnych siłach... Niestety! utonie,
Kto w sobie głosu bożego nie zgłuszył,
Gdy jego pierwsze podniosą się dźwięki,
A kto do worka niema poco kłaść swej ręki.

Co się z nim dzieje, matka nie odgadnie...
Ale-ć zdaleka, niby jako chmura,
Co naraz jasne niebiosą opadnie,
Wiść do jej duszy spłynęła ponura,
Że w synu z nędzy zbudziła się zdradnie
Straszna, zabójcza, ojcowska natura,
Co nieraz w całe mści się pokolenia —
Gdzież jest królestwo boże? gdzie są jej marzenia!?...

Hodował laki, stawiał gołębniki,

A ku sąsiadom z wielką był zazdrością,
Że mieli żony, gdy on żywot dziki

Musi prowadzić, co mu w gardle kością
Staje, ostrzejszą niż owe koziki,

Któremi ptasie wystrugiwał domki...
„Ha!” — mawiał nieraz z żalem i ze złością —

„Mają z kim dzielić każdy kasek kromki,
A człowiek to samotny, naksztalt zmiętej słomki“.

Był nieco rudy, nieco pięgowaty,

A pod oczami istne miał poduszki;

Plecy okrywał w granatowe szmaty,

Na szyi chustkę zawiązywał w różki,

Niby jedwabną, przed dawnymi laty

Gdzieś na jarmarku kupioną u żyda —

Na podarunek dla jakiejś dziewczuszki,

Ale dziewczyna — z niemi zawsze bieda —
Odrzekła: „mnie płat taki na nic się nie przyda“.

Bo trzeba wiedzieć, jako mój znajomy,

Za młodu strasznym bywał „lapersdakiem“.

Spódnik wywierał wpływ nań zbyt widomy,

Fartuszek, barwnym obszywany szlakiem,

Aż nazbyt wiele rozbudzał oskomy

W tem jego sercu... „Ano-ć“ — mawiał sobie —

„Nie jestem przecież żdziebkiem byle jakim,

A ino człowiek ze mnie, w każdej dobie
Znający się na rzeczy; podług tego robię...”

I podług tego zawsze też i wszędzie,

Wciąż niby rohil: kielich za kieliszkiem

Stawiał gromadzie; bil pięścią w krawędzie

Z wielkiej fantazji; nazywał braciszkiem

Kto się nawinał: „E! choćbym żołędzie

Miał jutro z głodu zbierać w onym lesie, „

Albo rozbójnikiem zostać i opryskiem,

Nic to nie szkodzi, życie życiem zwie się,

Kiep ten, kto żyć nie umie; na zdrowie ci biesie!...” —

I przytupywał sobie ową nogą

I rozmaite wyprawiał przysiuły,

Aż się kolana stykały z podłogą,

Aż się na głowie włos rozwiewał rudy;

Bil się po piętach i skroń marszczył srogą,

Na szyi ciasną rozpinał koszulę,

Wyłupiał oczy, śmiał się — bez obłudy,

Szczerze, jak słońce; wydzwaniał piosnule,

Jak kociol popękany, lub świszczące kule.

A szczególniejszą słabość miał, bez sprzeczki,

Zwłaszcza do jednej: wyrzucał z gardzieli,

Niby paciórki, słowa tej piosneczki,

Co to, powiada, że ludzie weseli

Dopiero wtenczas, gdy, jak miodek z beczki,

Słodka im miłość zacznie sączyć z duszy;

„W niebie się“ — mówi — „kochają anieli,

A was to żadne kochanie nie wzruszy!

Gołąbki, gołąbeczki! otwórzcie swe uszy!”

I krwawe ślepie zwracał w ową stronę,
Gdzie, jako pęki związanej zielska,
Siadły od tańca dziewczki rozpalone.
Wielką tkliwością — Panieńko Gidelska!
Pożal się nad nim! — chciał wyłowić żonę,
Jako żonate są ostatnie chamy;
Ale napróżno... Zatrzęsły się cielska
Dziewek od śmiechu: „wprzódzy zgub te plamy
Na gębie!” — tak mu parskną — „potem pogadamy”!

Po takich słowach Marcin Szafran znowu
Brał tak na ambit, jako chciał te dziewczki
Przekonać w oczy, że dobrego chowu
Jest niby chłopem; że jest mocno krewki
I że lichemu nie podda się słowu...
Więc ci też pije i miną nadrabia,
Naprzód świecące wysuwa cholewki:
„Żadna zwas” — krzyczy — „nie ma dla mnie wabia,
Ta patrzy, jak jaszczurka, ta, jak „panna żabia!”

A one dziewczki, jako są bestyje
Zawsze zbereżne i kochają żarty,
Wzdyć jeszcze bardziej gną spalone szyje
Z wielkiego śmiechu, co jak cap uparty
Trzyma się warg ich i w kątach się kryje,
Kiedy go niby chcą wygnąć powagą:
„Już-ci swój rozum masz na miazgę starty!
Wiechetku! prawdę mówimy ci naga,
Ustatkuj się, bo chodzisz nie prosto, lecz szaga!”

Ale Wiechetek — bo tak-to Szafrana
Zwali naokół — nie bardzo do siebie

Brał takie mowy... Trula go nagana
Co do tych piegów, to prawda!... „Na niebie” —
Powiada — „zorza świeci wyłacana,
Bez żadnej plamki, a na mojej twarzy
Wciąż pstrokaczna!...” Więc, gdy się zagrzebie
Nocą w tem gnieździe, tak ino wciąż marzy,
Czy znaleźć mu na piegi środka się nie zdarzy...

Wreszcie mu jakiś dobry duch poradził,
Że niby zawsze mocno jest skutecznem
Przeróżne ziele; żeby się okadził
Wiankiem święconym, a stanie się mlecznem
Jego oblicze... Ano-ć nie zawadził
Nigdy o kamień, kto usłuchał rady
I w sam czas stanął w miejscu niebezpiecznem:
Jak przykazały pocziwe sąsiady,
Wiechetek wziął wypędać z lic plamiste wady.

Ale wiadoma jest to rzecz na świecie,
Że jak na kogo raz już wrogie losy
Zagną swój parol, ten już nie uplecie
Żadnej korony szczęścia na swe włosy...
Szafran się rychło przekonał, że przecie
W lekarstwie nieraz pomyłka być może:
Kadzidło dobre, gdy bydlak od rosy
Wzdmie się w lucernie, albo w innej porze —
Na piegi... ha! snąc tego nie chcesz, mocny Boże!

Próbował tedy na inne sposoby,
Bo-ć chyba nigdy z tem się nie ożeni...
Liść łopianowy, rwany nocnej doby,
Moczył we wodzie wraz z garścią korzeni

Tatarakowych, jako — do choroby!
Musi być tęgość — mawiał — w tataraku!
Wodą tą mył się: może się i zmieni
Gęba co nieco... Ale ani znaku!
Et! lepiej się utopić, lub zginąć na haku!...

I to nim jeszcze straszliwie rzucalo,
Że zczerwienione znacznie miał powieki;
Ludziska w oczy gadali mu śmiało,
Że jest jak królik, że powinien leki
Znaleźć i na to, jako jest nie mało
Przeróżnych lekarstw pomiędzy „narodem“.
Chodził i chodził, ale, jak te rzeki
W tył się nie cofną, żar nie będzie lodem,
Tak ona krew nie zginie pod tych powiek spodem.

Ano i nieraz kiedy się zobaczy
W małym lusterku, co przy sobie zawsze
Nosił w zanadrzu, tak z wielkiej rozpacz
Wydaje mu się, że z dniem każdym krwawsze
Są te powieki i że twarz się znaczy
Coraz to bardziej piegami, że oto
I ludzkie ślepie patrzą nań ciekawsze;
Więc, aby skończyć z nieszczęsną „żorotą“,
Podąża do karczmiśka — błoto, czy nie błoto...

I z „mankolii“ przytupuje nogą
I rozmaite wyprawia przysiudy,
Aż się kolana stykają z podłogą,
Aż się na głowie włos rozwiewa rudy;
Bije się w pięty i skroń marszczy srogą,
Na szyi jasną rozpina koszulę;

Wyłupia oczy, drze się — bez obłudy,
Szczерze, jak słońce; wydzwania piosnule,
Jak kocioł popękany lub świszczące kule...

Jużci-ć w spokoju nieraz sam tłumaczył
Swojemu sercu, ażeby też więcej
Miało rozważy; lecz tak już przeznaczył,
Widno, sam Pan Bóg, het! od lat tysięcy,
Bo Adam w raju, gdy Ewę zobaczył,
Tak-ci od razu, choć był bożym tworem,
Mózg mu się zmienił, niby w mózg cielęcy:
Nic, ino z Ewą siak i tak, wieczorem
I rano — wciąż przy swojej w miłowaniu skorem.

Prawda że potem Pan Bóg się pogniewał
I niby z raju wypędził Adama,
Ale to z tego, że za głośno śpiewał,
Że pieścił Ewę, choć nie chciała sama,
Skutek był taki, że odtąd odziewał
Adam swą nagość — lecz to rzeczy znane;
Świecić golizną przystoi dla chama,
Dla tego licha, co to wciąż pijane —
Stateczny człek ma zawsze na plecach sukmanę.

Tak sobie często medytował w głowie...
Ale, któż wie to, byłby może wreszcie
Swojemu sercu kazał, co się zowie
Aby milczało na wdzięki niewieście,
Gdyby nie jedna, co mu wzięła zdrowie
Już całkowicie: raz, kiedyś, przypadkiem,
Córka Bartoszeki, w dzień odpustu, w mieście,

Z wielkiej szczerości — zbyt to było rzadkiem —
Raczyła nie Wiechetkiem nazwać go, lecz bratkiem.

„Ano, jak bratek” — odrzecz — „to bratek!
Bóg-że ci zapłać, chociaż, mówiąc szczerze,
Oddałbym raj swój i chleba ostatek,
Gdybyś mnie mężem...” „Niech cię лихо bierze”
Parsknie dziewczyna i w te tropy platek
Do warg przyłoży, aby ukryć śmianie...
„A co?” — zapyta Szafran — „czy ja zwierzę?
Czy mnie to nie stać na ludzkie kochanie?
Powiadam ci, że szczęścia na zawsze nam stanie!”

Odtąd zupełnie biedne Szafranisko
Otumaniało... Zawsze tak sprawował,
Iżby się znalazł koło dziewczki blisko:
Drogę zachodził, za ploty się chował,
Aby ją ujrzeć; drżał, jak zbite psisko,
Bóg wie, dlaczego, kiedy mu przed oczy
Tak wręcz stanęła... „Wiesz, tobie konował
Bardzo potrzebny, niech ci krwi utoczy” —
Mawiała wtedy Kaśka — „w ślepiach ci się mroczy”.

O tak! mroczyło mu się! oj! mroczyło!
I język w gardle także stawał kolkkiem.
Chciał nieraz mówić: „Dobrze-by to było,
Gdybyś tak Kasiu!...” chciał ją zwać aniołkiem;
Lecz zamiast tego tak się to zdarzyło,
Że zaczął piszczeć: „Kasia?! u młynarza,
Da! u młynarza Marcina...” „Rosółkiem” —
Wbrew mu się dziewczka zaraz przekomarza —
„Kluseczki podlewają, wszędzie to się zdarza...”

„Ba! ba! i u mnie też na rosół starczy;
Mam chałupinę, niegorszy ogródek,
Na pulchnej glebie, nie wśród żadnych karcz; —
Laczek w nim rośnie fiu! fiu! — aż się ludek
Cały dziwuje, aż z zazdrości warczy...
I gołębniczek... hoduję gołąbki,
Białe i czarne i pełne obwódek
Pstrych na tych szyjkach; same ci do gąbki
Polecą, na ich mięsku stępisz sobie ząbki...”

I nieraz laczek wciska jej do ręki,
Jako nad wszystkie kwiaty lak jest górą.
Bo to i w palcach, niby jedwab, miękki.
I w oko wpada tą swoją purpurą
I ślicznie pachnie... róży całe pęki
Niby tak wonią nie idą do nosa...
Czasem gołąbka przyniesie — ot, z córą
Starej Bartoszki chciał być co do włosa
Na dobre: tak mu nogi podcięła, jak kosa...

„Gołąbek” — mówi — „widzisz, ty Kasiu! —
Niby tak w piśmie stoi — jest oznaką
Wielkiej miłości... Nie zadawaj bólu,
Da! „ożeń-że się”, nie bądź przecie taką.
Będzie weselej... będzie: lulu! lulu!
Mały gołąbku!...” — Ale to dziewczusze
Było do śmiechu: „Daj ty spokój lakom
I tym gołąbkom, powiedzieć ci muszę —
Lub — jeśli chcesz, to czekaj, może się i wzruszę...”

Tsia! kpila sobie pocieszna bestyja...
Ale on czekał; niby brał jej słowa

Tak „na doprawdy...” Aż tu roczek mija,
A z Kaśki naraz żona już Wojtkowa...
Szafrana wzięła wielka mankolia,
I jeszcze bardziej utracił na cerze —
Zżółkł i posmutniał i — gołąbki chowa
I lak hoduje... Czasem mu się zbierze
Na ambit: „jako” — mówi — „babom już nie wierzę!”

Wtedy, choć stary przytupuje nogą —
Na przypomnienie; wyprawia przysiudy,
Aż się kolana stykają z podłogą,
Aż się na głowie włos rozwiewa rudy;
Bije się w pięty i skroń marszczy srogą,
Na karku ciasną rozpina koszulę,
Wylupia oczy, drze się — bez obludy,
Szczерze, jak słońce; wydzwania piosnule,
Jak kociół popekany, lub świszczące kule...

VI. JEWKA ORLICZKA

(Opowiadanie mojego przyjaciela
Macieja Orchowskiego)

I.

I tak ci się z nią stało... A wszystko dla ziemi,
Dla matki naszej świętej, co ziarnami swemi
I czleka wszak używi i tę mysz w stodole...
Obejście miała swoje, miała swoją rolę
I polcie na zapiecku i pieniądze w skrzyni —
Jak mówię, całą gębą była gospodyni!
Lecz żał się, Panie Boże! Żał się, mocny Boże!
Nikt nie wie, jakie los mu przygotował łożę;
Nikt nie wie, co tam anioł w swej księdze zapisał
Dla dziecka, które człowiek ręką wykołysał,
Dla kwiatka, który człowiek zasiał na swej grzędzie,
Nikt nie wie, jaki jeszcze czas rozkwitu będzie...
Gadają starzy ludzie: „Człowiek żyto sieje,
Wtem przyjdzie wiatr i ziarnka, niby maczek zwieje;
Poszywa człowiek dachy, wtem słomianą strzechę
Nawałność dzika zerwie, niby jaką wiechę;
Oblicza sobie człowiek, widząc w czerwcu kłosy:
Plonuje złote żytko pod pańskimi rosy,
Wymłóć, wezmę na targ, zapłacę podatek,
Dzieciakom kupię buty i kobiecek szmatek —
Chusić albo serdak, czego tam zapragnie,
Aż oto idą deszcze, zboże, jakby w bagnie
To trawsko, które gnije; aż tu idą grady,
Zesieką, że ci nawet nie stać na podkłady,

Że nawet garści słomy nie masz już na sieczkę.
 By szkapku też podrzucić, napaść jałoweczkę...
 Toć rzeknij sam: czyż z Jewką inaczej się działo?
 Chlebaszka w bród i groszy, jak mówię, nie mało.
 Pszenicy, że, powiadam, tydzień machać kosą!
 Ludziska aż zazdroszczą: „Ba! Orliczce boso
 Nie trzeba wcale chodzić; ma-ci na trzewiki,
 Ma cugi, sługi, plugi, sierpy i motyki;
 Jest komu zorać zagon, jest i zasiać komu;
 Jest skopać czem i pociąć, jest co zwieźć do domu.
 Orliczce do kościoła nie walić piechotą,
 Ma fasong, ma dwa żrebce maści, kiejby złoto;
 Ma szle, że aż się mienia, wyszywane dery;
 Starczyłoby ją nawet na pańskie kuczery
 W bogatej liberji, co od srebra kapie,
 W jelenich rękawicach, w galonkowej czapie...
 Hej! niema to jak wdowiec dla młodej dziewczuli:
 Obchucha na wsze strony, pierzyną obtuli,
 Podmaśli, jak potrzeba, kłopot z warg wypije,
 Jedwabny sprawi fartuch, korale na szyję;
 Obetnie sam włosiska, łupież z ramion strzepie;
 Poglądzi po policzkach, słodko zajrzy w ślepie;
 Okręci ją naokol, posadzi na łóżku,
 Przyniesie sam polewki kraszanej w garnuszku,
 Nieomal sam jej strawy naleje do gęby.
 Nieomal sam jej nie wciśnie kawał placka w zęby...
 Orliczko — tak jej mówią — nam-ci trza kapustę
 Ze szczerej jadać kłody, a ty codzień w tłuste
 Oplywasz, jako ryba, tak, jak ów karasek!
 Orliczko! hej, Orliczko! tobie ino pasek
 Rozluźniać na tym brzuchu, kiedy nam wypadło
 Zaciagać coraz bardziej ciasne sznurowadło!...”

II.

Lecz Jewka na to ludzkie gadanie nie słucha!
 U pasa nie popuszcza modrego fartucha
 I z pychą do świętego nie jeździ kościoła...
 O świecie już na nogach: dziewkę ze snu woła,
 Do doju idzie razem, zajrzy do koryta,
 Podściela sama bydlu, nawet koniom żyta
 Dorzuci garść z opalki, nim się jeszcze z werka
 Pasierbik wygramoli, jak skręcona ścierka.
 We żniwa, podkasawszy do kolan spodnicę
 I chustą zasłoniwszy przed słońcemkciem lice,
 Odbiera, jak służebna, grabi, wiąże w snopy,
 Że dziwią się gosposze najemniki-chłopy.
 Ja sam, gdy tak przypadkiem szedłem wedle drogi,
 Nieraz z niej pożartuję: „Jewka! toć ci nogi,
 Znać, do cna posiekają te wej! suche rżyska;
 Gdy żal ci tak trzewiczków, obuj choć buciska
 Wojtkowe, toć ci Wojtek nie odmówi pewnie —
 Ptasiego dałby mleka, jak czystej królownie!
 Gadają, pieści ciebie, nazywa jedyną,
 Podchlebisz mu się kiedy wesołą godziną,
 Rozgrzejesz zimne kości, rozruszasz starego,
 Dyc, może co i będzie... Niech cię święci strzegą,
 Orliczko! Orliczycho! ty jalocho młoda,
 By harać tak, aż ciecze ci ta słona woda
 Po czole, po policzkach, po spalonym karku!...
 Na kogo?!... Toć ci stary i tak bez poswarku
 Zostawi spory trzosik... Hej, Orliczko moja,
 By sarna, u samego stoisz przecie zdroja,
 Nie goni nikt, jest cicho, jak to mówią w lesie;
 Lesaczynka nie zachrzęszczy, wietrzyk nie poniesie
 Listeczka nawet w pole, nie wystraszy sarny,

Włec po co tak się zwiąć?...“ „Marny-ć, rzecze, marny
 Jest, wiecie, żywot ludzki, lecz cóż?... Robić trzeba,
 By we wsi nie mówili, że kawalek chleba
 Jem za nic u Orlika... Wszystko-ć pasierbowe,
 A nie chcę, aby kiedy spadł na moją głowę
 Jakowyś żal pasierba, że mu plód macoszy,
 Jak tchórz pomiędzy ptastwem, w gnieździe się panoszy.
 Ja nie chcę, aby raz też miał wyrzucać ojcu,
 Że wej! na jajach kaczych kokosz wsadził w kojcu,
 Że kokosz naderszała cudze jaja dziobie...
 Mówicie, człek jałowy... Ha! niech będzie sobie!
 Lecz dzieją się różnice, siak i tak się kluje:
 Człek ledwie zapomyśli, już pod sercem czuje
 Dar boży, niewiniątko — tak dzisiaj i ze mną,
 Włec widno, że jest na co się zwiąć... Najemną
 Nie myślę być, jak mamka dla krwi swojej własnej...
 Słuchajcie, co? próżnować w ten dzioneczek jasny?“ —
 Tak innym znowu razem z uśmiechem odrzecze,
 Gdym spotkał ją w wykopki, jak się w pole wlecze
 Z mieszykiem i ze szpadlem niby prosta dziewczka —
 „Próżnować“, tak ci mówię, odśmiej się Jewka,
 „Gdy wszędy jest wiadomo, że Bóg dzień ten stworzył,
 Ażeby wszystkie siły człowiek w pracę włożył?
 Jak robak, tak się człowiek zrośł z skibą każdziutką,
 Z tym szlakiem, z tym zagonem, z tą najmniejszą grudką,
 Że gdyby oderwano człowieka od ziemi
 Tak gwałtem, gdyby kazał kto z zagony temi
 Pożegnać się na zawsze — tak ja myślę sobie,
 Byłoby chyba lepiej żalować zamknąć w grobie...“

III.

Umierał stary Orlik; już i czas mu było
 Pokumać się, jak mówią, z tą czarną mogiłą.
 Był niby klon spróchniały, lub ta topolina
 Za chatą widzisz, moją, którą wiatery zgina,
 Że trzaśnie lada chwila... Był-ci czas ponury:
 Słoneczka ani ujrzyć złotego u góry
 A tylko te obłoki coraz bardziej rosły,
 Gdy Antek, syn Orlików, przyszedł do mnie w posły,
 Że ojciec niby pragnie dawnego sąsiada...
 Poszedłem... Twarz kumotra, jak płachcisko, blada,
 Na którym leżał stary; oczy, jak zamglone...
 Jak kule te z ołowiu, tak je ciężko w stronę
 Obracał, gdzie my stali: Jewka z trzyroczniakiem,
 Syn Antek i ja, mówię... Odchrząknął i znakiem
 Tej ręki, niby szczypa, prosił nas ku sobie:
 Podeszli my do łóżka; Jewka w swej żalobie
 Upadła na kolana, skryła twarz w pościeli
 I lkała, tak-ci lkała, żem myślał — anieli,
 Co schodzą, jak to stare księgi gdzieś pisały,
 By świeżą wziąć duszyczkę do tej pańskiej chwały,
 Z nią razem i łzy Jewki zabiorą do nieba.
 I jeśli onej duszy przejść za grzechy trzeba
 Czyśćcowy jeszcze ogień, wtedy one leżki
 Tak zmiękczą, pomyślałem, majestat niebieski.
 Że za nic będzie ważył wszelkie przewinienia!...
 „Bądź cicho, Jewka... nie płacz!... wiem, żeś z pokolenia
 Jest dobrą“ — tak wyszeptał... — „Antoś, dziecko moje,
 Chleb matce aż do śmierci... O to się nie boję,
 Że oddasz... mojaś krew ty!... sam-by Bóg cię skarał,
 Byś wygnał ją z chałupy... Haral-ci ja, haral,
 Zostawił trochę grosza: pogrzeb wyprawicie;

Na ciebie, Jewka, reszta, reszta na obycie
 Dla Wasia, nim dorośnie... Wasiuchna! Wasiuchna!
 Zaledwie zaznał ojca!..." Jak ten pyłek próchna
 Ze starych, mówią, krzyży, co się w nocy jarzy,
 Tak jemu lzy błyszczały w ten wieczór na twarzy...
 „Gdy dziecko dojdzie lat swych, spłacisz jego schedę,
 Antosiu... toć to brat twój... Kumotrze, na biedę
 Wy świadkiem; niech mu pięćset talarów wypłaci...
 Nie robię nic na piśmie... I ja miałem braci,
 Rzekł ojciec: „nie oszukaj!..." i oddałem szczerze
 Bez znaków i pieczęci na martwym papierze...
 Uczciłem matkę, słyszysz?... i Bóg błogosławił...
 Ty Jewce nie pasierbem... ty jej serce krwawił,
 Jak syn rodzeniutki, pamiętasz, przed laty;
 Gdyś leżał tak, jak tu... Wypocznę..." I w szmaty
 Owitą oną głowę odwrócił ku ścianie
 I zasnął, mówię, zasnął... Tylko, jakby rwanie
 Tych piersi było słyhać; z kąta jęki głuche
 Kobiecka, które, głowę skrywszy w ręce suche,
 Przykuć, jak ten grzybek... I Antek zaszlochał
 Raz po raz na ławczysku; widno, ojca kochał,
 Dyć, widno, żal mu było, że ojciec umierał...
 Małuśki Waś swą buzię siak owak otwierał,
 Szczebiotał, jak się zdawało, aż usnął nareszcie
 U kolan lęcącej... „Strzeżcie się, ej! strzeżcie
 Żalości nazbyt wielkiej“, tak się zwróć do niej —
 „Znać, może Bóg przemieni, może i obroni
 Od chwili ostatecznej — śpi, znać lepiej będzie..."
 Nie rzekła nic, więc zmiłkłem i tak na krawędzie
 Czy stołu, czy też kufra — wyszło mi już z głowy —
 Oparłszy oba łokcie, w ten wieczór marcowy,
 Słuchałem, jak wiatr gwizdał pomiędzy drzewami,

Jak deszcz o szyby walił... „Boże! bądź ty z nami!“
 Pomyślę sobie w duszy — „odwróć od tych ludzi
 Nieszczęście..." Tak pomyślę, kiedy w tem się zbudzi
 Ów chory... słucham... dyszy... Czuję, co się święci,
 Więc zaraz mi gromnica była na pamięci —
 „Zapalcie“ — mówię Jewce — „już ostatnia chwila
 Odmówić litanję..." Ledwie wyrzekł tyła,
 Gdy było już za późno: chrapnął raz i drugi
 I poszedł już na zawsze między pańskie sługi...

IV.

Minęło może roczek, może i z pięć ćwierci
 Od czasu, gdy my byli przy Wojtkowej śmierci...
 We wsi się żaden pionek, żaden dach nie zmienił,
 To chyba, że się Antek do groszy przyżenił.
 Wziął sobie, Bóg wie, skąd tam, gospodarską córkę,
 Poznaną na odpuszcie przez jakąś rajfurkę.
 Orliczka, tak, jak dawniej kręciła się cwałem
 Na polu i w podwórzu... Ja-ć się podstarzałem —
 Toć wieków mam już sporo, nie żadna dziwota,
 Lecz Jewka, niby młoda, a już jej ochota
 Do życia, znać, odeszła: — wiedła, jak to zielsko...
 Radzili ludzie: „Żeń się, będziesz grzeszne cielsko
 Martwiła tak do końca?...“ Wszystko nadaremnie;
 Orliczka im odrzecze: „Taki duch już we mnie,
 Że wiary chcę dochować zgasłemu mężowi,
 Jest dobrze mi u syna“ — tak się im wysłowi...
 Pewnego razu wracam coś w południe z miasta —
 Sprzedałem dwa prosiaki —, aż moja niewiasta
 Przywita mnie już z progu: „Ino wejdz w tę sprawę,
 U Antka źle się dzieje; lzy wylewa krwawe

Ta Jewka, pasierb wręcz ją wypędził z chałupy...“
„Na, masz tu“ — tak rzeknę do starej skorupy,
Do baby niby mojej — „widzisz, za prosiaki
Te kilka złotych, mówię, targ był ładajaki“
I zaraz do Orlika pobiegnę z pośpiechem:
„Mój Antku! — tak mu powiem — czyż to nie jest grzechem
Wyganiać tę, co matką była zawsze tobie?
Toć ojciec się przewróci ze żalości w grobie,
Spokoju mieć nie będzie“. — Na te moje słowa
Tak on mnie wręcz zagadnie: „milsza swoja krowa,
Niż obce całe stado... Przetrzepałem trochę,
Jak zrobić się godziło, upartą macochę...
Niech idzie na komorne; chleb jej oddam święcie,
Lecz tu na moich śmieciach inne jest poczęcie:
Tu nie ma dzisiaj miejsca na dwie gospodynie,
Tak moja mi powiada, według tego czynię.
Pan ojciec też mi radził: „oddaj, co należy,
Lecz z karku niech ci baba cudza, gdzie chce, bieży...“
Ma słuszość...“ „Ej! Antosiu! Nie tak ojciec własny
Przed śmiercią sobie życzył... zresztą powód jasny
Do prawa... świadkowałem...“ „Ha, niech się prawuje,
Zobaczmy“ — tak ów gałgan wręcz mi w oczy pluje...
I poszła na komorne... Robiłem niejedno,
Ażby uspokoić ową Jewkę biedną...
„Cóż płakać“ — tak jej powiem — „tej nędznej izdebki,
Gdy chleb wam ino odda bez żadnej zaczepki?
I grosza też coś macie; kochana kumolu,
Uśmierzcie łzy te gorzkie, zaprzestańcie bólu,
Dyć wiecie, jeśli trzeba, to i proces pewny:
W swej chacie kąt dać musi; po co wam ten rzewny,
Kumolu, jęk nad niczem?...“ „Oj! a gdzie nad niczem“ —
Tak Jewka mi oūrzecze z splakanem obliczem,

„Człek przyrósł już do kąta, przyrósł do tej skiby
Przez kilka lat tych, mówię, że dziś, jakby w dyby,
Kto serce moje zakul, gdy trza wszystko rzucić!
Oj! płakać nie przestanę! Oj! będę się smucić,
Aż pewnie z smutkiem zejść do ciemnego dołu.
Cóż chciałam?... Nic nie chciałam! pracować pospołu,
Poruszać się w podwórzu, pokręcić się w polu,
Pszenicę, wej! oczyścić z habru i kakułu,
Zaglądać do obory, jak to dawniej było!
Pasierba-ć, mówię, wszystko, ale mnie się śniło —
Oj! śniło mi się ino, że już tak do końca
Harala będę w skwarze lipcowego słońca,
Jak gdyby na swem własnem... Oj! ty dolo moja!
Nie sarna ja spokojna u cichego zdroja:
Wygнали mnie, spłoszyli — nie szumnym jaworem,
Nie chrzęstem tej leszczynki, lecz prawie baciorem!
Radzicie niby prawo, a toć gdzie procesy,
Tam bale, mówią starzy, wyprawiają biesy,
Ostatnia to pociecha... Niech mu Bóg przebaczy
Za gorzkość mojej doli, za ciężar rozpaczy!
Oj! ziemio, święta ziemio! Oj! ty czarny znoju!
Ty pewnie już do grobu nie dasz mi spokoju...“

V.

Wiesz, późno było w nocy... Ja ci spać nie mogę,
Lecz sen też coś opuszczał i babę-psianogę.
Na gnieździe ci się wila owo-ć moja żona,
Jak gdyby kuropatwa, w sam brzuch postrzelona.
„Maciejul!“ tak się naraz odezwie mi z kąta,
„Czy śpisz?“ „Ba! gdzieżbym spać miał...“ „Pewnie już
dziesiąta?“

„Co bajesz?...“ tak jej powiem, „czy straciłaś miarę?
Dwunasta, nie dziesiąta... przykryj kości stare
Pierzyńskiem i stul gębę“ — na to jej odpowiem...
„Czy słyszysz, jak wiatr wieje? aż mnie niby mrowiem
Przechodzi coś po ciele na oną wichurę —“
„A cóżbym nie miał słyszeć, toć mam w uszach dziurę“,
Odrzeknę, „której jeszcze nie zalepił woskiem“.
„Kto wie, co tam się stało za zrządzeniem Boskiem,
Z pewnością kto i skończył; z pewnością, że życie
Sam sobie kto odebrał...“ „Śpij! spij!“ tak kobiecie
Odpalę znowu na to, „to zabobon ino;
Wiatr wieje, bo i wieje, lecz nie za przyczyną
Jakowąś, jak ty gadasz..., „Ty już w nic nie wierzysz,
Czułości nie masz żadnej, niby drewno leżysz,
Gdy mnie to, wej! po skórze aż ciarka przechodzi...
A stajnię czy podparłeś?... Pewnie nie zaszkodzi
Podeprzeć, bo ten wicher cały szczyt wywali...
Wiesz, Maciek“, tak mi baba zacznie mruczeć dalej,
„Mnie w sercu, powiadam ci, niby strasznie tyka,
Że stało się nieszczęście... Pamiętasz Orczyka?
Pamiętasz, jak to wicher szalał tego czasu,
Gdy drzewo na przyciesie sprowadziłeś z lasu?
Mówiłam ci: Ej! chłopie, źle się kędyś dzieje,
Z pewnością na wisielca wiatr ten straszny wieje;
Z pewnością źle już stwory szarpia jego duszę,
Boć widna rzecz, że taki idzie na katusze,
Gdzie niczem, jak to mówią, Madejowe łoże;
Człek życia sobie nie dał, więc i wziąć nie może,
Śmiertelny grzech to, mówią... Ty zakpiłeś ze mnie
A co? nie sprawdziło się? gadałam daremnie?
Orczyka wszak znaleźli o rannej godzinie,
Jak wisiał już nieżywy w stodołce na klinie...

I dziś ktoś się skazał, widać, z własnej ręki
Na wieczne potępienie, na piekielne męki.
Dyć grzech to, mówią, prawda! jest to grzech nad grzechy
Lecz czasem coś tu robić, gdy człowiek pociechy
Na świecie nie ma żadnej?! Więc z onej żoroty,
Z żalości, mówią, onej, nie dziwno, że cnoty
Zapomni człowiek na raz, że popelni zbrodnię
Ta Jewka na ten przykład: mijają tygodnie
Od czasu, gdy ją pasierb z chaty wyszczuł psami,
A co? czy już spokojna? zalewa się łzami,
Biaduje, że aż straszno pomyśleć! Wiesz, zniwa
To jakby pogorszyły; widać, nieszczęśliwa
Sto razy jeszcze więcej, gdy patrzy na ludzi,
Jak wszystko u Orlika, że aż strach, się trzusi;
Jak zwożą — fury zboża do onej stodoły,
Jak młody Orlik biega czerwony, wesół —
Boć prawda, że to roczek nazbyt urodzajny...
Dyć byłam ja ci u Jewki; zwyczajny
Interes niby miałam — szło o zapytanie,
Czy jeszcze jej potrzeba słomy na posłanie,
Bo wiesz, że coś dwóch snopów zażądała wczora...
Spoglądałam ja ci na nią: „Jewka! czyś ty chora,
Że oto tak wyglądasz, jakby z krzyża zdjęta?“
Lecz ona nic... „Niech serce twe się upamięta“
Tak znowu ją zagadnę — „po co te żalości?
Wyplaczesz sobie oczy i wysuszysz kości!
Powinnaś przecie baczyć na oną sierotę,
Co będzie z nią, gdy masz już zagryźć się ochotę?“
I na to nic, przy oknie, jak kamienna, stała
I prosto na podwórzu Orlika patrzała —
Te ręce strasznie chude na ciemnym fartuchu,
Te oczy, jakby za mgłą... Więc ja znów co duchu,

Doradzać jak najlepiej, by się zbyła bolu;
Lecz ona ino z łzami: „Kumolu! kumolu!
Brak nawet własnej słomy...” Tak-ci, mówię, było...
Sam powiedz, czy dziwota, jeśli za mogiłą,
Jeżeli za tą śmiercią tęskni człowiek taki?...“
„Masz prawdę“, rzeknę babie, „złe to niby znaki!
Ja sam ci nieraz widzę, jak chustką, okryta,
Okrąża dawne gniazda ta biedna kobieta,
Prawdziwie, jakby ptak ten, którego łasica
Wygnała z jego gniazda; sam słyszę, jak lyca,
Jak szłocha, kiedy ino swe oczy podniesie
Na dawne, stare kąty... Jak brzezina w lesie
Po rosie lub po deszczu, tak łyzy Jewka roni...
I dzisiaj idę w pole, by zajrzeć do koni,
Do Walka niby trochę, aż, patrząc, przedemną
I Jewka ze swym Wasiem... Miała chustkę ciemną
Na głowie, a na sobie serdak, wiesz, ten w kratki...
Chłopczyzna szedł, trzymając się za suknię matki.
A wcale nie spostrzegli, że szedłem za niemi;
Gadala coś do chłopca słowami cichemi;
Słuchałem: „O Wasiuchna! Wasiuchna mój złoty!
To, widzisz, twego ojca jest rola!...” Aż poty,
To-ć mówię, wystąpiły, tak mnie ścisło w dołku,
Gdym słyszał te wyrazy... „Aniołku! aniołku!
Wasiuchna mój jedyny!...” I nadto nie więcej...
Zostałem trochę w tyle... Nic... Szczebiot dziecięcy
Zdaleka tylko jeszcze dolatywał ucha.
Słuchałem, jak się czasem tej topoli słucha,
Co szumi, Bóg wie, jak tam, wedle onej drogi...
Oj! żal-ci, mówię, babie „żal-ci mi niebogi!...”
Tak niby my ze sobą bajali tej nocy,
A wicher za chałupą dał z caluńskiej mocy,

Aż wszystkie, mówię, drzewa w tym moim ogródku
Jęczały niby, widać, z ogromnego smutku...
Nareszcie i sen przyszedł, trochę oczy zmorzył,
Lecz, mówię, co-ci było, ledwie je otworzył?...
Wiesz, nawet jeszcze na się nie wciągnął jaczyska,
Gdy słyszę, ktoś za oknem grzmi z całego pyska:
„Macieju! dyć wstawajcie, jest wielkie nieszczęście!”
I wali w drzwi, aż pewnie potłukł sobie pięście...
Otwieram, patrzę, kto tam? Parobek Antkowy,
Zsiniąły, niby brukiew, stał, jakby bez głowy.
„Nieszczęście“, mówi, „straszne: wstaje ja o świcie,
By szkapskom nabrać wody; ale co? słyszycie —
Dyć, niby wszystka woda wyszła z onej studni:
Kubelek uwiązał jakoś, ani nie zadudni;
Zagładnę ja do środka, aż tu straszne rzeczy!
Dwa ciała widzę na dnie!... Ha! rozum człowieczy
Ustaje na to wszystko; więc z onego strachu
Narobił ja na naokół wielkiego rejwachu,
Zbudziłem gospodarza... Spuścili drabinę
I z studni wyciągnęli my dwa trupy sine —
Macochę gospodarza, Jewkę, i jej dziecko...”
Co tchu więc pospieszyłem, a za mną kobiecko,
Do Antka na podwórko... Aż się w oczach ćmiło
Na widok ten straszliwy... Tak-ci, mówię, było:
Znalazła śmierć na „swojem“; a wszystko dla ziemi,
Dla matki naszej świętej, co ziarnami swemi
I czeleka-ci używi i tę mysz w stodole,
Co łyzy niejedne pije, je niejedne bole,
Jak tego chcesz, ty Boże! boć to, Panie Chryste,
We wszystkim wszak twe rządy widać oczywiste!...

VII. NA SŁUŻBIE

I.

Tak jej rzecze w pożegnań godzinę,

Tak jej rzecze ta matula stara:

„Słuchaj, dziecko, „sryblo“ me jedyne,

Na tym świecie jedna dla nas wiara,

Jedno tylko na tym grzesznym świecie

Jest dla biednych boże przykazanie:

Żyć uczciwie!... O najdroższe dzieci!

Niech ci słowo to za przykład stanie,

Gdy, ja stara, na zawsze zaginę...“

Tak rzecze jej matula w pożegnań godzinie.

I córeczka — żał się, Panie Chryste!

Ciemne oczki w modry fartuch kryje;

Jakby szła już na męki wieczyste,

Tak wciąż płacze, tak chwyta za szyję

Rodzicielkę, tak u stóp się kładzie,

Tak całuje suche palców końce:

„O nanusiu! wierna-m waszej radzie“ —

Tak powiada — „wierna-m, choćby słońce

Na wiek wieków zagasło złociste...“

Tak żegna cię córeczka, żał się, Panie Chryste.

„Czas ci w drogę“ — matula jej powie

I płaczącą podnosi ze ziemi:

„Wielkie państwa mają-ć już w narowie

Polżyć sługę słówkami ostremi,

Kiedy sługa przepomni swą chwilę!...

Czas ci w drogę! a jeszcze-ć powtórzę

Nie co więcej, ino, słuchaj! tyle:

Żadne ciebie strzec nie będą stróże,

Strzeż ty duszy, strzeż jak oka w głowie,

A teraz czas ci w drogę“ — matula jej powie.

Wstała córka, z posłuszeństwa wstała,

Choć jej lepiej lkać u nóg macierzy,

Od boleści, jako mlecz ten, biała,

Gdy się z kwiatu złotego wypierzy...

Zawsze-ć, mówię, trudno jest niebodze,

Człowiekowi, tak uchodzić z gniazda,

W którym wyrósł, zwłaszcza, że w tej drodze

Nie wiadomo, jaka ci tam gwiazda —

Zła czy dobra — na niebie zapala...

Tak myśli, ale wstała, z posłuszeństwa wstała.

Biedna! biedna! w podróż się gotuje,

Warkocz chowa pod chusteczkę jasną,

Ponad czołem włosy przyczesauje,

A jej oczy w łzach, jak świece, gasną;

Lakowanych koralików sznurki

Hej! okręca naokoło karku,

A tu lezki ciur! ciur! jak paciórki,

Przyniesione za „psi grosz“ z jarmarku —

Widać, w sobie wielką żalność czuje,

Gdy biedna, biedna dziewczka, w podróż się gotuje.

Uwinęła tobolek drobnintki —

Dwie koszule, spódnicek czerwony

To jej skarby, którym nie trza kłódki —

Nie ułasczy nikt się z żadnej strony
Na tę nędzną chudobę dziewczęcia...
Przytem książkę, w której jest ta gadka,
Jak dla córki chciała dostać księcia,
Abo króla, owa pyszna matka
I jak wielkie stąd wynikły smutki...
Z wszystkiego uwinęła tobolek drobnutki.

„A — powiada — kochana matucho,
Na odchodnem o jedno was proszę:
Jako wiecie, że dla mnie, jak próchno
Jest ten żywot, tyle w sobie noszę,
Że tak poszedł, serdecznej boleści,
Tak-ci we mnie mgli się rozum wszystek;
Więc gdy przyjdą o nim jakie wieści,
Odsyłajcie do mnie jego listek,
Niech mi oczy od tych łez nie puchną —
O jedno to was proszę, kochana matucho!..“

II.

Siadła za wsią, gdzieś w połowie drogi,
Na przyrowku siadła popod żytem,
Które pewnie-ć wyda plon przemnogi —
Oblepione tak kwieciami obfitem,
Niby welną z podstrzyżonych owiec...
Już to skarby są na naszej glebie,
Pelen złota każdy jest manowiec!
Cały człowiek dałby z duszą siebie
Za te łąki, za bujne rozłogi,
Co lśnią, gdzie ona siadła tak w połowie drogi.

A słoneczko, które chodzi górą
I tak wszystko widzi, jak na dłoni,
Ludzką rozkosz i boleść ponurą,
Rosę światła na tę ziemię roni,
Na te pola, mieniające się zbożem,
Na te ścieżki, zarosłe krwawnikiem,
Na te drzewa w umajeniu hożem,
Na ten tuman, co w szaleństwie dzikiem
Miota piasków spopielonych chmurą —
Na wszystko patrzy słonko, które chodzi górą...

Więc widziało to słoneczko lube,
Jak dziewczyna, siadłszy przy tym rowie,
Snać jakowąś podjęła rachubę:
Jakby olów miała w onej głowie,
Tak ku ziemi kwiecistej ją chyli,
A źrenicą patrzy niby błędną:
Juści-ć pewnie, że nie rój motyli,
Ni te trawki, które w kurzu wędną,
Tak skazały na senną zagubę
Myśli dziewczki, którą widzi to słoneczko lube.

Czasem tylko ruszy się, by kosę,
Co na oczy z pod chustki jej splywa,
W tył odgarnąć, lub te nogi bose,
Zrumienione, niby cegła żywa,
Od głodnego uchronić komara;
Czasem ręką te piersi otuli,
Co się gwałtem, jak róż białych para,
Wychylają z pod grubej koszuli —
Czasem otrze łez kąpiącą rosę,
A czasem znów się ruszy, by odgarnąć kosę.

Hej! dziewczyno! ty biedna sieroto!
Czemuś w taką popadła zadumę?
Czemu słońca promieniste złoto
Trzyma zdala od ciebie tę kumę
Dobrych ludzi, ona radość świętą?
Czemu łan ten, co z uśmiechem czeka
Na tę chwilę, wśród znojów pocztą,
Kiedy nad nim zalśni sierp człowieka,
Nie napełni i ciebie ochotą?
Odpowiedz mi, dziewczyno! ty biedna sieroto!

Czy żałujesz tej nędznej izdebki,
Co w odrobkach tyle sił twych waży,
Ile nawet chłop, jak dąbczak, krzepki,
Nie nastarczy kiesie gospodarzy?
Czy ci tęskno za przymówką ludzi,
Co tak znajdkiem rzucali ci w oczy,
Aż się w sercu ból, jak żmija, budzi,
Aż się oko, jako nocka, mroczy —
Jako nocka, w mgłę tonąca lepkiej —
Nie żałuj ani ludzi, ni nędznej izdebki...

Niema szczęścia w komornej chatynie!
Bieda z nędzą drą się tam pospół,
Tam-ci wódka beczkami nie płynie,
Tam nie biją wieprza ani wołu
Na dzień święta, gdy, jak Pan Bóg zechce,
Trzeba uczcić chrzciny, lub wesele...
Wnętrze ściska, podniebienie lechce,
Jak jemiola, tak ten wzrok się ściele,
Gdy tak „gbury“ uczują przy winie —
O, niema szczęścia, niema, w komornej chatynie!

Tam nie przyjdzie czerwona gospocha,
Nie zawieje od pańska tołubem,
Nie wyszczerzy żółtych zębów trocha,
Nie pokłaśnie jęczyzyskiem grubem:
„Dyć wam mówię, kumuleńko słodka,
Kolo mojej soltysik się kręci,
Pierwszą druchną wasza już pieszczołka,
Nie pomogą, na to żadni święci...
Najbogatszy, a jak walnie kocha...”
Nie powie tak do matki czerwona gospocha.

„A ty taka” — rzecze — „ty owaka!
Wygnam z nory, wygnam het! na światy!
Za komorne oskubię jak ptaka,
Aż zawyjesz, jak ten pies kudłaty!
Ni do rydla ciebie ni do ścierki,
A córeczka twoja — o, doprawdy!
Wie-ci dobrze, gdzie parobcze werki!
Nie dziwota, gałązka się zawdy
Uda w wierzbę, kruk, jak kruk, wzdyc kraka!”
Tak rzecze — „A ty taka! wygnam! ty owaka!...”

Wstań! nie bolejl nowy świat przed tobą!
Jedwabnisty, strojny w jasne piórka!
Niema co się zajmować chudobą,
Niema co już na obce podwórka
Chodzić, ślepić, czy do wideł nie trza,
Czy nie trzeba czasem do powrąsła!...
Delikatna będziesz tu i bledsza,
Różna słodkość oblepi ci dziąsła,
W szumie przejdzie doba ci za dobą —
Dziewczyno! wstań, nie bolejl nowy świat przed tobą!

Któż cię żegnał — powiedz-że mi sama,
Kiedys przeszła za progi swej wioski?
„Na damulę idzie, będzie dama,
Aż się nad nią zlituje gniew boski!“
Tak za tobą szepcą te kumole,
Rówieśnice tak chichocą z cicha...
„Juści“, mówią, „tak ją owies kole,
Wyszła z licha i pójdzie do licha,
Dyć, na oścież jest piekielna brama!“
Któż żegnał cię inaczej? powiedz-że mi sama.

Matuleńka! — prawda! — Jakżeż córce
Nie żałować jedynej matysi!
Wszakżeż czucie ma bydle w obórcie,
A cóż człowiek? Łezki-ż nie wydusi
Nawet jednej z pod ciężkiej powieki,
Gdy go dola, jak ten listek z drzewa,
Gdzieś poniesie na kraniec daleki —
Ona dola, co smutki przywiewa
I ucieka, jak złe, na rozwórcie!
I jakżeż matuleńki nie żałować córce?!

O, pamięta — nie dawne zbyt czasy!
Nieraz matka przyjdzie tak wieczorem
Ze zarobku, przyniesie okrasę,
Albo sera kawałek i skorem
Tak ją zaraz słoweczkiem popieści:
„A! serduszko! masz tutaj co nieco
Specjałów, pewnie-ć ci się zmieści
W tem gardziolku...“ Aż się oczy świecą,
Tak zjadała te drogie zapasy.
Pamięta jeszcze wszystko, nie dawne to czasy...

Albo kłosa kijanką wymłóci,
Uzbierany w tem słońcu dar boży,
Sprzeda ziarnko i z miasta powróci,
I nim starą chuścicę odłoży,
Nim odetchnie, wyciąga z tłómczka
To perkalu na fartuch, to ciemną
Jakaś wstążkę i patrzy jej w oczka
I powiada: „Zbierałaś to ze mną
Masz! niech serce się twoje nie smuci“ —
Tak mówi, gdy te kłosa na sprzedaj wymłóci...

A już wtedy, gdy niecni ludziska
Tak wciąż pluja, że niby nie wiada,
Kto jej ojcem na świecie, tak ściska
Swą córeczkę, tak ręce jej składa,
Tak ją uczy: „A módl się ty, dziecko,
Za tych wszystkich, co hańbią twe imię!
Tatuś poszedł na wojnę niemiecką,
Padł od kuli, na wieki gdzieś drzymie!
Chciał ślubować, nie wiedział, że zbliża
Śmierć stała i że będą pluć niecni ludziska!“

O, pamięta i jakże w tej chwili
Nie ma topnieć to biedne jej serce!
Cyt! dziewczyno! nie szlochaj! użyli
Ludzie dość już szyderstwa! Niewierce
Dość już matkę ciągnęli po błocie!
Teraz koniec! tak, koniec nareszcie!...
Juści żadne nie przyjdą jej krocie,
Ale ładne zasługi są w mieście,
Ładnym groszem matysi umili
Ten żywot... O, pamiętać będzie każdej chwili.

Każdy miesiąc, jak tylko w te ręce,
Które teraz wyjmują z owicia
Kromkę chleba, by ciało po męce,
Po tej ciężkiej podróży do życia
Przyprowadzić zmęczone — jak tylko
Grosz dostanie zasłużony, dla matki
To i owo zakupi tą chwilką,
Pośle talar niejedną, tak rzadki
U komornic... O szczęście dziewczęce!
Tak! pośle, skoro tylko grosz dostanie w ręce.

Powiadają: „Ba! zawsze inaczej
W takim mieście na służbie; do nocy
Nieraz gość się u państwa zahaczy
Trza poświecić na schodach, jak z procy
Trza pobiegnać do stróża, zapukać,
Niechaj bramę gościowi otworzy,
I gość zacznie w woreczku coś szukać,
Nie znajdzie miedziaka, więc włoży
Jej złotówkę i jeszcze jej raczy
Dziękować“. Juści, mówią, w mieście jest inaczej.

Za posyłki, za różne bieganie
To i mały uzbiera majątek,
A cóż tracić? swe jadlo dostanie
I dostanie należny swój kątek.
Czasem tylko dla siebie coś sprawi,
Co niezbędne — reszta rodzicielce:
Aż się matka z radości załzawi,
Aż łzy spłyną kropla po kropelce
Po watówce, po owym kaftanie,
Sprawionych za posyłki, za różne bieganie...

I ludkowie schodzą się naokół
I z podziwu otwierają wargi;
A matuchna: „Jedyny mój sokół!
Już na życie nie mam żadnej skargi!
Baczy o mnie! niech ci Bóg zapłaci,
Mój sokole!“ A ludzie, te żmije,
Jako zawsze widzą tylko braci
W tych, co mają dostatków po szyję,
Jakby kto ich obręczami pokuł,—
Tak patrzą, niby wryci, stojący naokół.

Ta powiada: „A wiecie, kumochu!“ —
Dawniej żadna nie rzecze w te słowa
Do komornej biedaczki — „jak grochu
Na tem polu, tak u was się chowa
Grosza w domu“. A tamta znów piśnie:
A! spódniczek! A! ściągły! A! zgrabny!
A czerwony, jak szczere te wiśnie!
A mięciński, jak włosik jedwabny!
Już wam na świat wyjść raz z tego lochu!“
A wszystkie: „Kumoszczko! kumolu! kumochu!“

Nawet ona-ć gospocha, jak plewy,
Do matczynej się lepi chałupy
I powiada: „A niechaj te gniewy
Między nami raz zgina, jak trupy!
Przeprowadźcie się do nas; wybilić
Każę całą izdebkę na świeżo;
Będzie zgodność, będziemy się dzielić
I miseczką i konwią i dzieżą!
Posłuchajcie! o! o! — moiściewy!...“
Tak lepi się gospocha, niby jakie plewy...

A matuchna otwiera szufladę
Od stolika i w te słówka rzecze:
„List pisała!“ A juści, że rade
Są już niby te myśli człowiecze,
Gdy nowego cokolwiek usłyszą
Het za świata! I wszystkie sąsiadki
Wręcz od razu zamilkną i z ciszą
Wścibią nosy w papierowe płatki
I czytają, z zazdrości aż blade,
Gdy matka po ten liścik otworzy szufladę.

A w liściku wyraźnie tam stoi,
Niby w druku, że tak jej jak w niebie;
Jakich pełno jest ślicznych pokoi,
I że w żadnym się trudzie nie grzebie,
Ino czasem coś kurzu też zmiecie,
Czasem zbiegnie za jakim sprawunkiem,
Potem ciacka drobniauchne to dziecię,
Co z ślachecka nazywa się Muńkiem,
Abo inak; jak je mleczkiem poi —
To wszystko w tym liściku, niby w druku, stoi.

I napisze, aż matce się wewnątrz
Od tej wielkiej radości poruszy,
Jak z wszystkiego, z wszystkiego najświętsze
Przykazanie matuli w jej duszy;
Jak się zawsze przed obrazkiem modli,
Gdy ją chętna poniesie na tańce,
Boć słyszała, że bawią się podlej,
Że tu sami hulają zaprzańce
I że w mieście zgorszenie jest prędsze —
Napisze to, aż matce rozśmije się wewnątrz.

Wstań, dziewczyno! Nadzieja przy tobie,
A nadzieja to śliczna jest pani;
Chociaż człowiek w największej żalobie,
To go przy niej już boleść nie rani!
W mgnieniu oka rozpędza wsze smutki,
A na plecach to ma płaszcz tak duży,
Że obtuli ród człeczy wszystkieutki,
Gdy się ku niej przygarnie w podróży,
W tej podróży, co kończy się w grobie...
Dziewczyno! wstań! Nadzieja stanęła przy tobie...

Wstań!... Kto Bogu powierza swe losy,
Do piekielnych zejść może czeluści:
Wszak aniola mu przysłał niebiosy,
Co go z oka już nigdy nie spuści!
Przez krzemienie, przez ciernie, padalce
Kroczyć będzie, by kryształ, nietknięty,
I zwycięży, jak rycerz, w tej walce,
W Imię Boga z odwagą poczętej.
W końcu złota mu światłość te włosy
Otoczy, kto powierzył Bogu swoje losy...

Idź! Słoneczko już dawno w tej stronie,
Gdzie to, mówią, tak wielkie są wody,
Że pół świata w nich łatwo utonie!
Toć i z naszych niejeden człek młody,
W poniewierkę idący, w tej głębi,
Niby śledzik lub płotka, zaginął...
Idź! Wszak wietrzyk po trochu już ziębi,
Już piekący ten ogień przeminał,
Powój zamknie niedługo swe wonie —
Idź! Słonko już się skłania ku nadmorskiej stronie.

Z kolan, widzę, ostatki tej kromki
Zgarniasz lekko na jaskry i dzwonki
Dla tych ptasząt, co małe swe domki
Wiją w życie... Przylecą skowronki
I kruszyny do gniazda poniosą
I nakarmią pisklęta i potem
Znów się wzbiją ku jasnym niebiosom
I zanucą o sercu twem złotem
Taką piosnkę, aż zmięknie Pan gromki:
Tak! widzisz! tyle zrobią resztki twojej kromki.

Idziesz... Drobny na łoku tobolek,
A rękami sięgasz między zboże
I listeczek po listku z tych czolek
Modrych chabrów obrywasz. Jak łoże,
Wielkie łoże, zasłane puchami,
Od wietrzyka tak puszą się żyta:
Hej! dziewczyno! czyż ciebie nie zmami
Łan puszysty, byś nie szła, zakryta
Aż po oczy, bez piosnki, jak kolek?
Nie cięży-ć nic, a! chyba ten drobny tobolek.

Wznosisz głowę i słuchasz. — To w żytku
Makolągwa „pięć-kolan“ zapiała,
Będzie sprzętów, tak wróży, do zbytku,
Dożyneczki wyprawi wieś cała.
Na dożynki powrócisz, więc lezki
Poco w oczach tak świecą ci jeszcze?
Oczy twoje, jako kwiat niebieski,
Kiedy z góry upadną nań deszcze!
Przy zabawie wrócisz i wypitku —
O! słuchaj! tak ci wróży makolągwa w żytku.

Prawda! prawda! wiadome jej żale!
Luby poszedł na kraje, na dziecze...
Stary rzekł mu od razu: „Ja-ć wcale
Tego sobie, mój synu, nie życzę,
Że-ć do dziewczki tej ślepie się tulą!
Czy ja na to harował, by w domu
Mieć synowę z podartą koszulą?
Ba! co nie ma się skłonić nikomu
Przed ślubem, bo ojciec... Tak! w kale
Zrodziła się zbyt grzesznym...” Wiadome więc żale.

I upatrzył dla niego już inną.
Ale z chłopca jest kawałek ćwika:
„Mam ja rzucić, tak rzecze, niewinną,
Której nic się tu złego nie tyka?
A! tatusiu! powiedzieć wam muszę,
Jako żadnych majątków nie pragnę,
Gdy w niewolę trzeba oddać duszę!
Kocham Jagnę i będę miał Jagnę!
Chociaż pójde za wodę, za plyną —
To nic!... Wy już dla siebie upatrujcie inną“.

I tak poszedł... A w chwilę żegnania,
Na zapłociu, za czarną stodołą,
Tak się ku niej wciąż ślania i ślania,
W pas ją chwytą i rękę jej gołą
Prawie gryzie z czułości i w ramię
Zęby wciska i całuje piersi
I powiada: „Me serce nie kłamie!...
Bądźmy zawsze między sobą szczerzi,
Niż ten gołąb, co tak się ugania
Za swoją...” Tak jej rzecze luby w czas żegnania.

„Idę — mówi — z innymi na światy,
Bo żyć nie chcę na łasce ojczenia;
Wrócę — wrócę do ciebie bogaty,
A ty czekaj tak czysta, jak runia
Na jagniątku, jak bzowa jagoda...”
Ile wtedy wylała łez rzewnych —
Tak jak teraz — ta dziewczyna młoda!...
„A napiszesz?” — zapyta... — „Do krewnych
Juści listek nie dojdzie skrzydlaty,
Do ciebie tylko, droga, przewędruje światy...”

Przestań płakać... Już w czerwieni słońca
Całe miasto przed tobą się pali;
Do podróży dobiegłaś już końca;
Jeszczeby cię te państwa złajali,
Że łzy lejesz u służby poczęcia!
Niech cię o nic nie boli już głowa,
Tylko białą bądź, jak ruń jagnięcia,
Tylko czystą, jak jagoda bzowa!
Broń się sama, bo rzadki obrońca
W tem mieście, co gorzej, patrz! w czerwieni słońca.

III.

W okieneczku, w komornej izdebce,
U Saluchy, Jagninej „nanusi”,
Mały płomyk noc językiem chłopce,
Niby w kureczach zwija się i krztusi...
Widać, stara żałuje mu „gasu”,
Kiedy żywot prowadzi tak marny,
Że się zdaje — jeden moment czasu,
A zagaśnie zupełnie... I czarny

Zmrok rozdziawi znowu, jak te ślepce,
Miało oczu, puste jamy w komornej izdebce.

Wicher wieje, nagie drzewa trzeszczą
Ponad drogą od śnieżyska siną...
I dlaczego w tę północ złowieszczą
Nie obtuli się stara pierzyna?
Czemu nie śpi na rozslanym snopku,
Ino wstaje i światło roznieca?
Wszakże dzisiaj nie jest dzień zarobku —
W takim czasie na nic dłoń kobieca —
Wszak jej dzieci nad uchem nie wrzeszczą,
I po co wstawać w noc tę, gdzie te drzewa trzeszczą,

W podróż idzie, daleko, do miasta!
Cztery mile dla starej nie żarty!
Cóż jej szkodzi, że cała się schlasta?
Że zczerwieni oczy wiatr uparty?
Przeminęły prawie trzy miesiące,
Jak od córki nie ma wieści żadnej:
Nie zna przeszkód serce kochające,
Cóż jej rozdół i co śnieg jej zdradny!
Coraz bardziej tęsknica jej wzrasta —
Tak! pójdzie szukać córki, chociaż w noc do miasta!

Przedtem zawsze przysłała co nieco,
Okazyją albo inną drogą.
Teraz milczy, a tu czasy lecą,
A u matki ubogo, ubogo...
Ludzie mówią: „Ha! może umarła,
Abo może zmieniła się w panią;
Tak-ci bywa: Z biedy się wyzarała,

Więc o matce — cóż uważać na nią?
Niech tam starej aniołowie świecą!...“
A jednak przedtem zawsze przysłała co nieco.

Może chora... Liche miała zdrowie,
Delikatna, jak z pańskiej kołyski!...
Pójdzie sama, o prawdzie się dowie
I złym ludziom pozamyka pyski!...
Przytem śliczną nowinę jej niesie:
Luby pisał, że wraca do domu;
Ojca drzewo zabiło gdzieś w lesie,
Więc dziewczynę zawiedzie bez sromu
Na małżeńskie, na święte wezglowie...
Ha! pewnie, że jest chora, liche miała zdrowie.

Dziś, słyszała, w mieście odpust wielki,
Więc i dobrze przyjść zawczas, na jutrznię,
Wnieść modlitwę: „Przez te krwi kropelki,
Przez te ciernie, przez tę straszną włócznię,
Co przebiła bok Twój, Panie Chryste!
Przez plwociny, przez piwniczną ciemność,
Przez Twej Matki jęk i łzy rzesiste
Spraw, bym tutaj nie przyszła daremnie!
Nie chciej karać biednej rodzicielki
Złą wieścią!...“ Tak się modlić będzie w odpust wielki...

I tak plecy okryła kaftanem,
Z dawnych czasów, zblakłym, jak te liście
Lopianowe, lub jak wschód nad ranem,
Zanim słonko zwiastuje swe przyjście,
Wyszarzałym... „Cóż z tego? Swą nędzę
Całkiem nową naodzieje chustką

Dobry towar, wełnianą ma przędzę
I błękitną mieni się wypustką —
Dar córunki!... Będzie to przed Panem
Liczone jej.“ Tak duma nad starym kaftanem.

Ba! nie wszystko! ma-ć i inne rzeczy,
W które dziś się przystroi do drogi:
Dobry trzewik, co jej ubezpieczy
Od zbytniego zimna stare nogi,
Nawet kryzy na szyję, płóciennie,
Wybielone — wszystko to od córki!...
„Niechaj jej Pan Bóg da szczęście niezmiennie,
Niech jej strzeże z tej niebieskiej góry,
Nie wypuszcza nigdy ze swej pieczy“ —
Aż stara we łzy zaszła, patrząc na te rzeczy...

Wychyliła na dwór twarz zmarszczoną,
Oczy lepi w szarugę straszliwą —
Nawet kija nie zawadzi pono
Zabrać z sobą... Juści, to nie dziwo,
Jeśli weźmie gałąź na podparcie —
Cztery mile... śnieg... gorzka wędrownka!
Dyć, nie zajdzie z córką żadne starcie,
Że wygląda, niby, jak „dziadówka“ —
Kij pod miastem porzuci... Tak! słono
Jej będzie iść — szaruga miecie w twarz zmarszczoną...

Ale... ale... z wielkiego wesela,
Że dziś córkę kochaną zobaczy,
Zapomniała zabrać małowiela
Placka w drogę, a przecież kołaczy
Nie ma za co kupić na odpuszcie!

Wczoraj zmeła kilka garści żyta
U sąsiadki, na żarnach, przy chruście
Podplomyček upiekła i — kwita,
Jak powiada zawsze stary Grzela:
Brzuch niczem, gdy takiego dozna człek wesela.

I na skobel zamknęła dobytki,
I, zrobiwszy znak krzyża na czole,
Dalej w drogę... Nie bierz mnie na pytki,
Miły bracie! Przemilczec już wolę,
Jak się biedna mitręży Salucha,
Jak-ci nieraz aż po pas zapada
W zasy pyłgu, jak w te ręce chucha,
Jak na każdym prawie kroku zdrada;
Tak jej myli drogę czas ten brzydki —
Jak szła, na skobel nędzne zamknąwszy dobytki.

Ranek rozlał światła jęne smugi
Ponad miastem dokoła, dokoła,
Kiedy stara po męczarni długiej
Wypoczęła w pośrodku kościoła.
Przed ołtarzem ksiądz odprawiał jutrznię;
„Magnificat“ ryknął lud zebrany,
Sygnaturka w srebrny dźwięk i hucnie,
Aż drży kościół, odgrzmiały organy,
A jak rolę krają ostre pługi,
Tak mrok świątynny pruły jasne światła smugi.

Rosło serce, rosło, jak w tej dzieży
Na chleb ciasto, a z duszy głębokiej
Modlitewka za modlitwą bieży,
Tak-ci tryska, jak żywe potoki...

Dziwno nawet samej komornicy,
Skąd jej tyle we wnętrzu modlitew,
Dziwno, dziwno, że boleść Dziewicy
W tym ołtarzu nie kraje, jak brzytwę,
Że jej smutek na sercu nie leży,
Że serce tak jej rośnie, jak to ciasto w dzieży.

Widno, Pan Bóg sprowadził kobiecko
Na rozkosze — szczęśliwe i zdrowe
Odnalezie w tem mieście swe dziecko...
I podniosła do góry swą głowę
I już naprzód składa dziękowanie:
„A dzięki-ści, Panie Jezu Chryste!
A dzięki-ści, Chryste Jezu Panie!
Za twą dobroć, łaski oczywiste!“
Potem wstała zawinęła kiecką,
I dalej do córuni. — Szczęśliwe kobiecko!

Znała „państwo...“ Rzuciwszy dom boży,
Znajdzie „pałac“ i do drzwi zapuka
I przed „panią“ tak wszystko wyłoży,
Tak zaskomli, jak ta wierna suka:
„Proszę łaski, przyszedł do córusi,
Jakom matka... Pewnie-ć była chora,
Ale teraz już zdrowa być musi...
A czy miała jakiego doktora?
Zawsze-ć doktor pomaga niezgorzej...“
Tak rzecze w tym „palacu“, rzuciwszy dom boży...

„A!“ — odpowie tej biednej kobiecie
„Wielka pani“ — „zgorzenie do domu,
Że większego już niema na świecie,

Przyprowadził mi ten owoc sromu,
Wypędziłam i, gdzie teraz, nie wiem!...“
I trzasnęła jej drzwiami pod nosem.
Jakby starą kto oblał zarzewiem,
Jakby trąba ostatecznym głosem,
Wskróś strasliwym ponad gromy w lecie,
Wzywała ją przed Boga!... Tak było kobiecie.

I skurczona, jak ten pies, we dwoje,
Gdy go kijem smagnie dłoń złośliwa,
Jakby setne przygniotły ją znoje,
Tak się zwlokła ze schodów, półżywa.
Teraz dokąd? W którą zwrócić stronę
Drżące kroki?... Ku kościelnym progom!
Tam to serce smutkiem przepelnione
Znajdzie rychło pociechę przebłąd,
Tam przeminą straszne niepokoje...
I poszła do kościoła, skurczona we dwoje.

I tak znowu przed ołtarzem klęka,
Przed ołtarzem Matuchny Bolesnej,
I w łzach gorzkich, jako grzyb ten, miękła
Nad goryczą swej doli niewczesnej.
I już teraz Paniątka Najświętsza
Tyle miała boleści na twarzy;
Tyle smutku lala jej do wnętrza,
Że ją całkiem tym ogniem poparzy,
Że nie wiele, aby żółć jej pękła —
Tak było jej, gdy przed tym ołtarzem uklęka.

„Al zgorszenie do domu przyniosła!
Wypędziłam!“ — i aż ściska pięście! —

Na mą hańbę i swoją-ś wyrosła,
Ty zła córko! na wielkie nieszczęście!
Lepiej było utopić cię w bagnie,
Śród pustego porzucić manowca!
Byłaś niby, jak to czyste jagnię,
A dziś jesteś, jak parszywa owca!
Miałam ciebie za bożego posła,
A tyś mi dziś zgorszenie do domu przyniosła!

Już cię nie chcę ujrzeć na swe oczy!...
Nie!... Poczekaj, stanie pod kościołem!
Będzie patrzeć, jak ten lud się tłoczy...
Może przyjdzie... Wtedy słowem gołem
Krzyknie: Suko!... O nie! nie! na szyję
Jej się rzuci rękoma obiema
I wyjęknie: „Czyjeż grzechy, czyje,
Postawiły ciebie między zlemi?...
O nieszczęsna! tak mi coś się mroczy,
Że prawie cię nie widzę na te moje oczy!...“

A w kościele, pod chórem, gdzie stary
Jest katafalk, z prostych desek zbity,
Gdzie pogrzebne chorągwie i mary
I lichtarze cynowe i płyty
Potłuczone — snąć z dawnej mogiły,
I gdzie stoi od światek czarne pudło,
Czyjeż oczy tak się lżą przymglily?
Któż w kącie z tą twarzą wychudłą
Tak wciąż jęczy wśród pańskiej ofiary? —
W kościele, tam! pod chórem, gdzie katafalk stary...

Któż tak krzyżem upada i wzdycha,
Że ten dziaduś ze szklanym różańcem
Modły swoje przerywa i z cicha
Pomrukuje do siebie: „Ha! tańcem
Abo inną zapewne rozrywką
Nagrzeszyła, że w strasznej pokucie
Tak żoruje... Juścić, taką dziewczką
Miota większe, niż starym, zepsucie,
Rozgardjasz różny, różna pycha —
Ulituj się jej, Boże! patrz, jak ciężko wzdycha“.

Ulituj się! Bo czyjaż w tem wina,
Że ten człowiek równie słabej plonce,
Którą, patrzaj, lada powiew zgina
W pył przydrożny, w błoto kalające?
Czyjaż wina, że ma w łonie swoim
Jakieś źródło, z którego wytryska
Złe i wokół rozlewa się zdrojem
Jadowitym i nakształt bagniska
Topi w sobie człowieczego syna
I lilje ziemskich córek — ach! czyjaż w tem wina?

Czyjaż wina, że tak krwawe plony
Zbiera z grzechu, chociaż ręką własną
Jego ziaren nie posiał? Miljony
Dusz w tej walce, jak płomyki, gasną,
Narodzone w zgniłym grobie!... Boże!
Boże wielkich i świętych tej ziemi,
Patrz, jak twarde rozściela się łoże
Dla tych grzesznych, co siły wszystkimi
Żyć pragnęli, a idą na skony,
Zbierają z niewłasnego ziarna krwawe plony...

Tak mówiła ta dziewczyna młoda,
Tak-ci słodkie miała przedsięwzięcia:
„Będę czystą, jak bzuwa jagoda,
Będę białą, jako ruń jagnięcia!
Prędzej zgaśnie to złote zaranie,
Prędzej słonko zaginie na niebie,
Nim zapomnę twoje przykazanie,
Nim zapomnę, o nanusiu, ciebie!“
A tu słonko świeci, jak uroda,
Zagasiła tylko w wnętrzu ta dziewczyna młoda.

Szła jej w służbie ze wszystkim, jak z płatką,
Grosz niejeden płynął do kieszeni;
Miała z tego swoją radość matka,
Że córeczka z piśmem się nie leni,
Że przy piśmie o starej pamięta
I co nieco pośle na pociechę,
To okrycie, to pieniądz na święta,
By też szczęście weszło pod jej strzechę,
By nie czuła nędzy do ostatka —
O wszystkim tem pamięta... Tak jej szło, jak z płatką.

Do lubego, co poszedł na kraje,
Za to morze, za te sine fale,
I w liścikach kochać nie przestaje
I w liścikach wynurza swe żale,
Swe nadzieje i swoją tęsknotę,
Szle-ci słówka na białym papierze:
„O mój luby! serce moje złote!
Niech cię Pan Bóg w tej obczyźnie strzeże,
Myśl o tobie sypiać mi nie daje“ —
Tak pisze do lubego, co poszedł na kraje.

A w pokojach komornej córuchnie
Jak u siebie: przed świtem już z łóżka,
Každy proszek najdrobniejszy zdmuchnie,
Do kaźdego zagłądnie garnuszka;
Pańskie dziecko nakarmi, napoi,
Do kolebki położy, otuli
I zaśpiewa o rycerzu w zbroi
I sierotce w jedynej koszuli
I o jędzy, co ze złości puchnie —
W pokojach, jak u siebie komornej córuchnie.

A co wieczór klęka, jak przystało,
Przed obrazem niewinnej Panienki;
I tak sobie westchnie duszą całą,
Za przeżyty dzionek wzniesie dzięki
I poprosi o szczęśliwe rano,
By się z łóżka podniosła przy zdrowiu...
A gdy w księdze tak już napisano,
Że trza umrzeć, aby w pogotowiu
Była zawsze w tę drogę niemalą —
Tak modli się co wieczór, jako jej przystało.

Tak jej dzionek za dzionkiem przechodzi,
Tak jej mija miesiąc za miesiącem...
Czasem tylko nadzieja zawodzi —
Ta nadzieja o licu płonącym
Niepewnemi blaskami kłężyca...
Wielka-ć ona jest panil, o! wielka,
Ale zmienna... Dobrocią zachwyca,
Lecz ta dobroć, jak rosy kropelka,
Ginie naraz w burzliwej powodzi,
Jak dzionek, co za dzionkiem, niby sen, przechodzi.

Makolągwo! ty ptaszyno miła!
Już cię z żyta wygnali kosiarze!
Dobrze ci tak! Falszynieś wróżyła
Tej dziewczynie, gdy w majowym skwarze
Na ścieżynie spoczęła zielonej...
„Pięc-pięć-kolan!” wydzwaniałaś wtedy —
„Gdy opadną kłosiste korony,
Na dożynki, do matczynej biedy
Wrócisz, dziewczę, nim przejdzie dni siła!”
Falszynie powróżyłaś, ty ptaszyno miła!...

Pali słońko na całe niebiosy,
Na calutką ziemię słońko pali.
Na zagonach pobiełały kłosy,
Brzękły sierpy z wyostrzonej stali.
Rżysko siecze po nogach, a z czoła
Pot, jak wodę, wyciska robota,
We wsi każda na oścież stodoła
Otworzyła szerolachne wrota,
Po sąsiekach snopów zbite stosy —
Tak bujny plon i sypki dały dziś niebiosy.

Po karczmisskach zagrała muzyka:
Tam na skrzypkach jęczy Szymek głuchy,
Ślepy Kuba do serca tu wnika
Swą piosenką, że aż drżą dziewczuchy.
Parobczaki przytupują nogą,
Łokcie dziewczek oblewając wódką:
„A bądź-że mi wesola, niebogo!
A daj spokój dzisiaj onym smutkom!
Żniwo ładne, pójdziem do księżyka,
Opłacim zapowiedzie... Hej! jak gra muzyka!”

Chciała w drogę w czas, gdy przyszły żniwa,
Ale pani do dziewczyny rzecze:
„Trza mi ciebie, praca uciążliwa,
Nie uciecze zresztą, co się zwlecze,
A gdy pragniesz zrobić radość matce,
Weź te grosze, będzie dobrze starej;
Juści przecie nie jesteś jak w klatce,
Masz swobodę, swobodę bez miary,
Ja dla ciebie nie żadna pokrzywa —
Lecz zostań... pójdziesz później... Cóż, że przyszły żniwa!

Juści trochę było żal dziewczynie,
Że się niby nie wypłasa szczerze
Między swymi w dożyneków godzinie,
Ale potem tak na rozum bierze:
„Pani dobra, słuchać jej potrzeba,
A matusi wszystko wytłumaczy...
Widno, pragnie tego Pan Bóg z nieba,
Że nie może stać się już inaczej;
Niby-ć jeszcze wszystek czas nie minie,
Nadejdzie jeszcze chwila...” Jednak żal dziewczynie...

Pani dobra... A i pan, prawdziwie,
Jakby z cukru... Nigdy jej marnego
Nie wypowie słóweczka gniewliwie,
A oboje tak dziewczyny strzegą,
Niby własnej... Nieraz, o ty cudzie!
Pan jej kupi jaki szmatek z miasta —
Z wolą pani —, ażeby źli ludzie
Nie mówili, że się pan coś szasta
Dla dziewczyny... Wszystko szło uczciwie —
Jak cukier był panisko... Jak cukier, prawdziwie!...

Tak się zdarzy, gdy pokój omiata,
Pan wychodząc raniutko do biura,
Ręką w pas ją naokół oplata
I przycisnie do serca: „Jak córa
Moja własna” — tak do niej powiada —
„Jesteś dla mnie, ty wczesny mój ptaku!...”
I dziewczyna bardzo z tego rada,
Że tak państwu przypadła do smaku —
„Nie rzuciłabym ich za pół świata!”
Tak myśli sobie nieraz, gdy pokój omiata...

Nie żalują nawet grosza dla niej;
Kiedy wyjdzie z dzieckiem do ogrodu,
Na spacer, jak jej każe pani,
Na powietrze, by dziecię już z młodu
Krwi dostało świeżutkiej na zdrowie,
Pan się zbliży, podbródek pogładzi,
Do kieszeni sięgnie i tak powie:
„Masz, cokolwiek! pewnie-ć nie zawadzi
Wypić piwa; nikt ci nie przygani
Szklaneczki!...” O, pan grosza nie żałuje dla niej.

Raz-ci nawet — Panienko Najświętsza! —
Chciał dziewczynę pocałować zgola,
Aż gorąco poszło jej do wnętrza...
Tak to było: pani do kościola,
O jutrzence prawie, do spowiedzi,
Jako w dzień swych imienin, pogoni...
Ona wstała, po kątach się biedzi,
A pan na nią z sypialni zadzwoni
I powiada: „Bądź-że trochę pędsza
I przynieś-że mi kawę!...” Panienko Najświętsza...

Przygotuje, przyniesie i białą
Filiżankę postawi przed łóżko,
Na stolicku... Było jej nie śmiało,
Jakoś nawet zabilo serduszko,
Jak pan, napół odkryty, z koszulą
Na tych piersiach rozpiętą, w pościeli
Leżał czystej... „Nie bój się, córulo!“
Rzecz do niej — „ino nieco śmielej,
Ojcuszkowi całować przystało“ —
Tak rzecz, gdy tę kawę przyniesie mu białą.

O! uciekła niby od choroby,
Jakby z wrzącej wyskoczyła wody!
Tylko zdało się jej od tej doby,
Że na ojca niby jest za młody,
Że ma oczy piękne, jako kwiaty,
Że spogląda o! prawie tak słodko,
Jako tamten... Tylko mniej pyzaty...
Mniej czerwony... A jak powie: „Kotko!“
Abo „córko!“ to już na sposoby,
Że aż się człowiek trzęsie, niby od choroby!

Nie! nie! Tamten jedyny na świecie.
Najpiękniejszy i najmiłszy w życiu!
Przysięgała jemu wierność przecie,
Gdy oboje w onych bżów ukryciu
Tak się lubo żegnali... żegnali...
I napisze do niego znów listek:
„Mój ty luby! coś jest w obcej dali,
Toć dla ciebie jest mój żywot¹! wszystkim,
To bez ciebie żaloba mnie gniecie —
Najdroższy! mój najdroższy, jedyny na świecie!“

Aż tu naraz — Boże Miłosierny!
Sama nie wie, jak rozum straciła!
Tak ją ogień rozpałił bezmierny,
Tak nabrzęka krwią jej każda żyła!...
Pan powracał późno w noc do domu,
Trza wstać z łóżka i drzwi mu otworzyć...
Otworzyła... O godzino sromu,
Że trza było tej chwileczki dożyć,
Gdzie się stała, jak ten pies niewierny!...
O Boże miłosierny! Boże miłosierny!...

W pierś uszczypnął, aż ją przejdzie mrowie,
Pocałował, aż jej zadrzą usta;
Mózg jej — czuje — zakręcił się w głowie,
Zbladła — czuje — niby jaka chusta,
To znów ogień wystąpił na lica...
U nóg jego zwinęła się w kłębek,
A on — czuje — w poły ją pochwyca
I na łóżka opuszcza ją zrębek...
Nie wyraził tego w ludzkim słowie
Jak straszne wszystkie kości przeszło jej mrowie...

Od tej chwili niema prawie nocy,
Aby złe to, co w jej wnętrzu siadło,
Odstąpiło od tej dziwniej mocy,
Którą wzięło nad dziewczką pobladłą!
Zapomniała o wszystkim: nie pisze,
Żadnych listów do matki, ni żadnych
Słów nie szle lubemu; kołyszę
Snać się tylko w tych marzeniach zdradnych,
Co jej żywot zmieniły sierocy
W wędnący kwiat tej jednej, tej okropnej nocy.

Tak jej przeszły trzy miesiące prawie...
Dziś się zjawil czas upamiętania!
Lecz cóż z tego?... Jak zwierz przy obławie,
Jak ta kulą skaleczona lania,
Tak i ona: Nie ma już ucieczki!
Kochanemu nie poniesie sromu,
Nie wytrzyma spojrzenia mateczki!
W poniewierkę, służyć lada komu,
Pójdzie sobie, lub zginąć gdzie w stawie
Za szal, co tak nią miotal trzy miesiące prawie!...

VIII. DWAJ BRACIA RODZENI

I.

Żyli we wsi dwaj bracia rodzeni,
Dwaj rodzeni żyli braciszkowicie;
Nie zbrakło im grosza w kieszeni
I rozumu nie zabrakło w głowie,
A jak blask ten z słonecznych promieni,
Tak tryskały z nich młodość i zdrowie.

Hej-ci młodość i zdrowie tryskały,
Jak blask ten z słonecznych promieni,
Aż się temu dziwował świat cały,
Gdy tak przez wieś szli bracia rodzeni:
„Juści“, mówią, „gdy ojciec jest dbały,
To i ród się, jak dęby, tak pleni“.

Ano, prawda! o swoich synali
Od dzieciństwa był ojciec ten dbały:
Wór niejeden na plecy im wali,
Aż im kości, jako chróst, trzeszczały,
Ostrzy smyków, jak kosę ze stali,
Na to życie, na ten trud niemają.

„Wychowałem was, dzieci jedyne,
Na trud ciętych, jak kosa ze stali,“
Tak im rzecze w ostatnią godzinę,

Gdy się z nim już wieczyście żegnali —
„Jeszcze słówko wam powiem, nim zginę,
Jako marny ten bąbel na fali.

Powiem słówko, co idzie od wnętrza,
Nim, jak marny ten bąbel, zaginie,
Że na świecie jest ziemia najświętsza,
I że w sobie ma szczęścia przyczynę;
Niech w was ku niej nad ogień gorętsza
Będzie miłość, o dzieci jedyne!

Niechże ku niej, synowie, rozpieka
Krew wam miłość, nad ogień gorętsza
Bo wszak klątwa dosięga człowieka,
Niżli czarna morówka zawziętsza,
Gdy swe serce tak trzyma zdaleka
Od tej ziemi, co w świecie najświętsza...

Głód i ludzka pogarda was zmoże,
Gdy będziecie od ziemi zdaleka;
W świat z torbami, czy słota na dworze,
W świat z kosturem, czy straszna jest spieka!
W gnojowisko zmienicie swe łoże
I pies każdy na szyd wasz zaszczeka.

Tak! słuchajcie o skarby wy moje!
Obcy chlewik zmienicie na łoże,
Gdy was myśl ta: „o zagon nie stoje!“
Gdzieś zawiedzie na puste bezdroże,
Gdy złych duchów ogarną was roje,
Że strwonicie, co święte, co boże!...

Lecz nawiedzą was większe katusze,
Gdy złych duchów ogarną was roje,
Które zawiść zasieją wam w duszę,
Że powiecie: „o brata nie stoje!“
Gdy w was zginie ten przykaz, jak proszę:
„Patrz! braciszku! co moje, to twoje...”

Jak ta słaba łęcina będziecie,
Gdy w was zginie ten przykaz, by proszę:
Jako czyży ten kłosiczek na świecie,
Który zmarniał w czerwcowej posusze;
Na nic wszystko, co w rękę weźmiecie,
Gdy ta zawiść opęta wam duszę.

Zdrowie, rozum i grosz was odbieży,
Na nic wszystko, co w rękę weźmiecie,
Gdy jak ciasto, zakisłe w tej dzieży,
Przeciw sobie porastać będziecie,
Wskroś niepomni, że z jednej macierzy
Wyszło jedno i drugie to dziecię...

W jednej chacie, na jednym zagonie,
Jako z jednej wyszliście macierzy,
Jako w jednym nosiła was łonie,
Po wsze czasy wam żyć się należy,
Chociaż szatan wszyściutkie swe bronie
Samem ostrzem naprzeciw wymierzy“.

II.

Zyli we wsi dwaj bracia rodzeni,
Dwaj rodzeni żyli braciszkowicie,

Nie zabrakło im grosza w kieszeni
I rozumu nie zabrakło w głowie,
A jak blask ten z słonecznych promieni,
Tak tryskały z nich młodość i zdrowie.

Umarł rodzic; ponieśli rodzica
Tam, gdzie w blasku słonecznych promieni
Snać się modli ta biała kaplica
Pośród krzewów i świeżej zieleni;
Łzą im srebrną zabiegła żrenica,
Gdy w grób kładli go bracia rodzeni.

Powrócili z pogrzebu w swe progi,
Z łzy im srebrnej obeschła żrenica,
Ale pamięć zgasłego niebogi
Rośnie w sercu, jak w oczach krwawica —
Jak to żyto, jak siana te stogi,
Tak w nich rośnie wciąż pamięć rodzica.

„Tak mi w sercu“, brat starszy wyrzecz,
„Stoi ojciec, jak w oczach te stogi...
Hej, braciszku! nie pójdziem na miecze,
Nie opęta nas szatan złowrogi;
Twój pot dla mnie, dla ciebie mój ciecze,
Czcijmy wolę zgasłego niebogi!...“

Mija roczek; mijają i lata —
„Pot twój dla mnie, dla ciebie mój ciecze“ —
Tak na przemian brat mówi do brata,
Aż się serce raduje człowiecze.
Ich miłości przepelna jest chata,
Dwaj rodzeni nie pójda na miecze.

A dobytek z dnia na dzień wciąż wzrasta,
Bo miłości ich pełna jest chata...
Z pola zboże, za zboże grosz z miasta,
Snać do swego przykupią pół świata;
We wsi zjada nie jedno subhastą,
A ich mienie wznaga się co lata.

„Słysz, jedyny!“, tak młodszy brat powie,
„We wsi zjada niejedno subhastą,
Nam bo praca wychodzi na zdrowie
I z dnia na dzień dobytek nasz wzrasta;
Dobrze będzie, tak myślę w tej głowie,
Gdy do chaty zawita niewiasta.

Znasz w Borówce starego Swobodę,
Dobrze będzie, tak myślę w tej głowie,
Gdy w swe rządy obejmie zagrodę
Jego córka — Poluchna się zowie;
Jest-ci dziewczę, jak wiosna, tak młode,
A tak świeże, jak trawka na rowie.

Dawno było już w mojej ochocie
Ono dziewczę, jak wiosna tak młode;
Jaćbym dla niej porzucił i krocie,
Dla niej szedłbym przez ogień i wodę;
Żyć samotny, jak kolek ten w płocie,
Nie na dobre to idzie — na szkodę!...“

„Ej-że, prawda! wychodzi ku złemu
Żyć samotnie, jak kolek ten w płocie“,
Tak brat starszy odrzecz młodszenemu; —
„Kiedy serce utonie w tęsknocie,

To nie ulżysz serduszkowi ciężkiemu,
Choć po uszy opływałbyś w krocie...

Idź! zrób koniec w najpierwszą niedzielę,
Bo nie ulżysz serduszkowi ciężkiemu,
Aż nie staniesz z dziewczyną w kościele;
Idź upadnij do kolan staremu
I bratową przyprowadź w dom śmieie,
Jest dobytku i miejsca po temu“,

I brat młodszy posłuchał tej rady,
I Poluchnę wprowadził w dom śmieie!
Wyhulali się wszystkie sąsiady,
Takie starszy wyprawił wesele:
„Jedźcie! pijcie! bez żadnej zawady,
Dla człowieka niczego za wiele!

Hej! bratowa! hej! kumie wy stary!
Jedźcie! pijcie! bez żadnej zawady!
Jeszcze wszystkie nie poszły talary,
Jeszcze czem jest ugościć sąsiady!
Żyto nawet nam rodzą moczary,
Gdy grunt żyzny dał innym poślady.

Hej! bratowa! tyś panią w tym domu!
Żyto nawet nam rodzą moczary;
Nie szczędziłam chudoby nikomu,
Nie poszczędzim i tobie ochfiary:
Gospodynią tu będziesz bez sromu —
Jeszcze wszystkie nie wyszły talary.

Hej! bratowa! nie żałuj warkoczka,
Gospodynią tu będziesz bez sromu!
Ze lzy jasnej obetrzyj te oczka;
Żleć tu u nas nie było nikomu,
Wszak brat starszy nie żaden zawłoczka,
Uszanuję bratową w tym domu...”

Otworzyły jej wszystkie się dźwierze —
Wszak brat starszy nie żaden zawłoczka —
I bratowa szczęśliwa w tej mierze,
Nie żałuje czarnego warkoczka;
Przy dobytku porasta wciąż w pierze,
Tak się sierdzi w chałupie, jak kwoczka.

Cieszy brat się ze serca — ej! cieszy,
Że bratowa porasta wciąż w pierze —
„Szczęście“, mówi, „tak bardzo nie spieszy,
Nie każdego za karczek tak bierze,
Lecz tu, widno, jak w miękkiej kaleszy,
Tak jest dobrze Poluchnie w tej mierze“.

„A! braciszku!“ powiada, „bacz na to,
Niech jej będzie, jak w miękkiej kaleszy;
Niechaj zawsze ma u nas swe lato,
Z jej radości i człek się ucieszy;
Nam nie trzeba się liczyć ze stratą,
Nie nosimy dziurawej bekieszki...”

Sam uważa na różne nawyczki
I nie liczy się nigdy ze stratą,
Sprzeda źrebę lub korzec pszeniczki,

Juści z tego bratowa ma lato!
To z mosiężną podkówką bućczki,
To znów chustkę francuską, bogatą.

„Na-cie, Polka! przywiozłem“ — zawoła —
„Od parady mosiężne bućczki:“
Do świętego lubicie kościoła
Pominować, jak kwiatek różyczki;
Coś człek jeszcze zarobić wydola,
Będzie jeszcze po trochu pszeniczki.

A tu znowu czepinka jest taka —
Coś człek jeszcze zarobić wydola —
Dla przyszłego“, powiada, „chrzestniaka;
Boć da Pan Bóg, tak myślę już zgoła,
Na początek jędrnego robaka,
A na obrzęd mnie bracisz zawoła.

Da i pewnie, że mnie to przypadnie
Trzymać do chrztu jędrnego robaka —
Niech bratowa tak naprzód już zgadnie,
Co za imię mam w głowie?... Do klaka!
Pewnie będzie „Walosik“ mu ładnie!
Tak jak dziaduś — Walosik Bodziaka...”

„Bóg wam zapłać... Za wiele miłości! —
Pewnie będzie „Walosik“ mu ładnie“ —
„Nie dziękujcie, bratowa!... my prości,
Ino Bogu dziękować wypadnie...
A już... miłość... ej! miłość... wszak gości
Szczyćście w domu, gdy miłość tam władnie...”

III.

Żyli we wsi dwaj bracia rodzeni,
Dwaj rodzeni żyli braciszkowicie;
Nie zabrakło im grosza w kieszeni
I rozumu nie zabrakło w głowie;
A jak blask ten z słonecznych promieni,
Tak tryskały z nich młodość i zdrowie...

Ej! z dobytku płynąca ty pycho!
Już ty z złotych nie jesteś promieni!
Jak tanocka, tak skradasz się cicho,
Nie zasypia zle w kojcu twych cieni —
Na rodzonych uwzięło się lichy,
Nie poznali już siebie rodzeni...

Tak!... tak!... lichy nie sypia, lecz kusi!
Na rodzonych uwzięło się lichy
I nasamprzód do ucha Polusi
Zacznie szeptać, jak listek, tak cicho:
„Jedno panem w chałupie być musi“ —
Ej! z dobytku płynąca ty pycho!

Ciemnąnocką, co patrzy, jak wróżka,
„Jedno panem w chałupie być musi“
Wręcz młodszemu, gdy kładł się do łóżka,
Powtórzyły usteczka Polusi —
„Jużbyś nie miał żadnego serduszka,
Gdybyś folgi też nie dał żonusi...”

Chodź, podłożę ci łokieć pod głowę —
Jużbyś nie miał żadnego serduszka!“
Tak precz skomlą jej wargi różowe;

„Wszak ja tutaj, jak dziewczka, jak służka!
Nie wiem, czyją oprzątam dziś krowę,
Czyj groch sypię do tego garnuszka.

Juści bieda, gdy żonie nie wiada,
Czyją tutaj oprzątać ma krowę...
Do jednego nas troje zasiada,
A my wszyscy stracili już głowę:
Żaden rozum już dzisiaj nie zbada,
Czy to nasze, czy jego, bratowe?!...

Nie ma-ć plugu dziś jeszcze w tej ranie,
Ale żaden już rozum nie zbada,
Co się jutro w chudobie tej stanie,
Gdy braciszek tak ciebie zagada:
„I ja ślubne zgotuję posłanie,
I mnie cosik tęsknica opada...”

Gdy braciszek zagada tak ciebie:
„I ja ślubne zgotuję posłanie,
Człek samotny, jak robak się grzebie”,
Cóż się wtedy w obejściu tem stanie!
Jak ten złoty miesięczek na niebie,
Ni dwie sługi tu będą, ni panie!...

O jedyny! o droższy nad życie!
Nad ten złoty miesięczek na niebie!
Człowiek wstaje o rannym już świecie,
Jak ten robak, tak do dnia się grzebie.
A nie wiada, na czyje obycie,
A nie wiada, ku czyjej potrzebie...

O jedyny! o luby! o słodki!
Nie wiadomo, na czyje obycie
Człowiek nieraz, jak marne stokrotki,
Mięknie w deszczu przy owsie, przy życie;
Nie wiadomo, dla kogo człek wiotki —
Człowiek słaby ma wstawać o świecie.

Nie wiadomo, dla kogo w tym skwarze
Ma się człowiek, słabiuchny i wiotki,
Jak słonecznik, tak suszyć!... Zaparzę
Ledwie jagiel z okrasą, już plotki,
Że nie z swego pieczenie wej! smażę —
O jedyny! o luby o słodki!...

Tak-ci, mówię, już chodzi po wsisku,
Że nie z swego pieczenie wej! smażę,
Żem czerwona, jak burak, na pysku,
Że starszemu harować wciąż każę:
Wyjdę w święto w francuskim chuścisku,
Juści w plotkach tak jestem, jak w skwarze.

„Ej! nie dziwy! nie żadne to dziwy!
Może chodzić w francuskim chuścisku;
Szwagier w pracy zaledwie jest żywy“ —
Tak naokół gadają po wsisku —
„Już to pewnie jest człowiek szczęśliwy,
Gdy tak pstroszy się w obcem gnieździisku...”

Bóg wam zapłać! Bóg zapłać za szczęście!
Juści ze mnie jest człowiek czczęśliwy!...
Niech grom bije w takowe zamęcie!

Lepiej było rwać w domu pokrzywy,
Lepiej ściskać przy żarnach te pięście,
Niżli w obcem królować — o, dziwy!...

Jaka rozkosz i jakie to fety!

Lepiej ściskać przy żarnach te pięście,
Lepiej wietrzyć żydowskie gdzieś bety,
Tępić zęby, jak psina, o chrzeście!
Uczyń rozdział... posłuchaj kobiety,
Będzie rozkosz w chałupie i szczęście.

Krótki-ć, mówią, jest rozum niewieści,
Ty — zrób rozdział... posłuchaj kobiety!
Najmilejszy! najmilszy!... boleści
Już tu czuję, boleści — o rety!
Czuję owoc pod sercem się mieści,
Przyjdzie synek... Posłuchaj kobiety...

A na kogo haranie to całe?
Na ten owoc, co tutaj się mieści —
Tu pod sercem?... O ślepki wy małe!
Niechże was też żoneczka popieści!...
Już ja widzę tę straszną zakalę:
Przyjdzie obca i dom ten zbieszczęści.

Ty na swego, a ona na swoje —
Już ja widzę tę straszną zakalę!...
Nie o siebie, o synka się boję,
O to szczęście jedyne! o całe
One skarby, o wszystko to moje —
O tę krew twą me serce jest dbałe.

W ciężkiej pracy pomyślisz tak sobie:
„Na te skarby, na wszystko to moje,
Na pociechę jedyną tak robię“,
A tu obca przywłóczy te swoje
I „fiu“ — warczy — „plonuje w chudobie!
Wszystko na was to spłynie, jak zdroje“.

Kupisz szmatek dla dziecka, już obca
Jak pies warczy: „plonuje w chudobie,
Stóg do stogu i kopiec do kopca,
A ci naraz, jak woły przy żłobie,
Całą gębą dla swego! Dyć chłopca
Wej! ozłóćcie, oszklijcie go w sobie!...”

Tak cię nieraz ta obca ubodzie!
„Całą gębą z cudzego na chłopca!?...“
Zróbże rozdział!... Gdzież, w jakim jest rodzie,
By rządziła ni swoja ni obca?
Ino na tych jest śmieciach tak w modzie,
Choć świat przejdiesz od kopca do kopca!...”

Wstał brat młodszy, ej! wstał-ci nad ranem —
„Ino na tych tu śmieciach jest w modzie,
Że ni obce ni swoje tu panem“,
Tak go ciągle w dolyszku coś bodzie...
Złe, jak żmija, z tem cielskiem skalanem,
Ku zatracie się wgryza, ku szkodzie.

Szedł do stajni, dać szkapkom obroku,
Za nim pełźnie złe cielskiem skalanem...
Gniadą głaszcze po krzyżu, po boku:

„O, mojaś-ty!!!...“ a gniada z udaniem
Zarży śmianiem w okrągłym tem oku:
„Ni ja twoja ni jego... któż panem?!...“

Aż go ciarki przechodzą, gdy gniada
Rży tak z śmiechem udanym w tem oku!
„Juści, Polka ma słusność“, powiada —
Hej! nie myśli, że lichy co kroku,
Że się za nim co kroku źle składa,
Zewsząd, z tyłu i z przodu i z boku...

Pójdzie zajrzeć do zboża na pole,
A źle za nim co kroku się skrada...
„Ani widu, by były kąkole!
Będą żniwa“, tak szepce, „nielada!
Moje żyto nad wszystko już wolę!...“
A tu żyto: „Jak twoje?“ wręcz gada...

Zerwie kłosek, rozetrze w swych ręku —
„Moje żyto nad wszystko już wolę;
Ziarno czyste i sypnie, jak z pędu...
Już jak masło, tak tłustą mam rolę!“
A tu ziarno, jak w strachu, jak w lęku:
„Gdzież ja twoje?! Gdzież twoje to pole?!...“

„Niech wcierniasty!“ zaszczęknie zębami;
„Nawet ziarno, jak w strachu, jak w lęku!
Hej! nie będzie spokoju już z nami!
Już nie dla mnie to sypnie, jak z pędu!
Nie moimi ja chodzę łanami!
Nie zostanie nic z tego w mych ręku!...“

Źle w nim siadło, jak w jakiej skorupie:
„Nie moimi ja chodzę łanami
I nie moje te ściany w chałupie,
Ni to żyto z pełnemi kłosami,
Ni ten owies z łońskiego na kupie“ —
Tak się lichy w nim kłuje, tak mami!...

Rzecz starszy młodszemu w te słowa:
„Jest-ci owies z łońskiego na kupie —
Teraz placi... jedź na targ do Lgówka
Ja bo w domu, jak w starej skorupie...
Dobra-ć zysku jest każda złotówka...
Jedź... ja dzisiaj zostanę w chałupie!...“

Sprzedal młodszy, powraca do chaty —
„Dobra-ć zysku jest każda złotówka:
Toć, braciszku, nie umrzesz z tej straty,
Z kilku groszy nie pęknie ci główka...
Dwa, trzy grosze na korcu — nie świąty!...
Od grosiczka do grosza — złotówka!...

Juści pewnie, że urwę na własne —
Dwa, trzy grosze z korczyka — nie świąty!...
Niech pioruny rozbijają mnie jasne,
Dyć, on liczy w chałupie dukaty!
Dyć on panem! Dwa grosze mu strzasnę —
Dwa na korcu!... Nie umrze z tej straty...

Dyć i mam-ci też prawo do tego!...
Dwa grosiczki... Dwa grosze mu strzasnę —
Na odkładkę, od korca... Psy strzegą
Swojej skóry — to rzeczy są jasne,

A człek? gorszy-ż od rodu jest psiego?
Czyż nie wolno mu składać na własne?...“

Liczy bratu... „Coś staniał...“ brat sarka...
„A czyż gorszy od rodu ja psiego,
Byś tak sarkał?... Za tanio?... Talarka
Za półkorczę byś pragnął!... Prócz tego —
Dojadali, że była zła miarka“ —
„Ej! braciszku! nie strzeżesz już swego —

Ej! nie strzeżesz!“ brat starszy wykrztusi...
„Dojadali, ci mówię: „zła miarka!...“
Sam mierzyłeś... a zresztą nie musi,
By po twojem chodziło... Talarka!...
Za korczyzek któż więcej wydusi?...
Sarkasz bracie!... któż na psa tak sarka?!...“

„Ej“ — znów starszy — „znać, nie dbasz o swoje!...“
„Za korczyzek któż więcej wydusi?
Zresztą, mówię, gdzie moje? co moje?
Jedno panem w chałupie być musi,
Wtedy wiedzieć, co czyje... Nie stoję
Dziś już o nic...“ Tak młodszym zle kusi...

IV.

Żyli we wsi dwaj bracia rodzeni,
Dwaj rodzeni żyli braciszkwie;
Nie zabrakło im grosza w kieszeni
I rozumu nie zabrakło w głowie.
A jak blask ten z słonecznych promieni,
Tak tryskały z nich młodość i zdrowie.

Ale młodość i zdrowie przemija,
Jako blask ten słonecznych promieni!
Toć to człowiek jest niby lelija,
Która więdnie przed czasem jesieni...
A już wtedy, gdy złe się węń wpija,
Czem jest człowiek? czem bracia rodzeni?

Na nic młodość i zdrowie człowieka,
Na nic, mówię, gdy złe się węń wpija!
Grosz z kieszeni, jak pyłek, ucieka,
Rozum w głowie, jak tęcza, przemija,
A braterstwo, zdrój miodu i mleka,
W gorzką zawiść zmienione — zabija!

Starszy bracie! miej spokój w tym grobie!
Wszak braterstwo, zdrój miodu i mleka,
Nie zmieniło w nienawiść się w tobie,
Tak, że człowiek zabija człowieka!...
Starszy bracie! w żywota wszak dobie
Zawsze stałeś od złego zdaleka!...

Ziemię-ś kochał, jak matkę rodzoną,
I w całego żywota wszak dobie
Lichu-ś złemu zamykał swe łono.
Przeciw twojej któż rzecze osobie,
Iżeś chodził za życia złą stroną?
I że braknie spokoju ci w grobie?!

Hej! o dobrych ziemica ta święta —
A któż powie, żeś chodził złą stroną! —
W swoim wnętrzu, jak macierz, pamięta...

A i w ludziach żyjących też pono
Nie zaginie ich pamięć do szczęta,
Choć śnią dawno pod darnią zieloną...

„Starszy bracie!” tak szepcą wciąż ludzie —

„Nie zaginie twa pamięć do szczęta!
Jakoś żadnej nie służył obludzie,

Jakoś nie znał, co droga jest kręta;
A gdy człowiek żył w trosce i trudzie,
Już z pomocą twa dłoń, jak najęta.

Już to“ — mówię — „do ciebie nieboże!

Kiedy człowiek był w trosce i trudzie,
Tak bez wstydu, bywało, iść może;

Na biednegoś nie spuszczał, o cudzie!
Psów z obroży — zwęzałś obrożę,

Gdy pies warknie na biedne te ludzie.

Wszedł do ciebie komornik w swej biedzie,

Tak ty zaraz zwęzałś obrożę —

„A do nogi“, tak na psa, „sąsiedzie!“

Tak do czleka — „cóż słyhać na dworze?

Trzeba koni? brat zaraz pojedzie;

Trzeba grosza? ot skrzynkę otworzę!“

Jesteś w mieście, bywało, nie rzadko

Ktoś zapyta: „Czy kumotr wnet jedzie?

Mam tłumoczek...“ „Da! kładźcie, sąsiadko!

Jakoś nam się z tem wszystkim powiedzie,

Niby stolik tak droga jest gładką —

I wy siadźcie... tu! przy mnie! na przedzie“.

Tak się zdarzy, że we wsi ktoś chory,

Już ty: „Droga, jak stolik, jest gładką,
Trzeba zaprządz, trza przywieść doktory...“

Z ludźmi zawsze, jak z ojcem, jak z matką,
Nie chadzałeś na klótnie i spory —

Żyłeś w zgodzie z sąsiadem, z sąsiadką.

Starszy bracie! miej spokój w tej ziemi,

Jakoś w klótnie nie wchodził i spory!

Jakoś lży się nie poił krwawemi

Sprawiających odrobki, jak zmory.

Wszak, mówiono, z sieroty biednemi

Dzieliłbyś się i krową z obory.

Hejże! krwią ty z własnego się ciała

Byłbyś dzielił z sieroty biednemi!

Czemu śmierć cię tak rychło zabrała?

Snopki-ś zrzucał rękami skrzętnemi,

Na klepisku twa skroń się strzaskała,

Abyś znalazł wytchnienie w tej ziemi!“

Starszy w grobie trzy lata już blisko —

Spadł-ci z warstwy i skroń się strzaskała

O klepisko, o twarde klepisko! —

Ziemia nad nim zieleni się cała...

A brat młodszy?... Hej! położył, jak rżysko,

Dziw, że żyje — oszalał bez mała...

Leży młodszy u Szmula pod ławą;

By wiór suchy, położył, by rżysko...

Coś przewraca żrenicą tą krwawą,

A tak skomli, jak zbite to psisko;
Na tych wargach ma ślinę plugawą,
A wciąż skomli: „klepisko! klepisko!...”

„Dajcie, Szmulu, kieliszek mi świeży”,
Wybelkoce z tą śliną plugawą...
„Trzy już lata, jak w ziemi brat leży —
Upadł z warstwy... ta! miał-ci śmierć żwawą,
Na klepisku... kto wierzy, niech wierzy...”
Tak belkoce ten młodszy pod ławą...

„Czemu, żydzie, nie dajesz?... Ta! zginął —
Na klepisku — kto wierzy, niech wierzy...
Jeszcze-ć z wódką dobytek nie spłynął,
Jeszcze-ć tam się z korezyczek umierzy...
Lejcie, Szmulu!!! Ta!... ta!... ta!... Przeminął
Czas twój, bracie... ta!... Szmulu, daj świeży!

Ta!... i jestem sam panem... ta!... ta!... ta!...
Dajcie, Szmulu!... Twój czas już przeminął...
Ta! panujesz!... ta!... w dole!... trzy lata!...
He?!... zabierze supasta?!... Nie zginął,
Kto się złemu tak oddał do kata!...
Dajcie!... z wódką grosz wszystkim nie spłynął!...”

Hejże, zginął, hej, zginął, jak prósze,
Kto się złemu tak oddał do kata!...
Siedzi młodszy w chałupie: swą duszę
Snać wymiecie, tak pyskiem zamiata,
Tak wygraża się onej Polusze,
Tak ci nad nią wciąż trzaska, jak z bata...

„Przyśnią ci się żydowskie szabasy” —
Tak się swojej wygraża Polusze —
„Nawet w domu kawalka okraszy
Jałowizną mnie tuczy!... Wysuszę
Tuk ci z krzyża!... Darł będę ci pasy!...
W twojej własnej unurzam cię jusze!...”

Masz!...“ i miskę jej rzuci pod nogi! —
„Tuk wysuszę! darł będę ci pasy!...
O nieszczęsna godzino, gdy w progi
Moje suka ta weszła!... Za lasy,
Za te góry, na dzikie rozłogi
Lepiej pójdę — na troski, niewczasy!!!...”

„A! idź sobie!” — Poluchna odpali —
„Idź za góry! na dzikie rozłogi! —
Sami czarci mi ciebie nadali!
Dawniej były i brogi i stogi,
Dziś się nawet chałupsko już wali —“
„Milcz, ty suko! a wara do nogi!...”

„O! ja biedna!” — i we łzach utonie —
„Dziś się nawet chałupsko już wali!
Toć ze sierści oblaży ci konie!
Krówska miechem by nakrył!... Zabrali
Za podatek jałowkę... Patrz! żonie
Nagie boki wylażą... Cóż dalej?...”

Cóż? gdy pójdzie tak strata po stracie?
Jałowicę już wzięli... patrz! żonie
Nagie boki wylażą... Hej! bracie!

Starszy bracie!... Dlaczego twe dłonie
Tak ostygły przed czasem?... Nie w szmacie —
Ty byś kazal mi chodzić w robronie...

Chustki-ś sprawiał francuskie!... Dlaczego
Takeś zastygł przed czasem?... Nie w szmacie
Ja chodziła... „Ty suko! niech strzegą
Czarci twojej golizny! Niech na cię
Wszystkie spadną morówki! Do złego
Kto mnie kusił?... co nocy... tu... w chacie?!!”

„To dla synka...” „A! suko! niech spadną
Na cię wszystkie morówki, do złego
Żeś skusiła... Dla synka!... Oj! składną
Miałaś, suko ty, gębę... Weź tego —
Weź mi z oczu gadzinę szkaradną...
A!... zrób rozdział!... Niech czarci cię strzegą!...

Jedno panem być musi w chałupie!...
Masz to państwo!... Gadzinę szkaradną
Weź mi z oczu, inaczej rozłupię
Jako szczypę na dwoje!... „Aż zbladną
Mu te wargi, aż zbladną, jak trupie,
Gdy go w duszy te złości opadną...

A nie rzadko zjawiają się złości,
Aż mu wargi te bledną, jak trupie...
Dobrych myśli, spokojnych tych gości,
Nie powita śnać młodszy w chałupie...
Hej! zapomniał braterskiej miłości —
Złe w nim siadło, jak w jakiej skorupie.

Ni mu żona dziś w sercu, ni dziecię —
Tak!... zapomniał braterskiej miłości,
Więc mu kolkiem stanęło już życie...
Dawniej z roli miał tysiąc radości,
Dziś i rola — jak gdyby na zbycie,
Rodzi kłosy, co pełne są — czczości...

„Ba! i zbędę się ciebie!...” Tak szłocha —
„Już ty jesteś, jak gdyby na zbycie!
Dawniej matka, a dzisiaj macocha!
Dawniej ziarna, dziś murzu sowicie,
Na nic brona i na nic już socha!
Hej, ty roło! ktoś przeklął cię skrycie...

Moja głowo!... Przekląłem sam rolę,
Że tu na nic i brona i socha!
Samem posiał w pszenicy kąkole,
Stała z niej się przezemnie macocha!
Wezmę torby i pójdę na wolę —
Na ten wicher, co wieje!...” Tak szłocha.

Tak i przyszło, że poszedł z torbami
Na ten wicher, co wieje, na wolę...
Bo i jakżeż mu sypać ziarnami
Miały kłosy, gdy puścił tak rolę?
Nie domierzwil, nie chodził skibami,
Więc i ziemia mu rodzi kąkole.

A jak dojrzyć wszystkiego tem okiem!
Jak domierzwic, jak chodzić skibami,
Gdy duch brata tak krok mu za krokiem:

„Bracie! brata zabiłeś cepami!!!“
Jak szerokie to pole, w szerokim
Tak go polu duch brata wciąż mami...

„Pójdę!... Pójdę!... Opowiem w urzędzie“ —
Tak-ci jęczy w tem polu szerokim —
„Powiem: patrzcie, przeświećni wy sędzie!
Ona plama na skroni! nad okiem! —
To od cepów... Niech koniec raz będzie...
Jam go zabił... w stodole... przed rokiem...

Gdzie przed rokiem?... Ba! cztery miesiące,
Jak od cepów tych zginął... Niech będzie
Raz już koniec!... Tak powiem: Gorące
Były-ć wtedy dni jeszcze... Na grzędzie
Były kury... nie kury... łaknące
Były wróble, przeświećni wy sędzie!

Tak on mówi: „lichoto ty marna!“ —
Nie na kury, na wróble łaknące
Tak on mówi i rzuci im ziarna
Całą garścią.. tak na wiatr... w to słońce
Onym wróblom tak sypnie!... Hm! parna
Była pora... dni były gorące...

Tak! pamiętam... coś z cztery tygodnie,
Jak on wróblom tak rzucał... Hm! parna
Byłać pora... pamiętam... Jak kłodnie,
Tak się wróble objadły... „Ochfiarna
Już, powiadam, twa ręka...“ Na zbrodnię
Chęci-m nie miał... te ziarna! te ziarna!...

Tak!... za ziarna-m go zabił... „Ty, bracie!
Już twa ręka ochfiarna!... na zbrodnię
Chęci nie mam“, tak mówię... „W zapłacie
Jednak“, mówię do brata tak zgodnie,
„Onoć ziarno nie będzie... W tej stracie
Moja strata... patrz! wróble, jak kłodnie!...

Lepiej zawieść, powiadam, na młyny,
Niż te ziarna tak sypać ku stracie
Onym wróblom!“ Tak mówię... „Jedyny!
Mój jedyny!“ on do mnie, „toć w chacie
Dosyć u nas dobytku, ptaszyny
Niech też mają coś boże...! Tu! macie!...

Macie!“ mówi i ziarna znów rzuci,
„Dosyć u nas dobytku, ptaszyny!“
Tak powiada... Urzędzie! nie smuci
Mnie to wcale, że onej godziny
Takem zabił dwa wróble: przewróci
Pies się nawet od cepów... Bez winy —

Tak! bez winy nie jestem... Ba! szczerą
Mówię prawdę: Urzędzie! przewróci
Pies się nawet, a cóż tu dopiero
Marny wróbel... od cepów... Hm!... kłóci
Brat się ze mną — tak, kłóci: „Ty, sknero!
Tak cię ziarnko dla wróbli już smuci?...“

Mówił w żartach — oj! żarty są zdradne!
„Smuci ziarnko cię“, mówi, „ty sknero!“
Tak ja na to: „Braciszku!... tak, ładne“

Masz-ci, mówię, dobytki, lecz spierą
Wnet ci skórę, gdy będą tak składne
Twoje ręce w rzucaniu..." Tak!... szczerą

Mówię prawdę, urzędzie!... Tak rzekłem:
„Już w rzucaniu twe ręce są składne!...
A masz prawo do tego?... Przed piekłem
Nie odpowiesz,.. za ziarno!..." Hm!... wpadnę
Tak na niego ze słowem tem wściekłem:
„Czyżże“, mówię, „dobytki te ładne?

Czyby twoje?... Tak twoje. jak moje?...“
Wręcz tak wpadnę ze słowem tem wściekłem...
„Wszystko, mówię, tak moje, jak twoje,
Więc jednemu do ziarna“ — tak rzekłem —
„Wara! wara!... Braciszku! nie boję
Ja się gniewu twojego... Tak siekłem,

Jak ty, mówię, to zboże, że wara!
Wara tobie jednemu!... Nie boję
Twych się gniewów!... Co? mówię, „niezdara
Byłby ślepy, że rzucasz, jak swoje,
To, co wcale nie twoje... Człek hara“,
Tak powiadam — „na kogo? na roje!...

Tak!.. powiadam, „na roje!... Tak! mówię,
Człek na całe wciąż roje tak hara!
Ślepi, głusi przychodzą, jak mrówie,
A ty dajesz... Z czyjego talara
Dajesz grosze?... Toć każde obuwie
Wnet się zedrze i grosz nasz, jak para...

Pęknie, mówię, najlepsza rozwórka —
Najsilniejsze się zedrze obuwie,
I nasz grosz się rozwieje, jak chmurka...
Ba! zrób rozdział, dziel choć półzłotówię!...
Będziem wiedzieć, tak! czyja jest skórka,
A czyj piatek!..." Tak jemu wręcz mówię...

Dziś nie wiedzieć, prześwietny urzędzie!
Czyj jest piatek, a czyja jest skórka...
Jedno panem w chałupie niech będzie —
Tak ja mówię!... Tak mówi i córka
Bartłomieja Swobody, wy sędzie!
Tak!... Poluchna tak mówi... A! gburka!...

Gburka z ciebie, Poluchno!... Niech czarci
Oną córę Swobody, wy sędzie!
Niech ją czarci! bo Bóg już nie skarci
Mojej suczki... Ty! suczko! Dwie piędzie
Były ziemi, jest jedna... Nie warci
Czasem ludzie tej ziemi... Niech będzie!...

Suczko! zgadnij! zagadka: Oj były
Dwie! dwie piędzie, jest jedna — nie warci
Ludzie jednej?... zgadywaj... już siły
Nie masz na to, by zgadnąć? niech czarci
Ciebie, suczko!... Jest inna, tak: żyły
Dwa! dwa braty, jest jeden... Jak z barci —

Tak! jak z barci ci żywot osłodzę,
Jeśli zgadniesz tę inną: Oj! żyły
Dwa! dwa braty, jest jeden... Na drodze —

Na rozstajnej, około mogiły
Brat-ci zabił braciszka: niebodze
Młode latka, jak kwiat, się skończyły...

Nie na drodze, w stodole! w stodole
Brat-ci zabił braciszka: niebodze
Tak zmarniały te latka!... Przez pole,
Tak, prześwietny urządzie, przechodzę,
Chcę zobaczyć odrobki... „Jak mole“,
Brat powiada, „harują“... Nie zgodzę —

Ej! nie zgodzę się z tobą... U Żaka
Wzdyć harują w odrobkach, jak mole,
Ale u nas?!... Gdzież modła jest taka,
By za pół dnia odrobku dać rolę —
Cały zagon na marchew?... niech skaka
Pies komornik ze trzy dni, jak w dole —

Jako w dole wilczysko!... Niech w żniwa
Za zagonik pod marchew tak skaka
Cały tydzień, powiadam... Oliwa
Niech raz wyjdzie już na wierzch: Bodziaka,
Brat mój starszy — tak! Jan się nazywa,
Zrobił ze mnie, patrzajcie! żebraka...

Świetny sądzie! tak żądam też cosik:
Jako brat mój, co Jan się nazywa,
Po Walentym — choć ludzie „Włosik“
Nibyć zawsze gadali — podrywa
Na mą krzywdę nie własny swój trzosik,
Jako obcem zagony obsiewa —

Obcem, mówię, nasieniem — a przecie!...
Na mą krzywdę nie własny swój trzosik
Wciąż podrywa: Toć inni na świecie
Gospodarze, Żak Wojciech, Jan Włosik,
Maciej Piętka, tak mówią: „Jak chcecie!
Dam pod marchew, lecz nie dam za grosik!

Nie dam za ten fenylek dla dziada!
Dzień odrobku — za skibę! jak chcecie!...“
Tak-ci mówią, mój zasię brat gada
Z moją krzywdą: „Ha! bieda was gniece,
Dam pod marchew za pół dnia...“ Okrada
Mnie ten brat mój — czy wiecie? czy wiecie?!...

Świetny sądzie niech wyrok się stanie;
Dał pod marchew za pół dnia... Okrada
Mnie ten brat mój!... Braciszku! jak banie
Wozisz z miasta kobiety... Niewiada,
Skąd masz prawo zabierać w osmanie
Co się zdarzy — i babę i dziada!...

Konie męczysz! ścierają się koła,
A skąd prawo zabierać w osmanie
Co się zdarzy?... Powiadam już zgola:
„Uczyń rozdział, a wtedy, ty, panie!
Rób ze swoim, co zechcesz! jak smoła
Wtedy lep się do dziadów w gałganie...

Z miasta całe zabierają obozy —
Tak! rób ze swem, co zechcesz!... jak smoła
Wtedy lep się!... Niech psują się wozy!

Męcz swe konie! okuwaj wciąż koła!
Na postronki kręć nowe powrozy,
Niech ci rwia się, jak zechcesz!... Lecz zgoła —

Tak! powiadam ci zgoła, że zasię
wciąż na nowe wydawać powrozy,
Pókąd niema rozdziału...“ W tym czasie,
Świetny sądzie! pełniutkie my wozy
Mieli żyta... Poluchna w okrasie
Oplywa — doprawdy! aż zgrozy

Brały czleka na tłustość jej pyska —
Oplywała tak Polka w okrasie...
Świetny sądzie! brat starszy z klepiska
Całą garścią brał ziarna i ptasie
Brzuchy, mówię, wypychał... Niech ciska,
Kiedy zechce, ze swego, lecz zasię —

Zasię, mówię, jest bratu do ziarna,
Co ni jego ni moje!... Niech ciska,
Gdy się rozdział już stanie... Hm! parna
Była wtedy godzina... Ludziska
Gdzieś na polach... Żoneczka, jak sarna,
Pogoniła do miasta... Zbyt bliska

Juści nie jest ta droga... Coś kaczek
Wzięła z sobą żoneczka, jak sarna,
Czy koguta na sprzedaż — przysmaczek
Jest to niby żydowski... Tak! skwarna
Była-ć chwila... Jak nędzny robaczek,
Człek się pocił, jak glista przemarna...

My w stodole, powiadam młócili...
Człek się pocił, jak nędzny robaczek...
Wtem w sąsieku mój mały zakwili,
Tak zaskwierczy, jak koło od taczek:
Firut! firut!... Brat starszy w tej chwili
Rzuci cepy: „niedoszły chrześniaczek!

Mój Walosik!...“ tak woła... „mój złoty!...
Firut! firut!...“ Tak starszy tej chwili
Z bachorzątkiem się ciałka... „Roboty
Byś się trzymał“, powiadam; „wybili
My ćwiercinę zaledwie... aż poty
Cieką ze mnie, a ten się tu mili...

Jakż będzie zarobek dziś czysty?
Ziarna ledwie z ćwiercina, a poty
Cieką ze mnie, powiadam, jak z glisty!...
Ten się ciałka!... Ja nie mam ochoty
Sam pracować... Chłop z niego sążnisty,
A chce mu się bawiuchnać... w wymłoty!...

Tak! powiadam, bawiuchnać chce mu się,
A chłop z niego, powiadam, sążnisty!
Zresztą, mówię, cygański Jezusie!
Co przechrzciasz dzieciaka? Mój-isty
Syn, nie żaden Walosik... Za włosię
Szkapę ciągnij, nie czeka!...“ „Nieczysty

Chyba w tobie rozpuścił języki“ —
Tak brat starszy... Ja na to: „za włosię
Ciągnij szkapę, rób innym przytyki,

Mój jest Kazio... Kaziuniu... Polusie
Idź się spytać o imię!... Nie w smyki
Pójdzie syn mój, lecz w pany chce mu się..."

„A cóż tobie się plecie po głowie?
Czy to w pany chce mu się czy w smyki,
Tego dzisiaj nie wiedzieć“ — odpowie —
Tak odpowie brat starszy — „tu krzyki
Twoje na nic“ — odpowie... — „W narowie
Już, powiada, masz takie języki..."

„Ba!“ ja na to — „trafiłeś, jak w sedno!...
Mam w narowie, czy nie mam w narowie,
Co jest komu do czego?... To jedno:
Mój nie żaden Walosik!...“ „Hm!“ powie,
„Ale miał być Walosik!...“ „Obrzedną,
Stul-że gębę, bo dam ci — na zdrowie!“

Ale miał być Walosik!... Patrzcie go!
Hm... Walosik!... Stul gębę obrzedną!
Miał czy nie miał! cóż tobie do tego?...
Miał być!... prawda!... Oj! duszę mą biedną
Niech, urzędzie! ratują od złego
Oneć boże anioły! To jedno —

Tak! powiadam, to jedno: Polusze
Rzekłem w czas jej, powiadam: „Od złego
Niech ratują anioły mą duszę!...“
Tak jej rzekłem — „nie wezmę innego
Do kościoła... dyć! brata wziąć muszę
Do chrzestnego obrzędu świętego!...“

Przyszła czas jej... Tak!... zległa... na lato...
Juści, mówię, że brata wziąć muszę
Do kościoła... „A! pewnie!“ tak na to
Poluchniczka... „znać, w głowie masz prośbę,
Zamiast mózgu... Jaguchę pękata
Weź do pary!... idź, powiedz Jagusze!...

Idź!... kumoszko! jej powiedz!... Idź! kumie!
Powiedz bratu... Weź Jagnę pękata!...
Pewnie jeszcze „Walosik?...“ Rozumie
Głupi! chłopski!... a toć to za*ratą
Będzie dziecka, gdy w paniątek tłumie
Będzie w szkołach — a przecie jest na to!

Mówię tobie, o Boże mój święty!
To dla dziecka zatrata gdy w tłumie
Paniat gruchnie: „Walenty bez pięty!...“
„Ha! ha!“ szydzi Poluchna... „jak w szumie
Tak wciąż będzie pomiędzy panięty
Twój synalek... O chłopski rozumie!...

„Walek — chłopski synalek!...“ Mój Boże!
Tak wciąż szumi pomiędzy panięty...
„Co? Walochu! chcesz grochu? chcesz może?...
Walosiczek! grosiczek już ścięty!...
He? Walosik? chcesz cosik?...“ Niech złożę
W grób się raczej, ty głupcze przekłęty!...

Nie pozwolę na śmiechy... ha! w grobie
Raczej“, mówi Poluchna, „się złożę,
Niż tak synka własnego ozdobię...

Będzie Kaziol... Kaziunio!... We dworze
Jest też Kazio... Kaziunio... w osobie
Swojej własnej pan Kaźmierz!... mój Boże!..."

Tak!... wyciągnie Poluchna z pierzyny
To maleństwo: „pan Kaźmierz w osobie
Swojej własnej!” — powiada... „Jedyny!
Słodki!” mówi, „na honor i tobie”,
Mówi, „wyjdzie i dziecku, gdy chrzciny
Z ekumonom wyprawisz... Chudobie

Twojej będą”, powiada, „honory,
Będzie zaszczyt dla dziecka, gdy chrzciny
Też tak z pańska wyprawisz...” Na bory
Tak! na lasy tej samej godziny
Było wygnać oboje, psie twory!
Oną sukę z szczenięciami... Hm!... winy —

Mojej winy w tem niema... Na cztery
Było wygnać je wiatry, psie twory!...
Tak!... poszedłem do pana Mizery —
Juścić pany są takie rozpory —
I powiadam: „tak! panie, ze szczerzej
Niby prośby to słowo: dał chorój,

Mówię, Pan Bóg żoneczce co nieco —
Trzeba ochrzcić... więc mówię ze szczerzej
Niby prośby: tak! mówię, że lecą
Niby wiórki, gdy ostrze siekiery
Niby drzewa dopadnie; z kobiecą”,
Niby mówię do pana Mizery,

„Tak samiutko, powiadam, jest dolą —
Tak! jak z drzewem jest z dolą kobiecą:
Ledwie człowiek pomyśli, a z wolą
Juści bożą jest, mówię, co nieco,
Więc trza ochrzcić... Ha! kolki ją bolą,
By był chrzestny po temu... „Ze świecą”,

Tak powiada, „trza szukać chrzestnego” —
Anoć troszczy się o to, aż bolą
Kolki, mówię, Poluchnę, od tego,
Więc przyszedłem i proszę: mą solą
I mym chlebem nie gardźcie, mojego
Potrzymajcie wej! do chrztu... tak z wolą

Mojej żony upraszam...” Stało się:
Nie pogardził mym chlebem, mojego
Trzymał do chrztu — Kaziunia!... Walosie,
Walosiki nie u mnie!... „Niech strzegą
Zle cię duchy, braciszku, że w kłosie
Tyle, mówię, jest ziarna czarnego...

A kto winien!?...” Prześwietny urzędzie!
Niech go strzegą zle duchy, że w kłosie
Tyle murzu jest, mówię... Ta! będzie
I supasta, a wróble, jak w rosie,
Tak się kąpią w tem ziarnie... Hm! wszędzie
Powiadają: „stało się! stało się:

I brat starszy się żeni...” „A! bratku!
Wróble kąpią się w ziarnie, a wszędzie
Mówią, jako się żenisz?... Dostatku

Na dwie żony nie starczy... Tak będzie:
Twoja wygna Poluchnę... Niedźwiadku
Jadowity! jest prawda w tym względzie?"

Tak się niby go spytam... „Z chałupy
Obca wygna Poluchnę!... Niedźwiadku!“
Tak powiadam: „niech będą dwa trupy,
Nie dwie żony!... powiadam... Obiadku
Nie doczekasz, powiadam... Tak, z kupy
Pójść musimy!“ „Ba! idźże, idź, bratku!...

Ja zostanę na śmieciach... mam prawo...“
„Tak!“ powiadam, „musimy pójść z kupy!...
Jakoś starszy, więc mówisz plugawą
Oną gębą, że wyjdę z chałupy,
Że ja wyjdę?... W godzinę patrz! krwawą
Powiedziałeś te słowa!...“ Ha! trupy!

Trupy, widzę, mnie gonią!... oj!... gonią!...
Widzę, jeden na czole ma krwawą,
Czarną plamę... to brał mój!... z tą skronią!...
A ten drugi... to ojciec!... Legawą
Gońcie sukę... Poluchnę!... Aż dzwonią
One kłosy, gdy pędzą t ławą —

Ławą żyta... O Boże!... o Panie!...
Gońcie sukę!... Poluchnę... niech dzwonią!
One żyta zmarniały!... Na śłanie
Nawet słomy nie będzie... Ha! koniom
Na osypkę nie starczy... Szatanie!
Bracie! goń ją!... Jak gonią! jak gonią!...“

Tak-ci, mówię, w tem polu szerokim
Jęczy młodszy, ten żebrak... „Szatanie!
Bracie! goń ją“, tak woła z tem okiem,
Jako szczerki czerwonom, w łachmanie
I z kosturem, a deszczu potokiem
Tłumi burza to straszne wołanie...

Anoć gorzkie spotkały go losy:
Stracił wszystko, a deszczu potokiem
Tłumi burza szalone te głosy,
Które z piersi wyrzuca... Widokiem
Tego żyta, co obce już kosy
Ścinać będą hej! roczek za rokiem,

Truje rozum i serce swe truje —
Tego żyta widokiem, co kosy
Hej! ścinają już obce... Nie czuje
Nawet, mówię, że żyw jest, że rosy
Nagie stopy mu myją, że pluje
Mu szaruga w te oczy... O losy!...

IX. SALUSIA ORCZYKÓWNA

(Opowiadanie poznańskiego chłopca)

I.

"... Salusię
Orczykównę pamiętasz?... jedyną
Mikołaja, włodara, córusię?...
Owoć małą to było dziewczyną
Za twych czasów, a tu lata płyną,
Więc też pewnie wyszła ci już z głowy?
Tak! nieszczęsną wróciłeś godziną:
Źle się u nas dziś święci; niezdrowy
Wiatr wieje... ach! a ona! co za los surowy!..."

I roztoczy opowieść przedemną,
Gdym go badać rozpoczął, ciekawy;
Lecz opowieść tak smutną i ciemną,
Jak strop niebios, gdy ranek go mgławcy
Zamknie w uścisk obłoków, że łzawy,
Snać o jasnym zwątpiłeś błękitcie,
Snać już w promień nie wierzysz złotawy —
Ach! opowieść tak smutną, jak życie,
Jak chłopskie, polskie życie, lśniące w łzach obficie.

Lecz nim treść wam i słowa powtórzę,
Ile w mojej uwięzły pamięci,
Pewno wam się, tak myślę, przysłużę
I po waszej uczynię to chęci,

Gdy was poznam z człowiekiem — wszak nęci
Każda nowa znajomość, — co z swoim
Przełał sercem zapach sianożęci,
Połączony z łzą, potem i znojem,
W tę pieśń, co jest boleścią i strasznym przebojem...

Mój przyjaciel, Walkowiak Ignacy,
Dawny sąsiad rodzinnej zagrody,
Dokąd często zachodził po pracy,
By poskarżyć się z ojcem na chłody,
Na przednówki, na braki pogody,
Lub pogadać o wojnie, co w świecie
Krew przelewa, nakształt taniej wody,
Był człowiekiem, jak wszyscy — ot, wiecie,
Jak wszyscy, których bieda niezbyt czule gniecie.

Młodym nie był, choć trudno powiedzieć,
By przedwczesna go starość trapiła;
Zawsze żywy, nie umiał dosiedzieć,
W ruch go wieczny gnała jakaś siła;
Gdyś nań patrzył, myślałeś: mogiła
Chyba mu się nie rozewrze żadna,
Chyba w łód mu nie zetnie się żyła;
Śmierci praca nie będzie tu snadna,
Jeżeli się nie skradnie, tak, jak złodziej, zdradna.

Ślad niedoli czuleś tylko w głosie,
Drżącym, smętnym, i w łzawej zrenicy,
Promieniejącej, jak ów modrak w rosie,
Który wyrósł w pośrodku pszenicy;
Lub płonęła, jak płomyk w gromnicy,
Co w bładawie rozptywa się żary

Obok zwłoków, w żałobnej izbicy,
I migoce, gdy powiew, przez szpary
Wcisnąwszy się do chaty, złoży się na mary...

Był więc człowiek, jak wszyscy, choć może
Nad wieloma miał pewne zalety:
Na niejedno poskładał się łoże
I niejednej doznawał podniety;
Lubił zajrzeć do książki, gazety,
Grosz niejeden sam na to poświęcał;
Na weselu lub chrzcinach do fety
I wesolej uciechy zachęcał
I sianem się, o pomoc gdy szło, nie wykręcał.

Gdy był dzieckiem, marzyli ojcowie,
Jakby z niego uczynić księżula;
Wszak to w chłopskim już leży narowie,
Że ksiądz nawet godniejszy od króla.
Ale Ignas, jak hula, tak hula:
Za pazuchą z półłokciem kielbasy,
Którą wciska mu dobra matula,
Miał do szkoły — na łąki i lasy,
Motyle goni barwne i splasza bekasy.

Godzinami przyglądał się w mleczce
I w te jaskry, co po ścieżkach rosną;
Patrzał w strumień, co cicho tak ciecze
I tak szemrze, śnać piosnkę żalosną...
Słuchał żyta, co, nim kłosy posną,
Pobielale i ścięte na wieki,
Gwarzy z słońcem, z błękitem i wiosną —

Hej! zapewne, że czas niedaleki,
Gdzie ziarno mu wysuszą bezlitośne spieki.

Zimą, w wieczór, siadał na przypiecku,
Oko wieszał na wargach habusi,
Kiedy stara opowiada dziecku
O tej zmurze, która chłopów dusi,
O tym dawnym dziedzicu, co kusi,
Co nie znalazł za krew ludu ciszy
Poza grobem i błakać się musi,
Aż lud biedny żał jego usłyszy,
Przebacz mu, choć przezeń we łzach ledwie dyszy...

Kiedy podrósł — a któżby go ganił?
Prosty, krzepki był, jak dębczak w lesie, —
Jeździł z ojcem; ojczyisko furmanił:
Nie myślano jeszcze o tym biesie,
O tej czerni, co dziś cię poniesie
Mil na dobę sto, parą skrzydłata...
Był w Frankfurcie i Lipsku na mesie,
Widział ludzi i kawalek świata —
Dziś jeszcze nieraz myślą w te czasy ulata...

Kilka morgów mu ojciec zostawił,
Kilku pracą uczciwą się dobił,
Chociaż ręce dorobek mu krwawił,
Choć mu kłopot w czole bruzdy żłobił,
Nie uważał na trudy i robił...
„Starość“, myślał, „przychodzi jak z płatką,
Żleś ją przyjął, gdyś nie przysposobił
Trochę grosza — ludzka pomoc rzadka:
Opierać się na sobie trza aż do ostatka.

I o dzieciach pamiętać potrzeba —
Zonę pojął z wioszczyny sąsiedniej;
„Daleś życie, daj i kawał chleba;
Szczęście dzieci — to kłopot jest przedni,
Już to ptak jest“, rozumiał, „pośledni,
Który jajka składa w gniazdo cudze;
My swych pikłat nie rzucim, choć biedni“,
Rzekł do Jagny, „by w obcej wysłudze
Marniały, chyba na śmierć przed czasem się strudzę“.

Śmierć nie przyszła, lecz Jagna spoczywa
Dawno, dawno, pod wierzbą, co płacze,
Gdy jej liście wiatr dżdżysty obrywa
I gotuje im losy tulące...
On się w długie nie wdawał rozpacze,
Jęknął głucho, lżę otarł sukmaną —
„Nie ma plemię“, tak mówił, „prostacze
Nawet, czasu, by nad ukochaną
Wyplakać się do syta lżą, z duszy wylaną“.

I na pole szedł prosto z pogrzebu,
Zerwał kłosek i ważył go w ręce,
I, żrenicę podniósłszy ku niebu,
Rychło serce utopić w podzięce:
„Panie! w szczęściu tyś widny i w męce —
Więc pozdrawiam za ciężkie cię kłosy
I za czarną tę boleść cię święcę;
Człowiek płacze i żyto się w rosy
Załzawia, skoro tego zapragną niebiosy...“

I znów pracy oburącz się chwyci,
Z krnąbrną biedą na nowo się porze;

Rzuca werko, nim dzień się rozświeci,
Nim się krwawe rozplomienia zorze...
Chude szkapsko do pluga — i orze,
Płachtę z ziarnem na szyję — i sieje...
Codzień patrzy, jak rośnie mu zboże,
Codzień większe mu rosną nadzieje —
Po zimie przyjdą żniwa... jak się dusza śmieje!...

Dzisiaj schedę przekazał na syna,
Pomagając w podwórku, to w roli,
Lub do córki — córunia jedyna
O granicę się z swoim biedoli —
Pomknie czasem, gdy czas mu pozwoli:
Z dziećmi umie wyżyć bez poswarku,
Pieści wnuki aż go w piersiach boli,
A wnuczęta głaszczą go po karku:
„Dziadusiu, jutro jarmark; co nam dasz z jarmarku?“

Ludzie mają starego w poszanie,
Jak on, nikt tak z pomocą nie skory;
Czy się jaki przypadek gdzie stanie,
Wzdmie się bydlak, czy w wiosce kto chory,
„Mądry Ignac“ do izby, obory
Z rozchodnikiem lub kwieciem lipowem —
Miał tych leków zawsze całe wory —
„Mądry Ignac“, mówiąc jednym słowem,
Był końcem i początkiem w tem życiu wioskowem...

II.

„Chcesz, posłuchaj... Ale może wódki
Kieliszek?... Daj-no butelczynę,

Jędrus, z szafki!... Tak, trochę na smutki,
Tak, na troskę, na czarną godzinę!...
Więc po latach nareszcie w gościnę
Do starego przyszedłeś zagrody;
Czas przemienił i naszą wioszczynę —
Z nim nie żarty... No, włóczęgo młody,
Na zdrowie!... mało warta, choć lepsza od wody..."

I w źrenice mi spojrzysz z uśmiechem
I pogładzi mnie ręką po skroni!
„Toć to wypić pewnie nie jest grzechem“ —
I kieliszkiem w kieliszek zadzwoni,
Że aż kilka kropelek uroni —
„Człowiek darmo chce udawać zucha;
Młodość znika, nie dognasz w sto koni,
Jak wiatr jaki, tak przed tobą dmucha:
By trochę się orzeźwić, dobrać jest siwucha...

W dzień Szkaplerznej słyszałem z ambony,
Gdym był w Sielcu na wielkim odpuszcie,
Że wynalazł ją anioł strącony
I rozpala nią piekła czeluście,
Że trza wołać: „szatany! nie kuście!“
Gdy się taka przybliży ponęta...
On, jegomość, wyglądał coś tłuscie,
Pewnie wino... Ale rzecz to święta...
Ja myślę, że kropelki Bóg nie zapomina.

Dawniej widzisz, za jedną kwaterkę
Oddawali prawie zagon cały;
Mosiek rad się zadawał w szacherkę,
Bo też robił interes nie mały...

Jeszcze kłosa w polu nie dojrzały,
A chłopisko już wewnątrz rozgrzewa,
Wszystko na pniu sprzedaje, niedbały;
Patrz! ten folwark, schowany za drzewa,
Do dzisiaj jeszcze nosi miano Przepijewa...

Kiedy była separacja, pomnę,
Gdy się do was zjechali z urzędu
Jakieś draby-ci szwabskie, ogromne,
Że człek prawie dostawał oblędu;
Kiedy nosy, pełne psiego swędu,
Jęli wtykać, wiesz, w nieswoje rzeczy,
To-ci wszystko drżało z tego względu,
Wszystko „czystą“ od strachu się leczy,
Że kręcił się, jak owce, ten naród człowieczy.

Chłopy w kąty do stajen, obórek,
Albo w pole, by schować się w stogi,
Jakby Szwed się pojawił lub Turek;
Tylko baby, pijane niebogi,
Jak nie schwycą za miotły, ożogi,
Jak nie wrzasną: „A won tu, psiawiary!“
Tak-ci Niemcy kiert zaraz i w nogi,
Aż za nimi kurz się podniósł szary —
Uciekli, jak mówili, przed smrodem opary...

Bo i przyznaj, z tych wszystkich nowości
Nawet psu byś budy nie postawił,
Człek się dzisiaj już wprawdzie nie złości,
Jak ten finek, tak się oblaskawił,
Ale czy nas ten podział wybawił?
Jakie dał nam ten wymiar dobroć?

Jeszcze nikt się w rozkoszy nie pławił,
Jeszcze nikt się nie zanurzył w złocie:
Dał szczęście, że się człowiek może kąpać — w pocie.

Toć i dawniej, ile człowiek baczy,
Nie bywało zbyt lepiej na świecie,
Ale zawsze-ć tak jakoś inaczej —
Tak na sercu, chociaż kłopot gniecie,
Lżej po trochu!... Pamiętam, gdy w lecie
Pastuch gminny tak zadał na trąbie,
To najmniejsze cieszyło się dziecię,
To-ci całe jęło gwizdać Dąbie,
Jak ptactwo, wej! w tym lesie, który szwab dziś rąbie.

Albo jak też to było, gdy człowiek
Pognał szkapska na wspólne pastwiska!
Przez noc całą nie zmrużył powiek;
W trawie leżał — dziś i trawa niska,
Tak nie rośnie, jak przedtem... Koniska
Szły, gdzie chciały; nikt nie znał granicy —
A tyś patrzył w to niebo, co błyska
Gwiazdeczkami, jak światło w kaplicy,
Lub żytaś słuchał szumu i ciężkiej pszenicy...

Powiadają, że gwiazdy, to dusze,
Które Pan Bóg na niebie umieścił;
Ja-ć tem głowę sobie dawno suszę,
Ale prawdy niktby nie obwieścił —
Mniejsza o to! Gdy lan tak szeleścił,
Toś pomyślał, że po życie brodzą
Owe dusze, co pewnie wypieścił,

Sam je Stwórca, że taki blask rodzą —
Człek słuchał, choć mu ciarki po skórze przechodzą.

Zwłaszcza ojciec Salusin — nie służył
Wtedy jeszcze pod panem: w dostatki
Jakie takie dom rodziców plużył —
Jak z rękawa ciągle sypał gadki;
Zawsze mówił, że miał je od matki,
A matusia — któżby to wybadał?
Dziś już prawie taki bazarz rzadki:
O tych duchach, co kuszą, powiadał,
O starym tym kościele, co się gdzieś zapadał.

Były-ć bagna, to prawda!... Przed laty
Mnie samemu w mule bydlak zginął,
Tak, pamiętam, cielaczek pstrokaty...
Rzeźnik, mówię, żaden nie ominął
Mej obórki, żeby nie rozwinął
Kilku srebrnych z węzelka talarów...
Człek żałował... Gdy łódką podpłynął,
Aby straty poszukać, w ten parów,
Zapomniał, gdy zawrzało ptactwo wśród moczarów.

Tak coś w wnętrzu mierziło, gdy wiosną
Szliśmy nieraz na łąki po jajka —
Wiesz, po czajce: tam sitowia rosną,
Tam strzepoce się kaczką lub czajką
Coś cię woła — powiesz, że to bajka,
Lecz i ptaki do ludzi gadają: —
„lii-gnaśśś...“ Macierz Mikołajka
To mawiała, że i ptaki mają
Swą duszę, którą czasem djabły opętają...

Ale ja-ci w to nigdy nie wierzę:
Czyż podobna, powiedz, jak Bóg żywy,
By pod takie jedwabniste pierze
Miał ukrywać stwór się niegodziwy?
Przecież człowiek czuje się szczęśliwy
Patrząc na to miłuchne stworzenie...
Jak to w głos odezwie się jęklivy,
Jak zaśpiewa, to aż słodkie drżenie
Przejmuje wszystkie kości — aż się gną golenie...

Tak! to szatan opętał dziś ludzi,
Duszę kupił za marną mamonę;
Ledwie człowiek ze snu się przebudzi,
Już pigułki gotują mu słone:
Ten-ci przyjdzie i wrzeszczy, że one,
Niby gęsi, polazły mu w szkodę,
Ów-ci znowu nasyła mi żonę,
A ta szczeka, że pod jej zagrodę
Podeszło moje krówsko... Bij grom w taką modę!...

Człek gdzie stąpnąć dalibóg! dziś nie wie,
Żeby czasem nie zgiąć cudzej trawki;
Choćby w gardle piekło cię zarzewie,
Pić strach prawie z sąsiedzkiej sadzawki;
Wszyscy dzisiaj — to jakby pijawki,
Co chłęptliwie ssają krew czerwoną;
Jako kruki, jak te czarne kawkę,
Gdy obsiedą mierzwę porzuconą,
Tak wszyscy dziś ohydą mają pełne łono.

Do chałupy nie wchodzi bogactwo,
Choć się każdy do koszuli poci;

Choć z wądolców wygnali już ptactwo,
Choć na murszach pszenica się złoci,
Nikt tak jakoś nie dojdzie do kroci...
Postawili cukrownię — niech kaci!
Wnet cukrownia wszystkich ogoloci;
Sadzą ćwikłę, chłop na ćwikłę traci,
Mozołem się i trudem obcy parch bogaci.

Bo ci z naszych — to pozał się Boże!
Jakby jakieś się lichy uwzięło...
Ani to się wygrzebać nie może,
Tak po uszy w bagnisku zabrnęło...
Jak te kłosy, które złe podcięło,
Tak marnieją te nasze szlachciury!
Żeby-ć jeszcze to samo ginęło,
Ale to-ci, jak liście wichury,
Rzucają tak na pastwę dziś i chłopskie skóry,

Pewnieś czytał, że i dwór dąbiecki
Meklebury czy pomry zabrali —
Słyszysz? słyszysz?... szczeka pies niemiecki,
Znają go tu i wiecy i mali:
Stąd-ci wszystko, co dawne, wygnali,
Nawet psiarnię; „bo to polska psiarnia“,
Tak te mądre przybysze gadali;
I na ludzi stąd przyszła męczarnia:
Rozpierzchli się po świecie, że aż strach ogarnia.

A kto winien? djabli to tam wiedzą!
Boże, przebac, że tak język bluźni,
Lecz człek w dreszczach, jak zając pod miedzą,
Więc i z dobrem słowem się opóźni.

Kiedy język ci się raz rozluźni,
To jak młyńskie kamienie tak warczy,
Albo kuje, jak ten kowal w kuźni,
Nie uważa już na nic — nie starczy
I pacierz, gdy bluźnierstwo raz duszę obarczy.

Stary dziedzic — pamiętasz go jeszcze?
Miał, gadali, złota pełne skrzynki:
Dąbie, Wióry, Zaborze i Leszcze,
Dawniej nawet Zagaj i Wycinki —
Wszystko jego... zboże szło na rynki,
A on jeździł... któżby wiedział czemu?,
Ekonomy to-ci czyste młynki
Wyprawiali harapem: polskiemu
To chłopu nie nowina, więc ulegał złemu.

Miał w Paryżu koni całe stada;
Wiesz, ten Szymek, co to był stajennym,
To-ci o tem dziwy opowiada:
Arabczyki pono chlebem pszennym
Kazał żywić... Że był bardzo zmiennym,
Że się kochał w różnicach, to żłoby,
Zamiast zwykłym napojem codziennym,
Kazał winem napelniać... Sposoby
Niejedne już to mają takie psie-wątroby.

A koryta to-ci miał z marmuru,
A błyszczały, jak samo południe:
„Te filary u farnego chóru“,
Mówi Szymek, „choć je nieraz żmudnie
Czyszczą dziady, nie patrzą tak schludnie;“
A przy żłobach to-ci — czysta pycha —

Były pono takie żywe studnie,
W których woda nigdy nie wysycha,
Lecz strzela sama w górę z dziobu lub kielicha...

On też pono czas przesiedział w stajni,
Gdy go ciągle zmęczyła wędrownica;
Takie pany zawsze niezwyczajni,
By pracować, tak jak w polu mrówka,
Albo chłopstwo... Cedził jakieś słówka,
Lub papierkiem zapalał cygara —
Mówił Szymek, że stutalarówka
Nieraz poszła tak z dymem... Dyc, para,
Nie więcej dukat u nich... nam bo grosz ofiara!...

Dziwowali się temu Francuzi,
Gdy, powiada ten Szymek, przybędą
Grzbiet poklepać „Nastusi“ lub „Józi“;
Bo wiesz, pany, to świętym obrzędem
Urągając, nim szkapska dosiędą —
Ledwie im się upłęgnie, wprzód dadzą,
Jakby na chrzcie, mu imię... Łatędom
Na uciechę puszczał pieniądź z sadzą,
A ci „bon! bon, musyje!“ mówi Szymek, radzą.

Ano mógł tak, bo ponoć miał na to,
Powiadali ludziska wokoło...
Lecz gdy przyszło jedno, drugie lato,
Coś w dąbieckim dworze nie wesoło —
Sam komisarz schylił łyse czoło,
Choć je zawsze przedtem nosił butnie...
Przyszły żydki... zrobiło się goło

W okolicy... Las, jak człowiek, smutnie
Zajęczał, kiedy drzewo żyd toporem utnie.

Szwab dziś resztki, patrzaj, wyrębuje...
Człowiekowi to-ci serce pęka,
To-ci w sobie prawie krwi nie czuje,
Kiedy słyszy, jak ten bór tak stęka...
Wiesz... przekłeta niech będzie ta ręka,
Która pierwszą podcięła dębinę,
Wiesz, tak na nic!... Niech piekielna męka
Marnotrawcę pochłonie... niech sine
Morówki, wiesz, rozniosą taką psią gadzinę!

Jak to było-ci dawniej, mój Chryste!
Kędyś spojrzal, to się las zielenił:
Sosny, graby i brzozy srebrzyste!
Tu się w słońcu jarząbek rumienił,
Tam cię wierzchem swoim dąb ocenił,
Gdyś tak kości, od pracy ulomne,
Kładł na miedzy... Bór się tak przestrzenił,
Jakby Gopło zielone ogromne,
Dziś drzewa nie znajdziesz nawet i na tromnę.

To-ci dawniej, kiedym był chłopakiem,
Po chruście do lasu pędziłem:
Dziś paliwem zbądz się ładajakiem,
Dziś torfiskiem palisz napółzgniłem...
Nieraz smagnął, że aż się spociłem,
Pan borowy swym skórzanym miechem,
I ksiądz złajał kazaniem niemiłem,
Ale człowiek uciekał z pośpiechem
I myślał, że co zerwał wiatr — to wziąć nie grzechem.

Ba, jegomość, kiedy w dzień odpustu
Poszła matka na spowiedź, to starój,
Wiesz, do dworu za naręcze chrustu
Kazał zanieść aż cztery talary,
Żeby tamtej niby umknąć kary.
Nie oddała... bo skądże brać tyle,
Tak się gryzła, aż poszła na mary;
I dopiero w swą ostatnią chwilę
Zaklęła mnie, bym oddał, na spokój w mogile,

Jam-ci odniósł... Bo cóż było czynić?
Choć żal było grosiwa serdeczny,
Że tak za nic!... Czyliż miał mnie winić
Duch nieboszczki, że spokój mu wieczny
Odebrałem?... Dziś i ksiądz bezpieczny
Leży sobie w czterech ścianach dolka
I na wyrok czeka ostateczny —
Pod lipiną, wiesz, wedle kościołka,
A grosz mój z wszystkim innem poszedł w ręce Wolka.

Bo gdy zaczną raz zlatywać listki,
To tak rwią się, aż wszystkie opadną;
Naprzód bory wzięły podle chłystki —
Takie juchy to-ci łącno zgadną,
Skąd zaczynać, by mieć pracę snadną,
Potem folwark poszedł za folwarkiem;
Zatrzymano tylko Dąbie, ładną
Zawszeć wioskę, ustrojoną parkiem,
Z pszenicą tak, jak złoto i ze żytem jarkiem.

A pan jeździł... Dopiero na końcu,
Kiedy umarł, to na dawne smugi

Sprowadzili jego zwłoki... W słońcu
To od srebra aż kapaly cugi,
Gdy był pogrzeb... Pamiętam ten długi
Szereg księży, to światło gromniczne,
Tromnę, konie te w czerni i sługi
I to chłopstwo, niby mak rozliczne —
Żegnały-ć pono wszystkich pany okoliczne...

Wyprawili wielkie egzekwije;
A nad grobem miał nasz ksiądz kazanie;
Tak-ci gadał, że wej! już nie żyje
Dobroczyńca; że za tysiąc stanie
Taki człowiek pobożny, aż panie
Wszystkie w ryki, chłopcy bo jak chłopcy...
Że dla ludu był, jak plastr na ranie,
A że nie szedł z pomocą w te tropy,
To czasy, mówił, winne, co są, jak roztopy.

Też-ci dalej powiadał, że czasy
Winne temu, gdy ziemi kawałka
Pan utrzymać nie może, gdy lasy
Tak, jak ludzie, padają; że całka
Boża wola w tem wszystkim. „To gałka
Taka losów“ — pamiętam wyrazy —
„Nam przypadła“, powiedział, „Pyszałka,
Co się Bogu sprzeciwia, jak płazy
Bóg zdepce! On bo pańskie wypełniał rozkazy.

Więc też Pan Bóg go przyjmie do siebie“,
Mówił proboszcz... Z księdzem nie ma spierki,
Ale gdy-ci, tak prawil, na niebie
To się naraz, kiej te czarne derki,

Pokazały chmurzyska, a świerki
Aż trzeszczały, zerwał wiatr się taki...
Pewnie niema w tem prawdy iskierki,
Ale starzy to mówią: „złe znaki,
Po duszę przylatuje kusy ladażaki...“

Były też tam — człek to się aż wstydzi,
By pomyśleć o tej rozgardyji,
Cóż dopiero, kiedy sam to widzi?! —
Jakieś panny, pewnie warte kiji,
Choć-ci w złotych łańcuchach na szyi
I w jedwabiach, aż się w oczach émiło...
Powiadali, że aż z Wenecyi
Czy tam skądśiś to lichu przybyło —
Wiedzialem, dziś się w głowie już mi pomyliło...

Miały pono mieć tam coś z teatrem;
Pany zawsze-ć dziwowiska lubią;
To-ci pędzą, jak podszyte wiatrem,
Na kraj świata, krwawy pieniądz gubią;
O aktorki to się nieraz czubią,
To się nawet strzelają, powiada
Wojtek Szczerba, ten lokaj... Niech skubią
Swoją skórę, gdy chcą — trudna rada,
Lecz grosz marnować polski, pewnie nie wypada.

Owe-ć panny, to aż były strachy,
Jak-ci wrzeszczeć, łamać rąk nie zaczęła,
Targać włosy, drzeć na sobie łąchy,
Wygadywać swą mową dziwaczną...
Człek to widział jeno rzecz rozpaczną,
Lecz Kociński, dzierzawca Zakrętu,

Co to młodość miał, powiada, znaczną,
Z Galibardym spalił Rzym do szczętu,
Tłumaczył, że to wszystko gwoli testamentu.

My patrzali, a tu one-ć damy
Pokazują jedwabie i złota;
„Wej! wej! wszystko to od niego mamy,
To sprawiła nam jego szczodrota!“ —
„Hańba wielka taka psia robota“
Rzekł Kociński, gdy to nam tłumaczył;
Jedna nawet, obrzednia niecnota,
To krzyczała: „on-cię o mnie baczył,
We winie mnie wej kapal, marcypanem raczył“.

A zaś inna, to-ci istna zgroza!
Prowadziła dwoje niebożątek
I biadała, idąc wedle woza,
Że to jego i że ma pamiątek
Dość po grafie na dowód... „Początek
Komedyj, które będą grane“,
Rzekł dzierżawca... My w oczy dzieciątek
Z ciekawości zajrzeli — podane
Na grafa tak, jak deszczu krople wykapanie.

Ponoć zrazu odegnać je chcieli —
Gwoli takiej sromoty zapewne,
Ale potem się na rozum wzięli
I mówili, że to jakieś krewne
Z obcych krajów i że łyż to rzewne
Niby cieką — tak serce się żali;
„Chłopy“, mówi Zakręcki, „naśmiewne,

Lecz w tem głupie; szlachta-ć się dobrali —
Parlują to, lecz takiej mowy nie zaznali...“

„A zaś grafy“, tłumaczył Kociński,
To się nigdy nie zdradzą; umieją
Skryć interes jak najbardziej świński...“
Stara pani — różnie-ć o niej pieją,
Że to niby z doktorem... z Kurzeją
Nawet pono-ć, wiesz, co był pisarzem —
Miała je tam pocieszać nadzieją;
Coś je nawet wzięła za cmentarzem
W uściski i powiozła własnym ekwipażem...

Wszystko-ć niby tak z przyzwitości,
Żeby ludziom pozamydlać oczy.
A ludziska, jak zwyczajnie prości:
Siak i owak: ten i ów się boczy,
Że to niby jest hańba; tym mroczy,
Powiadają, się w ślepiach; namolną
Tamci mają znów troskę... Potoczy
Ten i ów się do karczmy, wygolną
Wódczyska i poszepną: „tsia! tym wszystko wolno...“

Alem ci też nagadał... Mój Boże!...
Toć przebacysz... Dusza też jest rada,
Gdy się trochę tak wywnętrzyć może...
Bo to teraz ni-ci do sąsiada;
Wszystko w pracy, wszystko prawie pada
Od mozołu, więc też niema głowy
Do gawędki... Ale ty — powiada
Mój-ci Jędruch, jako z tobą krowy
Wyganiał rad na pole — posłuchasz rozmowy“.

I coś mu się żrenica załzawi,
Jako w rosie to modraku kwiecie;
Ale Jędrus: „Co też tatuś prawi?...“
„No, mój synu, nie szkodzi... Toć przecie
On się tego nie wstydzi... Na świecie
Wprawdzie dzisiaj sukmana w ohydzie,
Ale-ć, mówią, różnie to się plecie —
Może jeszcze taka chwila przyjdzie,
Że chłopą też uznają, chociaż dziś jest w biédzie...”

Ucisnąłem za rękę starego:
„Bóg wam zapłać za takie mniemanie...
A jak będzie z Salusią?...“ „Ta!... tego...
Hm!... z Salusią?... poczekaj, mospanie...
Cierpliwości, a wszystko się stanie...
Może jeszcze kieliszek?... tak, żdziebko...
Daj nam Boże zdrowie i wytrwanie
W tej niedoli!... Ledwie się z kolebką
Rozłączy człek, już w trudach!... No, jak? dosyć
krzepką?...“

III.

„Ano, widzisz, z Salusią tak było:
Jak-ci Niemcy i Dąbie zabrali,
Tak się w dworze wszystko przemieniło —
Mikołaja z innymi wygnali,
I Mikołaj — niech go Bóg ocali,
Niech tę hańbę i smutek przeżyje!...
Przyszedł do mnie w komorne... Nie dali
My, by poszedł w świat, choć człek się bije
Sam z biedą, która chwyta, tak jak wąż, za szyję.

Muszę tylko znówu od początku
Opowiedzieć, jak się wszystko stało,
Że przybysze weszli do majątku
Dąbieckiego; że dziś już wypsiało
Dawne plemie; że fortunę całą
Zagarnęli do ostatniej skiby
Tak! tak! obcy, nie swoi!... Bolało
To człowieka, mówię bez ochyby —
Tak, jakby kto skuł serce, wiesz, w żelazne dyby...

W czasie śmierci starego dziedzica
Młody panicz był-ci jeszcze w szkołach,
Ale wrócił... cała okolica
To prawila o wielkich mozołach,
Które przeszedł gdzieś w świecie... Na kotach
Pono jeździł bez konia; był sprytny,
Że aż straszno, mówili: w stodolach
Pewnie pustek nie będzie... Zaszczytny
To zawsze znak, gdy pan jest skrzętny i obytny.

On też, prawda, tak jak mógł się kręcił;
Grosze ściskał, po świecie nie pływał,
Jak ów ojciec nieboszyk, co święcił
Przez rok cały niedzielę... Wyzywał
Takich wiatrem podszytych; obywał,
Powiadali, nawet się bez wina —
To jest czasem... Sam też nawolywał,
By oszczędzać, bo mówił „godzina
Jest taka, że nam krew się w zimny lód aż ścina“.

I miał prawdę... Bo jak świat ten stoi,
Jak najstarsi zasłyszeli ludzie

Od swych ojców, co to siła znoi
Też zaznali, co w niejednym trudzie
Gięli plecy i, niż pies ten w budzie,
Żyli gorzej, takich czasów jeszcze,
Jak dzisiejsze, nie było... O cudzie!
Że to wszystko w tej głowie pomieszczyć,
Że czeka nie dobija te okropne dreszcze...

Ledwie temu-ć minęły trzy lata,
Tak się działy u nas straszne sprawy:
Pomnisz, była tutaj za wsią chata,
Co to miał ją Ratajczyk, kulawy —
Wiesz, na nogę utykał... z dzierzawy
Jakieś przyszedł tu do nas; grosiwa
Miał po trochu i był człowiek prawy —
Tak niczego, więc nie żadne dziwa,
Że gwiazda mu na niebie świeciła szczęśliwa.

Aż tu naraz — człekby nie zwierzył,
Lecz sam patrzył na takie zgorzenie —
Przyszedł rozkaz, jakby grom uderzył,
By tak na psa puścił krwawe mienie;
Bo, mówili, jego pokolenie
Niby nie stąd, jeno z tamtej strony,
A dziś takie przyszło obwieszczenie.
Że gdy człowiek nie jest tu zrodzony,
To fora z nim! i na nic prośby i pokłony!

On żandarmy całował po rękach,
Ale wszystko, mówię ci, daremnie;
Płakał, jęczał, że w tych strasznych jękach
Pewnie skończy, myślałem; że we mnie,

Choć to człowiek jest twardy, najemnie,
Wiesz, tak płakać nie umie, tu w duszy
Wszystkie lzy się zebrały i ciemnie
Jakieś migną mi w oczach, a uszy
To istny huk maszyny, zdało się, zagłuszy...

Wtem za małą-ci chwilę kobiecko
Wylatuje jakoś z za chałupy
I tak krzyczy: „o mój chłop!... me dziecko!...
Moje skarby!... trupy!... trupy!... trupy!...
My zdrętwieli, jak kamienne słupy.
Potem poszli tak za nią: w stodole,
Kolo żyta wymłóconej kopy
Leżał synek, zczerniały na czole,
A ojciec tuż u belki... Ach, zamilczeć wolę!...

Bo to, widzisz, jak człek się przywiąże
Do haciska i kawała ziemi,
Toby nie dał, choćby jaki książe —
Choćby przyszedł z urzędy wszystkimi
I chciał płacić dukaty złotemi
Sam król jasny... Chłop jest twardej szyi,
Kiedy idzie o zagon; obiemu
Ściska dłońmi, tak, jak pierścień żmiji,
A gdy mu wydrą gwałtem, kończy z mankoliji.

Pewnie myślisz, że mieli choć litość
Nad tą wdową?... O, zachowaj Boże!
U takowych dziwna jest obytość;
Tam o sercu mowy być nie może:
Choćby komu w brzuch wpychano noże,
To-ci takich nie obleci głazów;

W świat pędzili, choć był deszcz na dworze,
Że najlichszych żalowałeś płazów;
Lecz cóż tu człowiek znaczy wobec ich rozkazów?...

Powiadali, że gdzieś w drodze zległa,
Tak przed czasem, z rozpaczny nadmiernej;
Utrapienia-ć ci się nie ustrzegła,
Bo i jakże, Ojczy miłosierny!
Było strzedz się?... Ból to jastrząb żerny,
Co się rzuca z nienacka i dziobem
W kark gołębia się wpija... Niewierny
Jest to czas ten, co takim sposobem
Tysiące, powiadali, stawil ponad grobem.

Dziś z chudoży niema ani znaku,
Nowy dziedzic dąbieckiego dworu
Grunť zakupil i do swego szlaku —
Wiesz, na prawo, zaraz wedle boru
Miał Ratajczyk swą schedę — bez sporu,
Za psi pieniąż przyłączył, a gomna
Dał rozebrać... Niech nas, jak od moru,
Od takiego czasu, co niż tromna
Straszniejszy, chroni, Ojczy, dłoń twoja niezłomna.

Do mnie też-ci zwały się posły
I tak zaraz: „Puście, stary kumie,
Te wydmuchy, dach ten mchem porosły,
Nasz pan dobrze becalen rozumie,
Będzie gieszeft...” Ja zaś: „mój-ci, Blumie” —
Tak jednemu zaraz powiem na to —
„Idźcie szukać kumstwa w zarcim tłumie;

Mech czy nie mech! wy — precz z swą zapłatą,
Zostawcie mnie z wydmuchem i z omszałą chatą...”

Bo i powiedz, czyż to jest uczciwie,
Tak dla zysku oddać kąty święte?
Na kominku zagasić żarzewie,
Od pradziadów aż dotąd nietknięte,
Że tam jakieś przybłędy napięte
Mają na to swe chęci i myśli?
Pewnie będą te syny przekłęte,
Co tak lekko z ojcowizny wysli —
W swą księgę pewnie zły już ich nazwiska kręśli...

Mnieby serce krajało się w rany,
Mnieby ścięgna zeszytniały w ciele,
Gdybym miał tak porzucić te ściany,
Gdzie niejedno przeżyłem wesele
A i smutek niejednen. W tem siele,
Tu, gdzie człowiek pierwsze ujrzal chwile,
Tu, gdzie sadził rozchodniku ziele
Na swych dziadów i żony mogile,
Położę słabe kości i tu spoczne mile...

Ale byłem też ciekaw, co powie
Mój wyrostek na podobne rzeczy;
Zawsze-ć lepiej, pomyślałem w głowie,
Że się dusza jakoś ubezpieczy,
Bo tak wzięwszy na rozum człowieczy,
To-ci nieraz od jabłoni zdala
Pada owoc, pełen zgnilej cieczy,
Więc go wołam: „Jędrus! od Bergtala
Był Blum tu, kupić schedę i gieszeft zachwala”.

A tu chłopiec spojrz na mnie łzawie —
Już to oczy ma po mej kobiecie,
Panie świeć jej! — i aż stęknie prawie:
„Co? tatusiu! i wy sprzedąć chcecie?
Tak ja na to: „cicho, moje dziecię,
Widzisz, dzisiaj człek, jak ryba w matni:
Widzisz, dzisiaj ciężko jest na świecie —
Będziesz trzymał, choć sprzedać popłatniej?...“
„Tatusiu“, on mi rzeknie, „aż do krwi ostatniej...“

Ale prawda!... kiedy serce pełne,
To staremu tak się wszystko płata,
Jakbyś widział rozczochną welnę —
Owoż o tem granica dziesiąta
Powiadała, że pan swego kąta
Tak nie odda na pastwę; że będzie
Mógł się dalej gnarować; że sprząta
Nieźle żniwa i że w pierwszych rzędzie
Z pewnością, gdy tak pójdzie mu dalej, zasiędzie.

I szło nieźle... Założył mleczarnię,
Z Holandji bydła nasprowadzał,
Bo to nasze tak wygląda marnie —
Człek sam nieraz swe krówska okadzał
Na Trzech Króli, tak jak ksiądz doradzał,
Ale jakoś napróżno... Cud boski!
Szwajcarami folwark poobsadzał,
Że mówili: „Ej, ten grał Borowski
Wykupi niezadługo cały klucz ojcowski!...“

Aż tu naraz — ludzie węc-ci mają,
Jak psy gończe — w okolicy gruchnie,

Że baumajstry do dworu zjeżdżają,
Że graf nie chce mieszkać w starem próchnie,
Że dwór słaby, lada wiatr go zdmuchnie,
Że za mały na pańskie dostatki;
Że się dziedzic zakochał w córuchnie,
Wiesz, tej starej, obrzęklej sąsiadki,
A ta jej, mówią, nie chce dać do takiej kiatki.

Budowali... Człeka strach aż bierze,
Jak ten pałac pod ręką wyrastał;
Te-ci okna! te mosiężne dzwierze —
Jak w kościele... Graf pieniędzmi szastał,
Bo to, mówił, taki czas dziś nastał,
Że gdy idzie o tak wielkie dzieło,
Człek nie na to, by się skapstwem chlastał...
Budowali-ć... Dobrze się poczęło,
Lecz źle się miało skończyć: wszystko lichu wzięło...

Szkoda grafa... Niezły to był człowiek
I na chłopów, jak Kociński gada,
Nie spoglądał z pod wyniosłych powiek;
Lecz dzierzawca mówi: „trudna rada;
Przeznaczenia nikt-ci nie wybada,
Jednak widną to idzie koleją,
Że wrodzona słabość ich opada,
Że jej pany zwalczać nie umieją:
Gdy nie tak, to inaczej, lecz zawsze marnieją...“

Co się dzisiaj z nim stało, nie wiedzieć;
Jedni mówią, że w zamorskie kraje
Gdzieś wyjechał; inni, że ma siedzieć
Tam w Poznaniu i do gazet daje

Swoje pisma. Wiesz, rozum ustaje:
Jednak, choćby z kilku zagonami —
Szczęście-ć zawsze w roli jeszcze pszaje —
Winni tacy pozostać i z nami,
Jak z bratem brat, tak harać, a nie być — grafami.

Przecież mają nauki co nieco,
Przyzna im to każdy, oczywiście;
Więc też dobrze, gdy chłopą oświecą,
Tak od serca, nie na swe korzyście...
Drżą-ci nieraz, jak na drzewie liście,
Bo gdzie haczyk, tam się też zahaczy
Człowiek łatwo... Lecz tu, wyraziście
Mówię, na co?... Niech robią inaczej,
I chłop ma miękkie serce i wszystko przebaczy...

Że z ich winy lud wycierpiał dużo,
Toć to prawda, wiesz, jak świat jest stara.
A i teraz z tą ostatnią burzą,
Co tak przyszła znienacka, jak mara,
Dobrześ widział: na wargach ci para
Zamarzała, jak biedni ludziska
Opuszczali czworaki; talara
Pewnie nie miał z nich żaden, a rżyska
Naokół — nigdzie pracy zdaleka ni zbliska.

Mikołaja przyjąłem do siebie,
Bo to, widzisz, przyjaźń od młodości;
Choć się człowiek sam zaledwie grzebie,
Gdy gość w domu to i Bóg zagości...
On-ci nigdy w wielkiej obfitości
Niby nie żył, więc będę przetrzyma,

Tak myślelim. Ludzie, jak my prości,
Lada czem się obędą. Niech zima
Przeminie, to i pójdzie, o to troski niema.

Ale nie szło... musiał sprzedać krowę;
A to przecie tobie nie nowiny,
Że człek życia oddałby połowę,
A nie puścił tego bez przyczyny;
Przy bydlaku spędza człek godziny,
To po sierści go gładzi, to pieści:
„No, ty stara, mój skarbie jedyny!
Nastap-że się!... jedz-że!... bodajżeści...”
A kiedy trza się pozbyć, to człek drży z boleści...

Wtem przysłali orędzie z folwarku —
Było to tak jakoś koło postu —
Że niech jeno włodarz nagnie karku,
Niech się tylko ukorzy po prostu —
Chłop-cić, mówią, niby bez pokostu,
Lecz się kłaniać umie, gdy potrzeba, —
To go przyjmie pan dziedzic... Wiesz, ostu
Człekby spożył, gdy mu braknie chleba,
A zresztą — toć pokora prowadzi do nieba.

Poszedł... Nam zaś nie pojąć w rozumie,
Skąd się naraz wzięły te przyjaźnie;
Bo choć kum mój po niemiecku umie —
Był też w wojsku i ze mną wyraźnie
Widział Paryż — chociaż też pokaźnie
Niby z swojej wygląda postury,
A robotą to jeno tak maźnie,

Zawsze rzecz to niezwykła, by który
Tak Niemiec sam się troszczył koło polskiej skóry...

Aż-ci do mnie po miesiącach kilku,
Wchodzi stary, siny, jak otręby,
Więc ja w żarty: „No, ty, jakiś wilku,
Co się chmurzysz? chcesz mnie wziąć na zęby?
Same kości, więc ci nawet gęby
Niema po co otwierać... A może —
Możeś przyszedł do mnie w dziewosłęby,
Toć Salusia, jak chojarek w borze,
Więc pewnie czas jej sprawić trochę szersze łożę...”

„Ta Salusia!...” zamruczał pod nosem...
Tak ja znowu: „Co tam za kłopoty!
Żeby-ć jeszcze takim łożem
Mógł się cieszyć! Jak ten dukat złoty,
Twa dziewucha!... Zresztą we wymłoty,
Tak po żniwach, pogadamy z sobą;
Wiesz, mój Jędruch nie jest bez ochoty;
A to chłopak — nie zna się z chorobą:
Ja myślę, że podoba nam się pewnie obom.

No, no, dalej!... nie kwaś się tak bardzo!
Nie po żniwach, to i do ostatek
Poczekamy; przecież nie pogardzą
Dotąd sobą. Chłopczyśko ma latek
Coś dwadzieścia i kilka, a kwiatek
Istny z raju Salczyne policzki;
Takie stadło, to dobry zadatek:
Będą wnuki, jak dęby, bez sprzeczki,
A wnuczki, jak matusia, prawdziwe różyczki...”

Bo też prawda, że na okolicę
Nikt nie widział podobnej dziewczuszki;
Taka prosta, jakbyś ułaj świecę;
A te oczy! a te małe nóżki!
A tę chustkę, jak podwiąże w różki,
Na warkoczach — no, to człek niemłody,
Niedaleki śmiertelnej poduszki,
Ale, mówię, to-ci czyste gody!
Aż strach, ażeby nie wleźć w jakie korowody!

Na wesela i na różne tańce
Zapraszali też ją wszyscy chętnie;
Nawet Niemcy, takie samozwańce,
Nie patrzali na nią obojętnie.
Bo też wiedzą o tem dokumentnie
Ludzie wokół, że mało uciechy
Bez Salusi; wszystko idzie mętnie,
Gdy jej niema, a gdy jest, to śmiechy
Tak wciąż się rozlegają, że się trzęsą strzechy.

Czasem aż-ci pobudzi do płaczu;
Tak przed rokiem na weselu Anny,
Wiesz, tej „malej“, córki po Spochaczu,
Jak zaśpiewa do młodej-ci panny:
„Zdejmij z głowy wianeczek rucianny,
Niech ci swachy obetną warkoczki!
Już nie naszyś ty kwiatku dziewczanny,
Już nie naszyś! otrzyj ciemne oczki!”
To wszyscy my-ci we łzach, jak jakie wymoczki...

Tsia!... tak było... Tylko uważałem,
Że się czasem aż za bardzo darła

Do zabawy; że się aż na całem
Trzęsła ciele; że się nie oparła,
Aby nie iść, gdy u Wojtka Karla
Na „Wygodzie“ zaczęli rzempolić.
Ale cóż to?... Toć i moja zmarła —
Niech ją z czyścica raczy Bóg wyzwolić —
Wolała też tak sobie, niżli się mozolić.

Jednak prawie żaden-ci nie powie,
Że z niej licha była gospodyni,
Statek przyjdzie wraz z czepkiem na głowie.
Tylko jedno — lecz i to nie czyni
Wielkiej wagi, jak co nieco w skrzyni
Jest grosiwa: — jedwabie, korale
Gdy zobaczy, to się cała mięni;
Nawet w poście, wiesz, na „Gorzkie żale“
Szła czasem zbyt strojna, a tego nie chwale.

Ale to się młodzikom podoba,
Więc też przy niej niejeden się kręci:
Nie dziwota, takowa osoba
To, jak cudo, każdego przynęci;
Człowiek prawie traci na pamięci;
Gdy go taka ogarnie pokusa;
Jam też widział, co się z moim święci;
Na zapłociu — któżby tam wisusa
Mógł ustrzec — niejednego porwał jej całusa...

Zresztą, mówię, nie była od pracy:
Samem patrzył, jak biegała w pole;
A tak zawsze wesoło: „Ignacy!“
Gdy mnie ujrzy, mówiła, „kąkole

Idę plenić... Zawsze-ć żyto wolę...
Wy, jak kąkol, Jędrus bo jak kłosek —
Co? ojczulu, zrobicie nam dołę?“
„Ano“, takem pomyślał w półgłosek,
„Synowa, jakby ułał — ale też na włoszek!...“

Gdy był u mnie Mikołaj, to trudno
Było wiedzieć, co się u nich dzieje:
Wiesz, z mrukliwym wszak pogadać żmudno,
Bo to ani miejsca nie zagrzeje —
To coś sapnie, z gorzka się zaśmieje,
A o ludzkim słowie ani słycho,
Niby milczkiem żółć-ci swoją leje;
On też zaraz ku jakiemuś lichu,
Gdym wspomniał o ożenku wyniósł się pocichu.

Tylko ludzie coś bąkali wkoło,
Że tam owo w chałupie włodarza
Płynie życie jakoś niewesoło;
Że Salusia zamiast do ołtarza
Z mym Jędruchem... Ale człek nie zważa
Na te bzdurstwa: za bardzo jej wierzył,
Więc też wieść ta wcale nie przeraża;
Choć się rumór coraz bardziej szerzył,
To wszystko człek spokojną jeszcze miarą mierzył.

Aż dopiero coś we dwie niedziele
Znów Mikołaj przyszedł w moje progi:
Tylko chwiał się, wiesz, jak owo ziele,
Jak bylica w rowie, wedle drogi...
Ledwie mógł się utrzymać, tak nogi
Mu się trzęsły... Coś nie w kłęb się wije,

Pomyślałem. Może, że mu stogi
Deszcz podmoczył i miał termedyje
Z dziedzicem, więc też na to z markotności pije.

Ledwie raczył ze mną się przywitać;
I ja czulem, jak mu ręce drżały;
O przyczynę chciałem się zapytać,
Bo mnie kłopot ogarnął niemały;
Aż on stolki, co przy ścianie stały.
Kopnie nogą i sam na łóŜczyisku —
Tak u brzegu siadłszy, zasapiał,
Jęknął: „Suka!... człowiek w pośniewisku!...
Daj koni!... wywieź precz stąd... utop gdzie w bagnisku!...”

Teraz otom widział wszystko jaśnie,
Ale jeszcze mitygować pocznę:
„Pewnie nie tak!...” Lecz on znowu wrzaśnie,
A wejrzenie coś miał strasznie mroczne:
„Wywieź psinę!... to rzeczy naoczne —
Gdzie w moczary wywieź precz! przed ranem...
O północy, na miejsca uboczne!...”
Więc ja z cicha. „A z którym poganem?”
„Niech czarci!” on mi na to: „a z kimbyć tam?
z panem...”

Tyle, widzisz, było z tych dobroci:
Nie na darmo przyzywał do siebie
Nowy dziedzic włodarza. Nikt kroci
Nie pozyskał bez trudu; w potrzebie
Nieraz człowiek, jak robak, się grzebie,
Drży, jak robak, dziś w ten czas ciężarny,
Ale wiesz ty: by o nędznym chlebie

Móc żyć dalej, by za chleb ten czarny
Swą hańbą jeszcze placić — wiesz, to żywot marny!

Powiadali, że Bergtal przypadkiem,
Idąc przez wieś, spotkał włodarzównę,
I że w oko mu wpadła. Toć kwiatkiem,
Mówię, była; toć pewnie jej równe
Żadne dziewczę na świecie; a główne,
Że, jak mówią, miała takie oczy,
Co to niby coś są wielomówne,
Co to niby każdego przeroczy,
Że za nią to się każdy, mówią, w przepaść stoczy...

Jak tam przyszło do tego, toć plotą
O tem różnie: jedni, że to była
Ta dziewczyna już z taką ochotą,
Że ta chwila razby się zbliżyła —
Jeśli nie dziś, to jutro; że siła
Dawał pan jej pozłotek i groszy,
Tak znów drudzy; a rada patrzyła,
Mówią, na to, w tem, jak paw się pstroszy;
Znów inni, że jej ojca, mówił, precz wypłoszy...

Ja bo myślę, że tak jedno z drugim;
A z człowiekiem to tak jest, jak z rolę:
Nie podda się, dopóki jej plugiem
Nie pogrozisz... Samą bożą wolą
Cóżby żyło... Nigdzie też nie goła,
Jak to mówią ludziska, bez mydła...
Gdy się topór, wiesz, zetknie z topolą,
Drzewo padnie; na konia wędziła
Nie zbraknie; dziewczę głupie, łatwo wziąć je w sidła.

Wina zawsze na mocniejszych spada,
A za winą to i zemsta idzie;
I też słusznie; sam Pan Bóg powiada
W piśmie świętem: „Drzyj przedemną żydzie!“,
Zwłaszcza, jeśli w takim wielkim wstydzie
Z czyjejs winy znajdują się biedni;
Jeśli lud ten w smutku i ohydzie
Pogrążają ci, co stoją przedni,
Za nędzną łyżkę strawy, za ten chleb powszedni.

Przed wieczorem, nazajutrz — wiesz, pomnę,
Było to tak w połowie miesiąca,
Na późniwach, we wrześniu: Ogromne
Panowały-ci jeszcze gorąca,
Że aż liście wypelzły od słońca,
Co tak piekło, jak istne zarzewie —
Szykowałem koniska: bez końca
W jakiej trosce, w jakim byłem gniewie,
Że tak ją miałem wywieźć, ach! nikt tego nie wie.

Lecz cóż było tu robić?... W południe,
W dniu tym samym, gdy się w upał męczę
Na podwórku: naprawiałem studnię —
Obniżyły się nieco poręcze —
Był znów u mnie Mikołaj... Ja klęczę
I coś wbijam kawał gwoźdźcia w drewno,
Na „szczęść Boże!“ „Bóg zapłać!“ wyjęczę
Ledwie z spieki, a on mnie tak rzewno
Zagadnie: „Wywieź Salkę; w Będzinie mam krewną.

Co się stało, to się nie odstanie“, —
Rzecz dalej — nie był już pijany,

Jak w ten wieczór poprzednio. — „Na śmianie
Ludzkie człowiek“, wiesz, mówił, „skazany;
Wytykają go palcem; poszany
Nie ma żadnej, jakby zbrodnię spłodził;
Będzie lepiej, gdy ten płaz skalany
Pójdzie z oczul...“ Jam się wreszcie zgodził,
Bom widział: od rozumu już prawie odchodził.

Tylkom radził, niech choć z dzień poczeka,
Bo tak parno i niebo się chmurzy,
A zaś Będzin to droga daleka —
Z cztery mile... Nocna jazda służy
Szkapskom, prawda! ale tak w czas burzy
To się zdarzyć może rozmaicie...
Lecz on na to, że mu czekać dłużej
Zbyt jest ciężko — i lęz otarł skrycie, —
Że z chwilą mu każdziutką, mówił, brzydnie życie...

Wyruszyli... Ona w tyle siadła
Na siedzeniu, które takem z prędką
Zbił ze słomska... Trzęsła się, pobladła,
Jak ta ryba, co ją schwyci wędka.
Nikt a nikt jej nie żegnał, a miętka
Zawszeć w duszy niewiasta; mnie do niej
Coś przemówić też nie brała chętka —
Wiesz, z żalości. Więc podciąłem koni
I milczkiem tak z podwórka, że niech Pan Bóg broni

Zawyl tylko za nami nasz finek,
A to, mówią, znakiem nawalnicy...
To też ledwiem stroną do Wycinek
Na trakt wjechał — wiesz, koło pszenicy,

Za chudobą Bartosza Kozicy,
Gdzie to stoi ta stara figura,
Tak się naraz coś od błyskawicy
Jęło migać... Zwiększyła się chmura,
Zagrzmiało... I znów naraz niebo jak purpura.

Chciałem wrócić... Jazda będzie licha,
Takem myślał... Jeszcze z strachu skona,
Więc też do niej przemówilem z cicha:
„Co, Salusiu, wrócimy?...“ Lecz ona,
Prawie cała chustką zasloniona,
Nawet na mnie oka nie podniosła,
Tylko westchnie coś tak z głębi łona:
„Jedźcie dalej!...“ Niech grom tego posła,
Co przyszedł do włodarza!... Więc na to wyrosła!...

Jechaliśmy... Ściemniło się mocno,
Jak z okseftów padała ulewa,
Gromy biły i biły! A nocną
Tylko ciemnię, niby jakie tczewa,
Rozdzierało lyskanie, że drzewa
Nade drogą jakby oblał złotem...
Człowiekowi rozum się zaćmiewa:
Jakem, zlany ulewą i potem,
Zajechał do Będzina, to sam Bóg wie o tem...”

IV.

„Po miesiącach“ — tak mi dalej stary
Począł prawić — „w śnieżny dzień lutowy,
Gdy się wciska mróz przez wszystkie szpary,
Siedzę sobie przy piecu; niezdrowy

Byłem trochę, jak to wiesz: połowy
Życia człek już dawno nie pamięta;
Wtem ktoś drzwi mi otwiera — listowy!...
„A witajcie!...“ „Bóg zapłać! przekłeta
Zawieja, że człek lezie, jak gdyby miał pęta...”

„Cóż tam macie?...“ „Ano, liścik mały...”
„Skąd?...“ „Ze świata...” „Świat duży...”
„Z Berlina”.

„A od kogo?...“ „Czorty go tam znalazły,
Że dla niego człowiek, jak gadzina,
Musi broczyć w tych zaspach...” „Toć wina
Pewnie tutaj niczyja” — ja na to...
„Ba i prawie! ale jak osina
Drzę od zimna...” „A przecież nie lato...”
„Nie kpijcie sobie, stary; lepiej tak! choć z stratą”.

I palcami zabębni po grdyce...
Lecz ja rzeknę: „Co tam z stratą! wiecie,
Że to u mnie, choć się tem nie ezczycę,
Zawsze jeszcze starczy na wypicie
Ze znajomym... Miotła rośnie w życie,
A i człowiek jest też, jak kostrzewa,
Między ludźmi, jeśli na obycie
Z przyjacielem lub druchem nie miewa
Kropelki nawet darmo... No i cóż? rozgrzewa?...”

Nalał sobie raz, drugi... Tymczasem
Ja całuski aż w głowę zachodzę,
Skądby było to pismo... Za lasem
Nibyć człowiek nie mieszka; przy drodze,
Jak to mówią; więc ci też niebodze

Na znajomych nie braknie... Lecz listy
Zawsze rzadkie; tak na jednej nodze
Przyjdzie czasem nowina... To czysty
Specjał list ze świata, zwłaszcza w czas śnieżysty.

Czyby, myślę, miał Kaźmierczak do mnie
Wystosować kilka słów z obczyzny?
Tylko mi się zdawało ogromnie,
Że aż het tam! gdzie to kraj jest żyzny
W drogie wina — nad „Rajnem“, siwizny
Szedł się stary doczekać, zdaleka
Od kobiety i dzieci, ojczyzny
By już więcej nie ujrzeć... Człowieka
Za pracą to, sam Bóg wie, dokąd wiatr zawleka.

Albo może — tak znów medytuję,
Pisał Antek Kowalczyk, ten z Mszyska,
Po mej siostrze, który obsługuje
Teraz w wojsku... Serce chłopaczyska,
Widać, niezłe, kiedy, choć nie zbliska,
I o wuju baczy poniewoli...
Lecz mi znowu myśl do łba się wciska,
Że się gdzieś tam nad morzem biedoli,
W Zonburgu, przy ułanach, het! na duńskiej roli.

Więc tak trzymam ten list nie otwarty
I oczami za napisem śledzę.
Czy też do mnie; czy czasem nie żarty
Stroi ze mnie listowy: o miedzę
Przecie zaraz tak, jak ja się biedzę,
Jeszcze drugi, też Walkowiak, hara;
Ale rychtyk — Ignacy! koledze

Zaś mojemu jest Wojciech... Niech skara
Mnie Pan Bóg, jeśli zgadnę, skąd ten list, jak mara...

Wtem mój Jędrus aż się w głos zaśmieję:
„No i coście się tak zadumali?
Czy też o tem, co się w świecie dzieje?...
Pewnieć jeszcze króla nie wygnali
Z Bułgarii... A bo co?... Gadali,
Że wej! nowe chcą robić giewery,
Będzie bieda... Co, tatusiu? dalej! —
Czy o liście? — toć nie bez kozery
Ktoś pisze... Więc otwórzcie... Dajcie te papiery...”

„A dyć! prawda!... na-że i przeczytaj!
Bo ja, mówię, już mam słabe ślepie...”
O te dawne oczy się nie pytaj,
Co widziały, gdy się kania strzepie
Gdzieś o milę, lub gdy wiatier ściepie
Jaki listek z białaku, co szumi
Nad Zaborzem... Dzisiaj, choć przyczepię
Szkła do nosa, to zaledwie umię
Wzrok dojrzeć wieży w Leszczach... Starość wszystko
[tłumi...

Ani pewniebyś nie zgadł, od kogo
Było one pisanie ze świata!
Od Salusi!... O dziewczę, niebogo!
Na co tobie też przyszło!... Twe lata
Tak są młode, a tu ani brata
Ani kuma wśród obcych... Mój Chryste!...
Jak te liście, które burza zmiata,
Tak też giną twoje dni, w rzęsiste
Skąpane łzy, nieszczęsna!... Ciężki los, zaiste!...

Jak-ci wtędy wywiózł ją do ciotki,
Tak do czasu o niej wieści żadnej...
Bo choć różne chodzą tu plotki,
To niepewne... Ludzki język zdradny:
Kiedy idzie o kłamstwo, to składny,
Jak dwie śruby; ale zechciej tylko
Coś od prawdy usłyszeć, szkaradny
Bywa wtęczas — dobrą przyszedł chwilą:
Tak syczy, jak ta żmija, a tak dżga, jak szpilka...

Od Orczyka też-ci niezbyt wiele
Człek ułyszał; milczał, jak zakłęty,
Gdy o córkę chodziło... Wesele,
Widać, wszystko mu znikło; niezgięty
Przytem z niego jest człowiek: choć pręty
Byś na plecach mu łamał, to słowa
Ci nie piśnie... Mój patronie święty,
Ty od ognia! gdy się pali głowa
I serce, wtędy na nic prośby i namowa.

Myśmy sami stali też orędzie
Do Będzina, tak z pociechą trocha:
Niech przetrzyma, wszystko dobrze będzie,
Nie od tego jest serce Jędrocha —
Że ją zawsze tak, jak dawniej, kocha,
Choć zblądziła... Ja-ć jej nie winuję,
Widzisz, zbytńio, a i chłopak ślocha
Nieraz w kącie nad Salką — dyc, czuję,
Że sam się pewnie jeszcze bardziej od niej truje.

Zaś samemu w takim niby czasie
Jechać do niej, jakoś się nie godzi;

Jeszcze ciotka krzykaby: „A zaśię
Obcym do nas!...” Wiesz, w onej powodzi,
Gdym ją zawiózł — choć o to nie chodzi,
Ale zawsze — nawet nie prosiła
Na poczęstne... Sekutnica! złodziej!...
Heród czysty! Jeszcze dawniej była
Tu u nas i tak zaraz: „Nie wam się rodziła!...”

Niewiadomo, co tam ludzie rzekli,
Bo to dzisiaj bratu człek nie wierzy:
Ze zazdrością wszyscy, tak, jak wściekli,
A na Jędrka to niejedna mierzy
Tutaj we wsi... Niech no tylko szczerzěj
Powie słówko, pierwsze gospodynie
Tak odrazu z córkami... Toć szerzy
Wieść się o nim, toć na okół słyńie,
Że z niego chłop nie żarty, żona z nim nie zginie.

Ile z listu wymiarkować można,
To się posły jakoś źle sprawili;
Pewnie nawet bałastrą bezbożna
Wręcz przeciwnie gadała... Nabili,
Znać jej głowę, że niech się nie sili
Na czekanie, bo, miasto powrócić
Tutaj do nas, to od onej chwili
We świat poszła — za mamkę; a rzucić
Swe gniazdo, to tak, jakby na śmierć się zasmucić.

Lub też pewnie trochę było pychy
W tej dziewczynie, że po takim kroku
Niby wracać nie można; że lichy
Będzie czas jej i że na nią z boku

Będą patrzeć... Toć prawda! na oku
Mają taką! Gdy się raz co zdarzy,
Tak-ci ludzie zaraz, jak do skoku;
„Co rok prorok! któż jej tam na straży —
Z pewnością nieraz jeszcze!“ A jej się ni marzy.

Już w ich rodzie leży ona duma:
Ongi siostra jej matki tak samą,
Mówię, była — nawet moja kuma;
Prowadzała się ze Stachem Szramą,
Lecz ją rzucił... „Ej-że nie bądź damą!“
Rzekł jej inny; „pójdźma do ołtarza!...“
Ale ona, że „tu z taką plamą
Życ nie może“; już na nic nie zważa;
I poszła w świat — na marne... Tak się nieraz zdarza...

Gdy mi czytał chłopak list Salusi,
Tak mi się coś zdało matyjaśnie,
Że z dziewczyną nie rychtyk być musi —
Kołomętne pisanie, tak! właśnie,
Jakby rozum straciła. Toć gaśnie,
Mówią rozum, jak gwiazda na niebie;
Nie-ci wieczne, widać rzecz tę jaśnie,
Więc i rozum niby w grób się grzebie —
Lecz czekaj, dam-ci list jej, chowam go dla ciebie...”

I czerwoną mi skrzynkę otworzy,
Która stała przy ścianie w zakątku,
I na stole przedemną położy
Plik papierów w starem zawiniątku:
„Są tu różne“, powie, „od początku
Człek to zbiera, tak na okazyją.

Bo-ci, mówię, przy tym świętym piątku,
Nieraz z sądu — czlekby płacił szyją,
Gdy zginie; toć na troskę tylko ludzie żyją...

Ale masz go!...“ Wyciągnąłem dłonie
Po kawalki papieru żółkłego,
Jak te liście, gdy topoli skronie
Odrze z kraszy ręka jesiennego
Wiatru, posła i zwiastuna złego —
Onej zimy, co w całunie, błada,
Na mogile, której kruki strzegą.
Jak on upiór się zjawia i siada,
Pustemi patrząc oczy, szepecząc: „biada! biada!...”

Wyglądziwszy więc papier skłębiony,
Na niewprawne, a stawiane zwarcie,
Spojrzę głoski. Górą: „Pochwalony
Jezus Chrystus...” Potem: „Mój bękarcie!...”
Dobrzeż czytam?... Wytężam uparcie
Wzrok na pismo, bo nie wierzę oczom;
Ale prawda!... Czytam dalej: „Czarcie!
Psie ty obcy!...” Jeszcze dziś się mroczą
Przedemną te litery, żyją, rosną, kroczą...

Mimowoli-m utonął w zamysły,
List mi wypadł z trzęsącej się ręki,
Spojrzę w okno: nad wioską zawisły
Sine nieba, jak baldachim miękki
Z ciemnego jedwabiu. W rozjęki,
Lecz tak ciche, że ledwie je słyszeć,
Wiatr się rozlał i wierzby piosenki

Rozpoczęły melodyjnie dyszeć,
A smutne, a tak rzewne, ach! że nie opiszę-ć...

Gdzie horyzont oparł swoje końce
Het! aż na te piaszczyste pagórki,
Umierało zwolna, zwolna, słońce,
Wpół skażone plamą czarnej chmurki,
Co z mgieł ziemi wstała... Wnet, a córki
Nocnych zmroków, gwiazdy srebrnopusze,
Zapłonieją świecącymi piórki
Ponad słońca mogiłą, jak dusze,
Co schodzą, aby patrzeć na ziemskie katusze.

Ludzie z pola powracają drogą,
Z której kurz się wznosi płachtą szarą —
Idą wozy, ładowane mnogą
Przekosztownych ludzkich sił ofiarą;
Czas wykopków. Skrzypią osie, gwarom
Towarzyszy chudych koni rzenie,
Aż ich nozdrza, opryskane parą —
Snać się cieszą, że oto wytchnienie
Już czeka na nie w stajniach przy sieczce i sienie.

Wnet ubiegła mej zadumy chwilka,
Pomieszane przerwały ją głosy:
Przed sąsiednią chałupą bab kilka
Jęło wrzeszczeć pod same niebiosy;
Tłum dzieciaków, obdarty i bosy
Aż rzechotał, wypuczywszy brzuchy,
Gdy hieny szły sobie we włosy;
Wrzask się wzmagął, to opadał, głuchy,
Chrapliwy i chwarszczący, jako żwir ten suchy.

Wszystek brud ten, co, ukryty, drzemie
Na dnie ludzkiej natury, tu ożył:
„Ty małpisko! ty cygańskie plemię!
Byczy rodzie!” — tak się jad ów srożył —
„A wej! znajdek!...” „Sam pies cię podłożył
W gniazdo twojej matuchy!...” „Fe suka!
A ty byłaś jałówką?... co?... Dożył
Twój-ci ojciec pociechy: nauka
Niedarmo! toć większego niema nad cię tłuka!...”

Odwrociłem się cały ze wstrętem
Od tych ludzkich pohańbień obrazu:
Płaz się wala w bagnisku, lecz świętem
Jest przy sercu ludzkim serce plazu;
Człowiek nie zna litości; rozkazu
Przeświątego nie słucha, co płynie
Z jasnych niebios i na miejsce głazu,
Gdy brat zgrzeszy w nieszczęsnej godzinie,
Poleca rzucać chlebem, tak! chlebem jedynie...

Przebudzony, list podjąłem z ziemi,
By go czytać w półmrokach zachodu,
Przysunawszy rękami drżącymi
Prosty stół do okna... Ta wrzodu
Ciecz, to ścierwo obmierzłego płodu
Ludzkiej nędzy, dopiero widziane,
Widna walki bez końca i głodu,
W krwawą we mnie łączyły się ranę
Z boleścią słów Salczynych, co na nic targane...

„A ja-ć tobie“ — były dalsze słowa —
„Bękarciku, przygotuj łóżę,

Jak na puchach żydowskich twa głowa
Spocznie... Patrzcie, Ignacy!... Mój Boże,
Mój ty miły!... Rogoże! rogoże!
Tu rybacy łowicie, tu złowicie
Cacy rybkę... Jędrus, jak te zorze,
Twoje ślepki... Co? co? moje życie!...
Patrzajcie, jaki ogień!... łunę czy widzicie?!...

Hej łowili rybacy po rzece,
Burmistrzankę spotkali... tonęła...
Toż-że do dna ma córko!... Brr! leczę!
Lecę do dna, tatusiu!... Zajęła
Już ją głębia, ratujcie!... Upięła
Dziś żydówka w jedwabie bachora,
W aksamity!... „A fajnes!“ poczęła
Mówić do mnie piegowata siora,
„A bękart twój!“ Co? bękart?... do dwora!... do
[dwora!...

Panie ojczy, rydlik mi się złamał,
Kiedym poszła dziś rano na pole...
Pełnam kąkol... Jędruch kłamał, kłamał!
Wy jak kąkol... zawsze żyto wolę;
Co? tatusiu, urobicie nam dolę?
W polu sosna aż rośnie do nieba,
A tu topól... patrzajcie, kąkole!...
Pobierzmy się, kawaleczka chleba
Będziemy się dorabiać, nam go bardzo trzeba...

Piszę do was z kraju dalekiego
Te słów kilka, jak mi też się wiedzie —
Jestem zdrową, dzięki Bogu, czego

I wam życzę... Dzisiaj na obiedzie
To my mieli ryby, różne śledzie
I koszerne; prawie się nauczę
Jeść z żydami... Patrzta, jedzie! jedzie
Pan na koniu!... „Polską krowę tuczę“,
Tak mówi ta żydówka, „to są mleczne łucze“.

A co? ojciec sprzedał tę cisawą?
Szkoda! sprzedał... A ta wierzba stoi
Za obórką? Paście trawą, trawą,
Mleko lepsze... Wej! jak mnie się boi
To panisko... A dy, niech też z twój
Czarnej piersi, mój ty czarcie mały,
Krew nie płynie. Cicho, to się zgoi...
Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna... Cały
Już pacierz... święć się imię... wiekuiestej chwały...

Toć u ciotki była Otrębina
I kazala, że trza wybić z głowy,
Że ma inną... Szczęśliwa godzina!...
Zwiążę sobie wianeczek rutowy
I dam — ciotce... Bodaj cię niezdrawy
Pomór zabrał, żeś tak w świat sierotę
Precz wygnała!... Patrzta, Bergtalowy
Dwór się pali... skry, jak gwiazda złote...
A teraz bądźta zdrowi, już mam spać ochotę.

Co daj Boże. Amen...“ Oslupiałem...
„Wy cóż na to? „Tsia! co było czynić?
Po Orczyka tak zaraz posłałem
I powiadam: „Mikołaju, winiś
Cię nie myślę, ale, wiesz, przyskrzynić

Łatwo palce — poszło tak i tobie;
Chować dziecko, to nie gwizdkę linić
Lub nakładać na wóz mierzwę... W grobie
Przewrócisz się, że córka w takiej jest żalobie...

A on w płacze... „Toć-em nie wyrzucił
Jej ze serca... Ale cóż?... ci ludzie...
Potajemnie człek się dość nasmucił,
Pisz, niech wraca; choć w ostatnim trudzie
Spędzę lata, to ludzkiej obłudzie
Już nie poddam tej głowy... Pieniędzy
Nawet poślę, gdy trzeba. O zmudzie
Będę waszej pamiętał; coprędzej
Trza poselać z listem!... Boże, żal się naszej nędzy!”

Pisaliśmy, ale już daremnie;
List się wrócił; więc my w tym momencie
Do urzędu — coś szepnęło we mnie —
Na wywiady... Mówię tobie święcie,
Wszystkom robił, ażeby przyjęcie
Było w domu jakie takie; bo to,
Pomyślałem, przyjdzie jak na ścięcie,
A gdy ujrzy, że my ją z ochotą
Witamy, to też zerwie z tą swoją żorotą...

Przeminęły tygodnie, a wieście
O niej żadne; aż tu raz spotyka
Mnie od wójta pisarz, gdym był w mieście,
I powiada, że ma do Orczyka
Coś, co tyczy się córki... „Metryka,
Czy też berycht?” tak go wręcz zagadnę;
„Mnie ta sprawa“, mówię, też „dotyka,

Więc powiedzcie...” „Dyć berycht, paradne
Są rzeczy, tak mi powie; niech się tu zapadnę!...”

„No, a cóż tam?...“ „A no, cóż? w więzieniu...“
„Orczykówna?...“ „Juści, to ładaco...“
„Czy też rychtyk stoi po imieniu
Salomeja?...“ „Nie inaczej...“ „Za co?...“
„Za cóżby tam: pewnie, że ją stracą!
Straszna zbrodnia!... Mamczyła w Berlinie
Gdzieś u żydów; tacy dobrze płacą,
No, a pasą, że to fi!... dziewczynie
To jeszcze było mało; mściwa! więc też zginie...”

„Toć nie cedźcie takich słów! powiedzieć
Lepiej zaraz po prawdzie“, odrzekłem.
„Jak po prawdzie? dobrze jej tam siedzieć...
Morderczyni! pozna się i z piekłem:
W jakiejś zemście, czy szaleństwie wściekłem
Żydowiátku podkręciła szyję.
A z Berlina w piśmie tem rozwlekłem
Zapytują, czy jej własne żyje?
W Będzinie, my pisali, krajs Świerków per Kije...”

Kiedym przyniósł tę nowość do domu,
To ci tego nie opowiem wcale,
Jak nam było wszystkim... Jak od gromu
Porażeni, wszyscy w gorzkie zale...
Jędruchowi praca szła ospale,
Głowę zwiesił; cud, że jeszcze orze;
Stary Orczyk, jakby mył się w kale,
Tak zesiniał... zmiłowanie boże,
Że żyje; dał też na mszę; mówi: „to pomoże“.

Czekaliśmy, co się stanie dalej,
Aż tu będzie temu z dwa tygodnie,
Gdy „Nowiny“ z poczty mi przysłali —
Biorę, czytam: „List z Berlina. Zbrodnię
Popęlniła tu Polka“ — ubodnie
Mnie coś w serce — „Orczyk Salomeja;
Nasi tutaj nie znali przychodnie
Tej dziewczyny; jakaś ją zawieja
Przygnała do stolicy, co jest niby knieja...”

Dla ubogich, prawda jest, jak puszcza
Takie miasto; jak tam łatwo zbłądzić,
A i zmarnieć na wieki!... Tam tłuszcza
Nie ratuje nikogo... „Zarządzić
Rozkazali śledztwo, by osądzić,
Jak rzecz stoi“, czytam w tej gazecie
Znowu dalej; „ażeby sporządzić
Móc protokół, rozłożono dziecię —
Z kanału wyłowili je rybackie siecie.

Utopione, miało ranę jeszcze,
Pisał list ten, „w piersiach, jak od noża
Kuchennego“ — mnie-ci, mówię, dreszcze
Aż przechodzą, istna klątwa Boża!
Straszne rzeczy!... „Kiedy ją do łoża,
Gdzie trup leżał, przypędziła warta,
Odepchnęła wszystkich: żydów, stróża
Więziennego, urząd i rozrząta
Krzyczała: „Mój-ci bękart!... co wam do bękart...”

Ledwie mogli ją oderwać pono,
Tyle mieli trudu z nią i troski:

Darla włosy i szarpala łono,
Czysto, jakby nadszedł już sąd boski,
Stąd też niby wyciągano wnioski,
Że jest „błędna“ i że w tym obłędzie
Popęlniła kryminał... Sędziowski
Pisarz wszystko podał to w urzędzie,
By sprawę tę roztrząsnąć mogli dobrze sędzie.

Tylko jeszcze, wiesz, dla upewnienia,
Gdy jej w śledztwie przeszedł czas już spory,
Tę nieszczęsną wysłali z więzienia,
By do siebie wzięli ją doktory —
Do zakładu obłąkanych; choręj
Na umyśle zawsze-ć w owym domu
Lepiej, mówią... Gorsza, niż pomory,
Jest ta klęska, nie życzę nikomu —
I wroga, Panie, uchroni od takiego sromu.

„Po miesiącach sprawę rozstrzygnięto“,
Tak pisali w gazecie: „z dziewczyny,
Co już zdrowa, wszelką winę zdjęto“ —
Bo też trudno dopatrzeć się winy
Tam, gdzie rozum się przyćmił; lecz śliny
Nie są warci, którzy czasu tyle
Każą czekać na wyrok, rodzinę
I niczego niepomni; w mogile
Toć lepiej, niż tak spędzać niepewności chwile!

Powróciła... Pisali, że zdrowa —
Niech Bóg broni przed podobnem zdrowiem:
Jeszcze-ć pierwsza tygodnia połowa
Przeszła nieźle; ale dziś — nie powiem,

Jak mi ciężko, jakby kto ołowiem
Starą pierś mi napelnił... przed tobą
Była u nas — coś mnie przeszło mrowiem:
Patrzy błędnie, rozmawia ze sobą —
Czyż koniec kiedy będzie z tą naszą żałobą?!...“

V.

Nocy!... nocy!... władczyni ponura
Serc zranionych i starganych duchów,
Dziś mną całym owładnij, jak chmura,
Gdy pogrąża wśród swych mglistych puchów
Jasne słońce!... Ze życia okrucichów,
Co tak ogniem przeczystym pałało,
A dziś gaśnie za wrogich podmuchów
Wolą, — utwórz, nocy! jeszcze ciało
I wlej twojego ducha, by zemstą gorzało!...

W twoich cieni przepaścistym kojcu
Bezlitośnej zbrodni plód się lęgnie;
Lecz czem zbrodnia, gdy serce w ogroju
Ach! na sztuki się krwawe rozprzęganie?!
Gdy, rozdarte, widzi, że nie sięgnie
Nieb litośnych wylanemi modły?
Krew grudzieje, w zimny kryształ tęgnie
Na niebios, co całe wychłodziły,
Na świat ten przeniewierczy, ach! na świat ten podły...

Noc już była — owa noc jesienna,
Spływająca bezmiernym spokojem
Na tę wioskę, co spoczęła, senna,
Choć na chwilę zerwawszy ze znojem...

Pożegnałem starego i, rojem
Smutnych myśli otumanion, kroczę
Ku domowi gdy się blasków zdrojem
Całe niebo obleje — przezrocze
Lun krwawych napelniło mroków paszcze amocze.

Pobudziłem uśpionych... Wiatr wionął...
Wnet zrobiło się gwarno i ludno;
W stronę dworu spieszyli — dwór płonął:
Płomień buchał falą skier przecudną,
Chociaż straszną w swych skutkach... „Ha trudno
Co ratować“, mówili, „sił szkoda,
Z wszystkich rogów przez ogień... dyć żmudno
Na to patrzeć... lepiej spać; tu woda
Już na nic, a zaś ku nam ognia wiatr nie poda...“

Kto podpalił? — Nazajutrz we wiosce
Powiadali — aż strach wstąpił we mnie —
Że tam Orczyk z folwarku jest w trosce:
Córka nocą mu uszła tajemnie;
Ktoś, mówili, gdy zaległy ciemnie,
Widział jakąś niewiastę; od dworu
Tak na przełaj — dogonić daremnie —
Jakby dzika biegła ku jezioru
I znikła gdzieś — nie wiedzieć — w ciemnych mgłach
[wieczoru,

IV
WOJTEK SKIBA

(FRAGMENT)

PIEŚŃ I.

I.

On się urodził temu lat trzydzieści,
A może więcej — nie wiem zbyt dokładnie;
Zresztą poemat nie straci na treści,
Choć trochę kiepsko data mi wypadnie;
Przytem, rzecz znana, jest to bardzo ładnie
Trzymać się więcej ogólnie i fakta
Nawet urodzeń przyodziewać zdradnie
Mgłą niepewności, zwłaszcza jeśli akta
Kościelne, jak tu, spłoną, re nondum peracta.

II.

Ten zwrot łaciński mili czytelnicy,
Ma niby znaczyć, że zanim się zdarzył
On smutny kazus, „wieszcz“ w swej mózgownicy
Jeszcze ze stanc tych żadnej nie uprzył,
Jeszcze wogóle wzlatać się nie ważył
Na oskrzydłonym koniku, choć wtedy
Uczuwał wenę już tajną i marzył,
By starczą przeszłość od węzów czeredy
Broniła ta pieśń jego, pieśń Lilli Wenedy.

III.

Ale to dawniej... Dziś choć razem z wami
Nieraz zapłacze na te smutne losy,
Nie jest tej myśli, ażeby wam łzami
Nad tem, co było, a co jako kłosa

Padło, zroszone kroplą krwawej rosy,
Wypełniać serce i w tysiączne skargi,
Które tak rwą się daremnie w niebiosy,
Jęk jeszcze jeden wpleść z swej własnej wargi
I z piersi swej i z bóstwem w smutne pójsć zatargi.

IV.

A zaś z swej strony nowe rzucać kwiaty
I nowe blaski na wielką mogiłę,
Za trud uważa, niegodzien zapłaty,
Nawet szkodliwy, gdyż duchy, opile
Wonią grobową, tracą rzeźką siłę
I zapadają jak ci, co haszysze
Chłoną swą piersią trujące, acz miłe,
W beczynny spokój, w tę zmartwiałą ciszę,
Gdzie sercem tylko lekki wiatr marzeń kołysze.

V.

Przeto darujcie, że w innej osnowy
Zamierza dzisiaj uwikłać was sieci,
Że wam podaje poemat snąć nowy,
Dziwnie złożony, o sprzeczności dzieci,
Z waszego złota i waszych rupieci...
A jeśli kiedy żądlęm, nakształt gadu,
Żal albo niechęć w piersi waszej wzniesi,
Nie w nim, lecz w czasie win szukajcie śladu:
My wszyscy wszak miłości pełni, lecz i jadu...

VI.

Więc się urodził, jak się inne rodzą
Zwierzęta ssące, z ojca no i — z matki;
Tylko pod szczęścia pozłocistą wodzą

Nie otaczały uroczne dostatki
Jego kolebki. W chacie, na wzór klatki,
Gdzie kury, gęsi, gnieźdzą się i ludzie,
W powijakowe kładziono go szmatki,
A szorstkość pieluch i garść słomy w brudzie
Od pierwszych chwil poczęły wielkiej przeczyc złudzie.

VII.

I beczał wtedy, tak jak wszystko beczy,
Kiedy je w plecy coś surowo draźnie!
Lecz na cóż o tem... wszak to zwykłe rzeczy,
A najzwyklejsze pośród chłopów właśnie,
Gdzie człek do końca, aż kiedy zagaśnie,
Niby jak świeca, którą los zapalił
W nieszczęsnej chwili, by świeciła jaśnie
Na swe zniszczenie, jest na to, by żalił,
By męczył się i jeszcze kontent, los swój chwalił.

VIII.

Toż i mój Wojtek — takie bowiem imię
Dano mu na chrzcie, w pamięć apostoła,
Co choć snem wiecznym w świętem Gnieźnie drzemie,
Z srebrną infułą u bladego czoła,
Duchem, gdzie chłopska chata i stodoła,
Wnika wesołym, pierwszym słonkiem grzeje,
Pierwsze bociany na topole woła,
Pierwszem się okiem wolnych stawów śmieje
I nowe budzi życie i nowe nadzieje.

IX.

Toż i mój Wojtek od najrańszej doby
Musiał uczuwać, jak bieda nienackiem

Twarde dla niego gotowała żłoby:

Nikt się nie myślał pieścić z nim, jak z cackiem;

Gardziel, gdy płakał, zatykano plackiem,

Który matula upiekła w popiele;

A kiedy chory, w lekarstwie prostackiem

Dalej po radę: gotowano ziele,

Lub czary jakieś babsko zwiędłą wargą miele.

X.

Bo skąd rodzicom, choć, jak wosk, tak miękey,

Jakieś niezwykle robić tam zachody,

I skąd się troszczyć zbyt o los dziecięcy,

Kiedy od świtu, gdy zapłonie, młody,

Na cichem niebie skrå srebrnej urody,

Aż do późnego wieczoru, co skarby

Rzuca ostatnie w bezdenną głąb wody,

Trzeba pracować, że się ciało w garby

Przegina, że się twarze lśnią blademi farby.

XI.

Wprawdzie swą chatę mieli i w oborze

Krowę-staruchę i kawalek ziemi,

Gdzie żyto w cichym szumi rozhowerze,

Lub drży pszenica kłosy złocistemi,

Że człek, melodyj tych dźwięki sennemi

Ujęty, chciałby sam się zmienić w żyto,

Lub kłos pszenicy i tak szumieć z niemi,

W zamian za pieśń swą mając słodkie myto:

Te wieńce, które z rosy perłowej uwito.

XII.

Lecz, by utrzymać tę po ojcach schedę,

Co kilka korcy dawała omlotu,

By coś dorobić na starość, na biedę,

I aby dzieci rzucić bez kłopotu,

Gdy przyjdą czasy smutnego odlotu,

Trzeba, dopóki starczy świeżość życia,

I sił nie szczędzić i nie szczędzić potu,

Co z swego źródła, ze swego ukrycia

Rzęsistą spływa kroplą słońcu do wypicia.

XIII.

Więc on, gdy własne obrobił zagony,

Na co zbyt wiele nie poświęcał czasu,

Szedł za zarobkiem w te i w owe strony:

Rankiem, napiwszy żuru się lub kwasu,

Dalej z siekierą do pańskiego lasu;

Albo „na morgi“, skoro przyjdą żniwa,

Z kosą, dzień cały, jak wół, bez popasu;

A kiedy wieczór innych do snu wzywa,

On swoje ścina żyto i w snopki związywa.

XIV.

To znów jesienią do bliskiej cukrowni

Z kobiałką w rękę, okryty kireją;

A tak się pracą rozpala, jak główni

Kawał płomiennej i zysku nadzieją;

Za nic, choć czasem ludzie się pośmieją:

„Ej! wy Bartoszu, zapewne folwarki

Myślicie posieść; folwarki nie grzeją

Łyżką rosółu i kieliszkiem starki,

Gdy w zimny grób was wpędzi ta praca bez miarki.

XV.

Ani was w karczmie, ani was w mieście;
 Zawsze zdaleka, jak jaki zaklęty;
 A przecież życie nie na to nam płynie,
 Aby zaświerzbieć nie miały nas pięty;
 Trochę pohulać, mój ty Boże święty!
 Trochę się rozgrzać, wszak to nie zaszkodzi;
 Gdy człek domiesza pieprzu albo mięty,
 Czuje że krew mu bije jakoś młodziej,
 Że jakiś nowy duch się w starem cielsku rodzi“.

XVI.

„Ha! kto ma na to, niech sobie pohula!
 Ja-ć tam nie stary, więc też i bez wódki
 Jakoś mi ciepło! a pierzyn do Szmula
 Nie myślę nosić, aby zalać smutki;
 Skrzynkę zamykam zawsze na trzy klódki,
 Aby pokusa nie brała człowieka
 Szastać tem ździebkiem grosiwa; czas krótki,
 A chłopak rośnie, starość niedaleka,
 Pójsz żebrać? kto wie, jaki los nas jeszcze czeka“.

XVII.

Tak mawiał Bartosz. Ale od zabawy
 I on nie stronił, skrzypce on i tany
 Lubił; sam czasem zakasał rękawy
 I podjął skrzydła niebieskiej sukmany
 I „okrągłego“, gdy sąsiad kochany
 Żenił syna albo chrzczył córunię...
 Rad też, gdy grajek rzępolił pijany,
 Rzucił talarka: „Hej! na jednej strunie!
 A graj-że mi od ucha, szubrawcze! kołtunie!“

XVIII.

Lecz ucztowanie takie nazbyt rzadkie,
 Ledwie raz na rok. Trudno, chłopskie drogi
 Nie są tak kwietne i nie są tak gładkie,
 Jak je gotują innym dobre bogi.
 Kogo ujęła raz w swój uścisk srogi
 Ta nędzna dola, ten, choć znajdzie chwilę
 Słodkiego wczasu, rzuca wnet stan błogi
 I w trud powraca i w codziennym pyle
 Znow kroczy bez wytchnienia ku smutnej mogile.

XIX.

Wszak tu i rozkosz, jak się często zdarza,
 Łatwiej popycha w przepaściste ścieki:
 Naturę ludzką kałużą znieważa,
 Zamiast oczyszczać srebrzystemi rzeki;
 Gdy zakosztuje chłop jej raz na leki,
 Na zapomnienie biedy i niedoli,
 Ileż potrzeba sił mu, by na wieki
 Nie wpaść w tę otchłań i, gdy serce boli,
 Gdy troska piecze, kończyć w karczmisku z „mankolii“.

XX.

Bartłomiej Skiba, chociaż miękką duszę
 I choć miał serce, jak mównię, na dłoni,
 Nie wmawiał w siebie: „Dyć, kłopot przyprósze,
 Człek, choćby pragnął, trudno się obroni“,
 Tylko za pracą uczciwą w pogoni
 Szukał iekarstwa na nędzę i troski —
 Tak, że gadano: „on za parę koni
 Starczy w robocie, z niego chłop wśród wioski
 Najlepszy — widać, nad nim oko łaski boskiej“.

XXI.

Ale i ona, matka bohatera
 Nieromantycznej tej mojej powieści,
 Co jest prawdziwa i taka jest szczerą,
 Jak owa iskra, co się w sercu mieści
 Zwyczajnej chłopki i raz w żar boleści
 To znowu w radość jasną się rozpala
 I całą duszę, choć na chwilę pieści,
 Że cała dusza, jak jeziorna fala,
 Drży, szumiąc i w złociste blaski się skryształa —

XXII.

I ona dzieli zwykłą dolę męża,
 Tak, jak przysłało prostaczek kobiecie,
 Której się rzadziej czepia śliskość węża,
 Niż na tym wielkim, na tym pustym świecie,
 Gdzie na swą rękę jedno z stadła plecie
 Ze ziół trujących duszne marzeń wieńce,
 A drugie złoto swoje rzuca w śmiecie
 I czystość serca i wstydu rumieńce:
 Oboje smutnej hańby i przesytu jeńce.

XXIII.

Gdy on „na pańskie“ albo do fabryki,
 I ona z łóżka, nim się zmierzch rozwieje;
 Drzazgi w kominku roznieca w płomyki,
 W glinianym garnku trochę strawy zgrzeje
 Dla niego w drogę: a kiedy wysieje
 Całą garść blasków na zagony świata
 Olbrzymia zorza, dźwięcznym głosem pieje
 „Witaj jutrzeńko“ i kąty zamiata
 I w dzień tak swoją pracę jak w różaniec wplata.

XXIV.

To trza naprawić mężowską koszulę,
 To do jeziora, by wyprać pieluchy,
 Kacząt „rzęsy“ nawybierać w mule,
 To znowu w pole po karm dla staruchy:
 Ściąć trochę trawy i narwać łopuchy;
 Czasem w ogrodzie pokręcić się trzeba,
 Tutaj coś skopać, tam zlać zagon suchy,
 A nawet w żarnach na bochenek chleba
 Garść szrótu umleć z żyta, które dały nieba.

XXV.

Nieraz za orkę albo za furmanki
 Do gospodarza trza pójść na odrobki,
 Więc dziecko w płachtę, w rękę sierp i dzbanki,
 I tak odbierać, grabić, wiązać snopki,
 Że aż pot ciecze z czoła biednej chłopki...
 A Wojtuś w bruzdzie płacze, aż z płachciska,
 Kręcąc się, gołe pokazuje stopki.
 Nic to... dopadnie, w piąstkę kromkę wciska
 I znów powróło w rękę, sierp albo grabiska.

XXVI.

Często do miasta pod sąsiadki bokiem
 Pozostawiwszy na łasce dzieciaka,
 Z osełką masła lub marchwi tłomokiem,
 To z jajek mędlem, jeśli jaka taka
 Świeci pogoda, pędzi lotem ptaka:
 Często, gdy nagle potrzeb, nawet w słotę;
 Wszakże to życie jest, jak płaszczy żebra,ka,
 Wszędzie ma dziury, daje wciąż robotę:
 To soli trza, to nici, sukna na kapotę.

XXVII.

Więc się nie dziwcie, że w tej, moi drodzy,
 Codziennych zajęć strasznej zawierusze,
 Nie mają czasu ludziska ubodzy,
 Ażeby chuchać na swych malców dusze.
 Przeto tak rosną, jak na polu grusze —
 Nikt ich nie pieści, chyba słonko żywe,
 Co je w kwieciste naodziewa prósze:
 Jak rade wówczas, jak wówczas szczęśliwe!
 Lénia, błyszczą, rozszumiały w akordy senliwie.

XXVIII.

Zresztą, przyznaję, abyście przypadkiem
 O fałsz nie chcieli oskarżać poety,
 Że w zmrok was tuli, choć sam słońca świadkiem
 Że nazbyt wiele ciemnych farb z palety
 Nabiera swojej i tak wam niestety!
 Maluje życie tylko z smutnej strony,
 Kryjąc umyślnie rozkoszne podniety —
 Zresztą przyznaję: i tutaj złożony
 Poigrał czasem promyk wokół drzew korony.

XXIX.

Zwłaszcza, gdy „tata“ umiał już i „mama“
 I „papu“ cienkim szczebiotać językiem,
 Ojciec wieczorem brał go na kolana,
 Huśtał i szeptał: „jestem twym konikiem“ —
 A Wojtuś z śmiechem i dziecięcym krzykiem
 Rwał się do góry, chwytając go za szyję
 I „wio! wio!“ śmigał nad głową biczykiem,
 Aż mu w oczęta, jasne jak lilie,
 Znużenie swymi wargami ciepłymi się wpije.

XXX.

Wówczas go matuś kładzie w kolebinę
 I nachyloną twarz do niego tuli
 I „śpij, mój złoty! skarby me jedyne!
 Luli, mój synku! mój najdroższy, luli...“
 I tak się z sennym pieści i tak czuli
 I tak mu nuci: „o mój mocny Boże!“
 Aż w sen się skleją i oczy matuli,
 Aż nad kołyską i ją trud przemoże,
 By znów ją ze snu zbudzić, zanim jeszcze zorze

XXXI.

Zalśniły czerwone na lipcowym niebie,
 Nim blaski rana, na kształt złotych pszczołek,
 Wypoczną rojem na kwicistej glebie
 I pierwsze rosy spijają, z świeżych ziółek,
 Zanim się w siatkę, pełną kraśnych kółek,
 Przemieni woda, którą wietrzyk lekki
 Wzrusza, gdy nocny rzuciwszy przytułek,
 Idzie się z bratem porankiem, na wieki
 Połączon z nim tak wiernie, wykapać wśród rzeki.

XXXII.

O blaski złote! o ogniste blaski!
 O ty godzino promiennego wschodu,
 Czysta, jak one pierwocin obrazki —
 Pierwocin życia, bez chmury zawodu,
 Bez tych oddechów zabójczego chłodu,
 Które z północy luty wiew przywiewa...
 O złote blaski! jak się serce z młodu
 Tem waszem ciepłem rozkosznie rozgrzewa,
 By wcześniej się wyziębić i zginać, jak plewa.

XXXIII.

Kiedy podrastał mój bohater mały,
 Już-ci mu przyszło zaprząć się do woza
 Zwyczajnej pracy: z poranku, ospały,
 W pole na sporym kawale powroza
 Prowadził krowę tam, gdzie szumi łoza,
 Gdzie się tatarak we wądolcu chwieje,
 Albo na lasu kraj, gdzie tomentoza
 Rozwitym kwiatem z zarośli się śmieje
 I rani drobne palce, że aż krew się leje...

XXXIV.

To na przyrowki i na te przydroża,
 Gdzie ot! w słończku tak się złoć mlecze,
 Jak ona w duszy myśl o szczęściu hoża,
 Z swą się „staruchą“ pomalutku wlecze.
 A kiedy słońce nazbyt w główkę piecze,
 Popuszcza bydlę, siada pod topolą
 Albo pod żytem, nim je kosa zsiecze,
 Kraśne paznokcie obrywa kąkolom,
 Lub słucha, jak szum leci gdzieś za bożą wolą...

XXXV.

Nieraz z podziwu aż otwiera usta,
 Tak go ogarnia ciężki szelest kłosów;
 I okolica przed chwileczką pusta,
 Dźwiękiem nieznanych wypełnia się głosów;
 Skąd one płyną! czy z jasnych niebiosów,
 Na których białe pasą się owieczki,
 Ba! dużo bielsze, niż one ze wrzosów
 Młode jagniaci gospodarza Sieczki —
 Z pewnością mają wszystkie u karków dzwoneczki...

XXXVI.

Kiedy pod wieczór wróci do chałupy,
 Krowę przywiąże na noc do koryta,
 Gdy jej podłoży liści ze dwie kupy,
 Tak się matusi zaraz ewalem pyta,
 „Przez co się dzieje, że wej! one żyta
 Jak zacząć szumieć“, powiada, „to z niemi,
 Niby jakaś kapela ukryta,
 Gra coś na niebie i na całej ziemi
 Też buczy“ — tak jej mówi z oczu świecącemi...

XXXVII.

A matuś na to uśmiechnie się szczerze
 I ciekawemu tłumaczy chłopczynie,
 Że to Pan Jezus otwarł złote dźwierze
 Hen! tam u góry, w niebieskiej krainie;
 Że to anioły tak grają, aż płynie
 Dźwięk ten na ziemię, gwoli chwały bożej
 I gwoli dusz tych, co w jednej godzinie
 Tysiącem spieszą ku wieczystej zorzy,
 Rzucając nędzne ciało, które w grób się złoży.

XXXVIII.

Gdy główka spocznie na poduszce w kratki,
 Gdy się pierzynką przykryje „cycową“,
 Tak one dusze i anioły matki
 Nieraz mu skrzydłem trzepocą nad głową,
 Wszystkie bieluskie, jakby je kto w nową
 Przybrał koszulkę, niby w jego własną,
 Którą mu z wolą kupiła ojcową
 Matuś na targu ze wstążeczką krasną:
 Ba! wyrósł z tej dawniejszej — już mu jest za ciasną!

XXXIX.

Wręcz mu się widzi, że izbę caluską
 Wypełnia ciche bożych duchów granie,
 Lecz jeszcze miłsze, niż wczoraj, gdy z „muśką“
 Tak się wsłuchiwał przy tym żytnim łanie,
 Toć na postronka nie zważa targanie,
 Gdy gdzieś w lucernę ciągnie go starucha,
 Że wszystkie prośby tam na nic i łkanie —
 Tylko spokojnie tak słucha i słucha
 I sam się bodaj zmienia w niebieskiego ducha.

XL.

Nieraz na polu, gdy, skulony, marzy
 Na jakiej ścieżce, zarosłej krwawnikiem
 I oną trawą, co w wietrze się waży
 W tę i w tę stronę, upstrzona bezlikiem
 Jaskrów złocistych; albo nad strumykiem,
 Co przez sitowie sączy i rogoże,
 Gdy sobie siedzie, za „pasikonikiem“
 Goniąc oczyma, słodki sen go zmoże,
 A wtedy źle się dzieje, ratuj, Panie Boże!...

XLI.

Wtedy postronek z ręki mu wypada,
 Bydlak niecnota pędzi w cudzą szkodę,
 Nie zważa na nic: z żyta kłos objada,
 Że aż mu rośnie brzuch w prawdziwą kłodę;
 Wtedy to sąsiad, jak to mówią, wodę
 Czuje na wargach ze złości i leci
 Aby nauczyć niebożątka młode
 Trochę rozumu — trzeba chować dzieci:
 Tak bije, aż się w oczach Wojtkowi zaświeci.

XLII.

Lecz chłopaczysko zbudzone z marzenia
 Tak bezlitośnie, mrugnie okiem prawem,
 Coś się otrząśnie, poprawi odzienia
 I lży obetrze podartym rękawem;
 Spojrzy na żyto, co w świetle złotawem
 Mieni się całe i za krówskiem dalej;
 Choćby mu pewnie biegła krew upławem,
 Teżby nie było inaczej; ze stali
 Wzdyć nie był, lecz się jednak przed nikim nie żalił.

XLIII

Nie robił tego z jakiejś tam zasady
 Filozoficznej, za wielkim był na to
 Jeszcze smarkaczem; jeszcze nie znał rady,
 Którą podawał zapaleńcom Kato,
 Że gdy się spotkasz choć z największą stratą,
 Znoś ją spokojnie; rezygnacja wzniosła,
 Która za trudy darzy cię zapłatą
 W złocistem niebie, zmieniając się w posła
 Ewangelicznej prawdy, w kwiat w nim nie wyrosła.

XLIV.

Po prostu z tej się nie skarżył przyczyny,
 Że nie miał przed kim; matka, by się wrzaskiem
 Dzieciaka zająć, nie miała godziny
 Wolnego czasu, a zresztą niesnaskiem
 Nie chce się z starym poróżnić Karaskiem;
 Nieraz jej tłómkok zabierze do miasta;
 Tatuś to jeszcze poprawiłby paskiem,
 Lub do kościoła, choć się malec szasta,
 Nie zabralby: „siedź w domu“, rzekłby, „no i basta!“

XLV.

Zaś do kościoła, gdy przyjdzie niedziela,
 Lub jakieś święto wioszczynę odświeży,
 Wojtuś, jak iskra: uszczknie trochę ziela
 Za kapelusik, w lusterku się zmierzy,
 Czy mu kołnierzyk jako-tako leży;
 Podciągnie spodni, czuprynę przyglądzi,
 Potartą masłem niesłoniem; z odzieży —
 Sukmanki ciemnej — strzepnie kurz i sadzi,
 Aż „starzy“ się uśmiechną, strojnisiowi radzi.

XLVI.

I w domu bożym zachować się umie;
 Gdzie tego trzeba, przykłąknie — przykładnie —
 Ano-ć zgorszenia w tym pobożnym tłumie
 Niby nie daje; tylko kiedy wpadnie
 Proboszcz z ambony na łudek, że kradnie,
 Że cudzołoży, zabija — choć o tem
 Nikt tu nie słyszał — że pokusa, zdradnie
 Zdobna w jedwabie i obłana złotem,
 Otwiera piekło cicho, nie zgłośnym łoskotem —

XLVII.

Kiedy ta mądra oracja księdza
 Korne prostaczki do ryku poruszy
 I z serc skruszonych szatana wypędza,
 Których zbyt wiele ponoć w chłopskiej duszy;
 Kiedy się kapłan tak od gniewu puszy,
 Co świętym ogniem zlewa dwa księżyce
 I kark grubawy aż po same uszy,
 Memu Wojtkowi jakoś się żrenice
 Nie świecą, lży, jak groszek, nie cieką na lice.

XLVIII.

Toć nie dziwota: nazbyt młody jeszcze,
 Aby słów Pańskich mógł przeniknąć głębie
 I uczuć w sobie one silne dreszcze,
 Że człek się trzęsie, jak ów liść na dębie,
 Albo jak wróbel, gdy szpony jastrzębie
 Ujrzy za sobą śród szlaków powietrznych.
 Napróżno patrząc, czy w jakie nadzrębie
 Nie wciśnie szyi do schronów bezpiecznych,
 Miał dać ją, Bóg wie za co, do szpon krwawosiecznych.

XLIX.

Natomiast komża, bielutka, jak mleko,
 I wstęga jasna, co po komży spływa;
 One zapachy, co z kadzideł cieką
 I tak się kłębią, jakby jaka grzywa;
 Organ, co z jękiem i łękiem wygrywa
 Na chwałę bożą te pieśni prostacze,
 Aż siedmioraki miecz serce przeszywa,
 Że serce bodaj lży krwawemi płacze
 Na żal biednego ludu, na ludu rozpaczę —

L.

Nawet słów obcych niezwyčajne tony,
 Które naprzemian z starym organistą
 Ksiądz wyśpiewuje, do ludu zwrócony,
 Czarem w Wojtusia płyną duszę czystą,
 Aż oczy jego biorą barwę szklistą,
 A one wargi, co przed chwilą drżały,
 Strojne w koralu prześwieżość ognistą,
 Są, jakby róży kielich skamieniały:
 Zakłęły w nich zdrowaśkę lacińskie hejnały...

LI.

Wróciwszy do dom, już-ci zaraz duchem,
 Ledwie, że gębę po obiedzie zmyje,
 Nakrywa plecy matczynym fartuchem
 I pas ojcowy przewiesza przez szyję.
 I po dziadusiu, co dawno nie żyje,
 Wziawszy „Nowennę“, częstochowską księgę,
 Wręcz po „łacińsku“ śpiewa litanje,
 Że śnać wyśpiewa całą płuc potęgę.
 Prawdziwie, jak ksiądz, strojny w ornat i we wstęgę.

LII.

Stąd też rodzice, patrząc na synalka,
 Śmieją się w duszy, jakby złotu radzi:
 „Wiesz ty“, powiada stary, „wiesz, Rozalka,
 Na chwałę bożą służyć nie zawadzi;
 Pamięta, mówią, Bóg o swej czeladzi,
 Znać, że chłopaka ku temu już stworzył;
 Toć na majątek człek się tam nie sadi,
 Lecz gdyby kupkę niewielką też złożył,
 Bóg Sam wie, jakiej jeszcze pociechy-by dożył...”

LIII.

Wszak umiesz czytać, nie lękaj się znoju
 I weź Wojtusia, choćby tak na próbę —
 Ja bo do tego nie mam już spokoju;
 Może i pisać — me ręce za grube;
 Poucz, niech wyjdzie rodzinie na chlubę;
 Gdy pójdzie dobrze, to człek jeszcze zdrowy;
 A zresztą dalbym całą nawet hubę,
 Byle coś było... dyć i ksiądz z Olchowy
 Z biednego ponoć stanu — też-ci pasał krowy...”

LIV.

Tak sobie nieraz przekładają „starzy“,
 Siedząc w izdebce lub wracając z pola...
 Bartosz już naprzód w głowie sobie waży,
 Jaka to szczęśna będzie kiedyś dola,
 Gdy tak z ambony... anoć boża wola
 Niby we wszystkim... Panie, broń od pychy...
 Lecz jak to ładnie... tsia! niech pójdzie rola,
 Niech pójdzie chata!... człowiek umrze cichy,
 Gdy ujrzy, że syn jego to nie prostak lichy.

LV.

I matuś na to zaraz jak na lato,
 Do cnej roboty zabierze się skoro;
 Gdy przyjdzie z pola, poskromi się z chatą,
 Zajrzy, czy w dobrym porządku obora —
 Jak tam wypadnie: z południa, z wieczora
 Daje chłopczynię „alamentarz“ w rękę
 I, nachylona, z głoskami się pora
 I „a-a, be-be“, śpiewną pocznę mękę,
 I Wojtuś „a-a, be-be“ powtarza piosenkę.

LVI.

O wieku złoty! niepowrotnie czasy!
 Jakim wy dziwnym oblane urokiem,
 Jakież wy pełne przecudownej krasy!
 Kiedy pod matki uwielbianej okiem
 Stajemy pierwszym, chwiejącym się krokiem
 Na onej drodze, co się cierniem ściele!...
 O wieku złoty! dzisiaj leż potokiem
 Zlewany szczęścia niedokwitłe ziele.
 Żar przyszał, serce zwiędło, trud zabrał wesele!...

LVII.

Wnet się matczyne skończyły zasoby,
 Wojtuś już przeszedł elementarz cały,
 Więc znowu stary rzeczce jednej doby:
 „Pewnie-ć, kobieto, ten „gieszeft“ za mały:
 Trzeba coś więcej; z folwarku słyszały
 Też o Wojtusiu panienki: „godzinę“:
 Mówią, też rade-by chłopczysku dały...
 Nie chcemy darmo... masła ośleczynę —
 Lub czasem coś się zrobi — toć przecie nie zginę...”

LVIII.

I tak na dalszą szedł Wosio naukę,
 Choć nie do dworu, jednak dworu blisko:
 Gorzelniczanki ponoć znały sztukę,
 O jakiej żadne nie marzy chłopisko;
 Były „we szkołach“, widziały ognisko,
 W którym się prostak na mędrca przetopi,
 Jak na stal świetną zwykle żelazisko;
 Przytem mówili chłopci i niechłopci,
 Obyczaj u nich święty, zła nikt nie wytropi...

LIX.

Już do kościoła, na mszę czy różaniec,
 Oweć panienki szły zawsze przykładnie,
 Że ksiądz, wiedziały, boży pomazaniec
 I że się umie zaczesywać ładnie,
 Gdy państwo we świat, jak nieraz wypadnie,
 One przed ołtarz w kolatorskie ławy —
 Zawszeć pańskiego miały też coś na dnie:
 Matka po hrabi czy księciu; tej sprawę
 Nikt pewnieby nie zbadał, Boże mój łaskawy!

LX.

Były niczego te gorzelniczanki,
 Czy ekonomskie córki, zbyt nie pomnę;
 Co do figury, już-ci jak dwa dzbanki
 Greckiego kunstu; przytem bardzo skromne,
 Chociaż z pod rzęsy żrenice ogromne
 Takie ci w serce zapuszczały miecze,
 Że gdyby były twe zasady złomne,
 Byłbyś był musiał sobie rzec: człowiecze!
 Patrz! wpadłeś aż po uszy — któż cię stąd wywlecze?!

LXI.

Lubili bardzo grywać na gitarze —
 Był to instrument w owych czasach modny —
 I, co z tem zawsze zwykło chodzić w parze,
 Śpiewały przytem, choć nie zawsze zgodny
 Bywał ich akord... We wieczór, acz chłodny,
 Szły przede dworek i, zwracając oczy
 Ku księżycowi, jak gdyby był głodny,
 Hymn na wieczercę ślały mu uroczy,
 A smętny, aż im samym nieraz łza się stoczy.

LXII.

Często bywało, matula przez okno,
 Gdy miesiąc skrył się i wieczór był dżdżysty,
 „Dziewczęta“, woła, „toć wam lby pomokną,
 Chyba was szatan opętał nieczysty,
 Żeby tak kusić“. One: „promienisty
 Tak nas opętał księżyc, co przyświeca,
 Do serc nam czułych lejąc zdroj srebrysty,
 Tyś prozaiczna, on cię nie zachwyca
 Lecz my, o mamó! tęsknim, tęsknim do księżycy“.

LXIII.

I tak tęskniły miesiąc za miesiącem,
 Aż po wsi całej baby w głos zapieją:
 „Dziwne się rzeczy działy już pod słońcem,
 Lecz dyć nie takie, jak się dzisiaj dzieją.
 Jeszcze dni kilka niech przejdzie kolejną,
 A dwie kurzyce tak'e jaja zniosą,
 Że...“ i znacząco z sobą się pośmieją
 I „sza!“ poszepcą: „oj, siewały rosą
 I z rosą będą sprzątać, Bóg dał ziarna kłosom!...“

LXIV.

Nareszcie przyszło prorocत्व rozwiązanie,
 Lecz z takich sprzętów nie zawsze wesele,
 O, i nie zawsze takie żniwobranie
 Przychodzą zapieć drodzy przyjaciele.
 Matula piskiem, jak organ w kościele
 Źle nastrojony: „a skąd takie sprzęty?..
 Perzy się, sapie i językiem miele,
 A one cicho: „ten wieczór przeklęty!“
 A głośno: „to był księżyc, mamó, lub — duch święty“.

LXV.

To był duch święty... Chłop, jak dębczak, młody,
 Kuba Józwowej stał w te wieczory
 Tuż wedle domku za płotem i zgody
 Ze swoim wnętrzem nie miał od tej pory.
 Gdy się nachylał, aby przez otwory
 Zobaczyć twarz ich, księżycem oblaną,
 Czuł jakąś słabość, zdawał się być chory,
 Jakoś mu dziwnie gięło się kolano,
 Jak żyto, gdy je rosa, zacznie plukać rano.

LXVI.

„Ej, roso! roso! tyś już niejednemu
 Wyżarła oczy; nie wiem, co też ze mną
 Stało się dzisiaj!“ Tak on miesięcznemu
 Skarżył się światłu w pewną noc przyjemną,
 Troszeczkę jasną, a troszeczkę ciemną,
 Jak zwykle bywa gdy włosy srebrzane
 Na polu księżyc był obciął, w nadziemną
 Idąc pokutę, zwłaszcza, gdy rozwiane
 Rozpoczną nucić trele wiotkie gorzelniane.

LXVII.

A zatem nie dziw, że te smutne tony
 W sentymentalnem ozwały się echu
 I w duchu chłopca. Ten duch, acz zbiedzony,
 Będzie to gładkim paniczom do śmiechu —
 Nie zawsze chrzęści, jak gdyby był w miechu,
 Często ma odgłos dźwięczny, jasny, równy,
 Często swawolny, bez obawy grzechu,
 A że dziś trochę był za tęsknomówny,
 Gorzelniczanki winne, czy ekonomówny.

LXVIII.

Te siedmiorzędne moje bohaterki,
 Czuając, że chłopskie wzdychania za płotem
 Nie są tęsknicą za kawalkiem szperki,
 Uznały nagle, że im serce młotem
 Podwójnym bije, raz za światłem złotem,
 A raz za Kubą; i chcąc rzecz tę sprzeczną
 Jakoś załatwić, osądziły lotem:
 Z nim razem można wejść na drogę mleczną
 Marzenia i tak prześnić ach!... ach!... dobieć wieczną.

LXIX.

Więc w stronę Kuby, co stał bezjęzyczny,
 Jak gdyby czegoś się bardzo zatrwożył,
 Wyjęknał naraz: „chodź tu, chodź! nasz śliczny;
 Bodajęś z nami razem szczęścia dożył!”
 Z jękiem się akord, jak wulkan, nasrożył
 Lub jako morza balwany spienione...
 Wtem znów im księżyc, wypłynawszy, złożył
 Swe blade ręce na piersi wzburzone
 I tony już spokojne zwrócił w Kuby stronę.

LXX.

On rósł, jak gdyby rozparły go młodzie
 I, wytrzeźwiony swych pragnień wynikiem
 Niespodziewanym, rzekł: „A nie tu w ogrodzie,
 Ta, to, panienki, lepiej za chlewikiem.
 Ojczulo mawiał — świeć nad nieboszczykiem,
 Panie, wieczyście — ja sam kupię łoju
 Na cztery świeczki — mawiał: — dyć też smykiem
 Nie bądź ty, Kuba, a jeno w spokoju
 Kobiety zawsze szukaj i szczęścia przy gnoju.

LXXI.

I prawdę mawiał: z prostego pacholka
 Na bogatego wyrósł gospodarza
 I nie zadłużył się nigdy u Wolka,
 Jak się to dzisiaj we wsi często zdarza;
 O tak, panienki! Wczoraj u młynarza
 To ci dwie krowy sprzedali, choć żniwa
 Były mu plenne... widać, tak nie zważa,
 Jak mój tatulo, na gnój, który bywa,
 I w gębę brał — toż dla mnie zostawił grosiwa...”

LXXII.

Ano z początku dziwną mi się zdała
 Ta gospodarna, przemądra oracja;
 Jedna i druga na swem ciebie drżała,
 Jak wieszcz, gdy tłusta minie go kolacja.
 I ta miłosna szybko pertraktacja
 Byłaby poszła, jak mówią, za płoty,
 Gdy w tem odważna odkryła Audacja,
 Że to jest objaw wieśniaczej prostoty,
 Że za tą szorstką skórą duch miękki i złoty.

LXXIII.

I w uniesieniu zawołały razem:
 O najmilejszy! o ty Kubo prosty!
 Ty jesteś dla nas księżyc obrazem,
 Pójdziemy chętnie przez rowy i osty,
 Nie uważając na krew i na chłosty,
 Gdzie nas powiedzie twa postać nadobna...
 A on im na to: „dyć, ja wolę mosty,
 Tak leżć przez rowy, to podróż chorobna,
 I potem też tak razem — toć lepiej z osobna...”

LXXIV.

Snać przekonali mądre argumenta
 Czule siostrzycki — od tej bowiem chwili
 Jakoś się wspólnie nie czuła bliźnięta,
 Jedna i druga osobno się mili —
 „Dokąd Audasiu?” „Ach! tam słowik kwili
 I księżyc świeci! idę do słowika”.
 Potem wróciwszy, nucąc: la! la! li! li!
 „Dokąd Tenasiu?...” „patrz, jak księżyc znika,
 Nim zniknie, chcę się zagrać u jego promyka...”

LXXV.

I tak się grzały... Lecz dla Wosia mego

Nie jeden ptak się z tej sprawy wypierzył:

Rodzice malca, widać, dobrze strzegą,

Więc, gdy się rozgłos po wiosce rozszerzył,

Że siak i owak z pannami, nie wierzył

Z początku Skiba, że panny pobożne,

Którym sam Pan Bóg tyle łask odmierzył,

Na takie mogły wejść manowce zdrożne —

Lecz potem go o syna zdjęły myśli trwożne.

LXXXVI.

Trza było innej szukać szkoły

.

PIEŚŃ II.

I.

I czym rozpocząć pieśni księgę drugą?

Czem sobie zjednać czytelników łaski?

Ukorzyć czoła przed wielką zasługą,

Co zwała wszystkie pozłociste blaski

Z muz helikońskich, dając im przepaski

Z skóry kowalskiej, a nie też płótno szare

Naokół bioder — a w rękę obrazki:

Modele maszyn, cyrkiel, młot i miarę

I tak im każąc dźwigać snąc piekielną karę?...

II.

Odkąd rzemiosło i przemysł „rodzimy“

Przybrały hasła najszczytniejszych znamię,

W karły się dawne zmieniły olbrzymy,

A olbrzymami ci, co siedzą w kramie;

Odkąd stan średni mówi chłopu „chamie!“

Co niegdyś mawiał zwykły szlachcic wąsaty,

Słusznie, gdy kark swój i poeta łamie,

Kiedy rozwiewa swego płaszcza szmaty

Przed siłą, co łni złotem, i co zbawia światy.

III.

Wszystko już było na tym grzesznym świecie,

Powiedział niegdyś Ben-Akiba rabi,

I wy to pewno w porządku znajdziecie

Gdy przed ideą, która trzosem wabi

Gną się nie tylko tacy ludzie słabi,
Jak moja miłość, lecz i one zbawców
Społecznych wzory, co mają... skrzek żabi,
Patriotycznie broniąc wszystkich ssawców —
Że ja też część tę pocznę od kupców i krawców...

IV.

Nie mogłem, wiecie, stać się nieśmiertelnym,
Choć dotąd wierszy-m napisał bez liku;
Zawsze goniłem w rozpędzie piekielnym
Na swym skrzydlatym, Bóg wie, gdzie koniku —
Gdzie promieniącą w przeczystym promyku
Jakaś tam miłość, jakaś prawda władnie —
Wprawdzie bez łocia, jarmarcznego krzyku,
Bez tych zachwał, które płyną składnie,
Jeżeli zwłaszcza dudka usidlić wypadnie.

V.

Więc może wtedy, gdy, wytrzeźwion z jazdy
Onej niezwyklej, każę leżać swej szkapie
W stronę, gdzie kupiec, licząc złote gwiazdy
W żelaznej szafie, w łysinę się drapie,
Lub zadumaną twarz ukrywa w łapie,
By poetyczne zataić wzruszenie,
Które zbyt chętnie wysmiewają gapie,
Może więc wtedy — o precz wszystkie cienie! —
Nieśmiertelności na mnie spłyną stąd promienie.

VI.

A więc od kupców — macie we mnie posła
Kupieckiej cześci i kupieckiej sławy.
Jakaż to rozkosz szlachetna, podniosła,

Gdy zbraknie cukru, herbaty lub kawy,
Liści bobkowych, gwoździków do strawy,
Kminku, imbiru, pieprzu, cynamonu,
Tęskną ulatać myślą na łąk Jawy,
Nad brzeg Gangesu, w zapachy Cejlonu,
Lub gdzieś pod murem chińskim marzyć aż do skonu!...

VII.

Lub jaki czar to wieje w tym przypadku,
Gdy zobaczywszy, że ostatnie spodnie
Nazbyt się mocno wytarły na *złoty*
Umiesz się przenieść, gdzie jak istne kłodnie
Piętrzą się stopy materji lub modnie,
Z szykiem paryskim wyrobione „sztuki“,
Gdzie krępy majster patrzy na świat godnie,
Dumny i szczęśliwy, że jego nauki
Owoce umiać cenić gładkie szlifobruki.

VIII.

Jakich obrazów stąd fantazja pełna,
Jakich refleksyj strzelają potoki!
Oto na przykład patrzcie, co za welna:
Ich właścicielki pasły się, gdzie stoki
Gór andaluzyjskich leca w jar głęboki,
Lub gdzie bifsteków i Lira kołyska
W mgieł Manfredowych otulona zmroki,
Lub cień swych ruin Bagiczysaraj ciska,
Gdzie śni przy szmerze fontan zaklęta huryska...

IX.

Albo ta derka! albo ta koszula!
W podwójne garby zbrojne dromadary

XV.

Ano, rzecz prosta! Gdy się już tak stało,
 Że iść miał Wojtuś pomiędzy uczebne,
 Więc zaopatrzył się w groszy немало;
 Surdut potrzebny i „korty“ potrzebne;
 „Czasy-ć dzisiaj, prawda! mało chlebne,
 Lecz jakoś pójdzie; człek uchowa bydłę,
 Więc też“, tak myślał, „to i owo zgrzebne,
 A i robota idzie, jak po mydle,
 Powróci się ta strata na jastrzębiem skrzydle...“

XVI.

Tylko z kupcami nie mógł przyjść do ładu,
 Tu nie do gustu, tam znów trochę słono —
 „A! panie kupiec, ino nie z pośladu,
 Lecz coś lepszego; pogadałem z żoną,
 I ona myśli, że się godzi pono
 Wziąć w takim razie niby coś od święta;
 Bo to mój chłopiec głowę ma uczoną,
 Idzie we szkoły, pomiędzy panięta,
 Sukmanka zawszeć nie jest podług tego cięta...“

XVII.

Gdy się skończyły wszystkie tarapaty,
 Herszek wyprężył całą moc swej „sztuki“ —
 Wiedział, że Skiba nie był też od straty,
 Choć tak pracuje, jakby już na wnuki —
 Wtedy mój Wojtuś wreszcie szedł na nauki;
 Ojciec za rękę schwycił sam chłopczynę
 I w gmach go powiodł, strojny w kręte łuki,
 W gipsowe gzemy, we figury sine,
 I rzekł mu, wprowadziwszy: „Tu, złotko jedyne...“

XVIII.

Śmiechem młodego przyjął towarzysza
 Chór małych paniąt... Gdy się lekcje poczną,
 Gdy grzmi profesor, iżby była cisza,
 Jeszcze się wszystko zwraca w ławkę boczną,
 Gdzie siedział Wojtek... Zrobiło się mroczno
 W oczach malcowi i od razu cały
 Splonął, jak burak; toć rzeczą widoczną,
 Że to się z niego te „paniczki“ śmiały,
 Aż świerszczki im, jak krople, w onych „ślepkach“ drżały.

XIX.

Cóż za dziwota? nowiutki mundurek
 Jakoś nie bardzo przylegał do ciała;
 Wisiał po bokach, naksztalt onych skórek,
 Które Jan święty, co gromił pyszałka,
 Króla Heroda — zanim jeszcze śmiałka
 Ściał miecz katowski —, wokół biodr swych wieszał,
 A takie dzieci zawszeć, jak zapałka,
 Łatwo się palą... Darma się pocieszał
 Mój Wojtuś, że się skończy: śmiech się z gwarem mieszał.

XX.

Przytem podbite miał ćwiczkami buty,
 Bóg wie, na czyje przykrajane nogi,
 Stąd malcy szepcą: „to jak koń podkuty“,
 Ilekroć chłopak wszedł za szkolne progi.
 Ojczyśko myślał: „duży-ć kawał drogi,
 Więc trzeba „skorzni“ niby nie ladaco;
 I zima przyjdzie, mróz zawita srogi,
 Włożyć wiechetek... zresztą ludzie płacą —
 Nikt darmo nic nie robi — trzeba wiedzieć, za co...“

XXI.

Prawda, do szkoły pewnie miał z pół mili
 Lubo może więcej; ano-ć Bartosz biedny,
 Więc na „pensje“ żadne się nie sili...
 Matka co rano — chłopak nie wybredny
 I biedy jeszcze zażyje nie jednéj —
 Wetknie mu sera, ze trzy kromki chleba,
 Czasem słoninki smacznej, „nieobrzędnej“,
 Jak mówią ludzie i jak tego trzeba,
 Przeżegna go na drogę: „Biegaj w imię nieba...”

XXII.

I Wojtuś spieszy razem ze skowronkiem,
 Szarym śpiewakiem, co nad gniazdkiem nuci
 Z góry, w obłoczkach; razem z kraśnem słonkiem,
 Kiedy kraśniejszą jeszcze zorzę rzuci;
 Razem z tą wierzbą, co się rankiem klóci
 Z dosłyszalnemi ledwie szepty wiewu,
 Z tym swawolnikiem o miłosnej chuci.
 I — niby też tak udaje, że z gniewu —
 Rozkoszne roni łezki w takt ptasiego śpiewu.

XXIII.

I jemu nieraz poranek różowy,
 Pełen melodyj i szeptów tajemnych,
 Rozwiąże usta do dziwnej rozmowy
 Z szelestem trawy lub z dźwiękiem nadziemnych
 Onych pieśniarzy, jak życie przyjemnych —
 O śmiechach wtedy zapomniał — jak życie,
 Ach! bez tej troski i bez plam tych ciemnych:
 „Kołysz się, trawko!“ pocznie szeptać skrycie,
 Lub „Kiedy ranne wstają“ utopi w błękiecie...

XXIV.

Tak przejdzie lato... Zimą, kiedy spadną
 Zaspy śnieżyste na uśpione łąny;
 Gdy nade drogą topole pobladną
 I żółkną liczne szmaragdów dywany,
 Gdy zmilknie ptasząt dźwięczny chór, rozgrany,
 Niby tysięczne na niebie kapele,
 Ojciec go nieraz bierze na „barany“
 I na pół drogi, co się śniegiem ściele,
 Poniesie, „by też dziecku ulżyć małowiele...”

XXV.

Czasem po szkole, gdy się niebo chmurzy,
 Gdy się zbyt straszne sypią zawieruchy,
 Trudno do domu wracać w takiej burzy —
 Jeszczeby zblądził w wieczór ciemny głuchy —
 W czas ten przy „krzyżu“ nawet straszą duchy,
 Więc na probostwo, jak się z bożym sługą
 Umówił ojciec. Tu, między pastuchy,
 W czeladnej, tyknie łyżkę jedną, drugą,
 A potem do owczarni, przespać nockę długą...

XXVI.

Nie będę zacnych czytelników nudził
 Nazbyt szerokim, rozwlekłym wywodem,
 Jak się nad książką mój bohater trudził,
 Walcząc w izdebce z półmrokiem i chłodem:
 Kiedy sen spłynie słodkim, lepkiem miodem
 Na spracowane, wybiedzone kmiecie,
 Gdy kury posną, naderszale lodem,
 Gdzieś na przypiecku; wtedy chłopskie dziecię
 Zasnuwa się, jak pajak, w swej nauki siecie...

XXVII.

Na stole kawał stłuczonej skorupy,

A w niej w okrasie barchanowy knotek
Miga, jak żywy, gdy w środek chałupy

Przemknie się czasem, snąć w celu pustotek,
Mroźnawy wietrzyk; zęby, jak ów młotek,

Gdy chłop na „babce“ w żniwa kosę klepie,
Prawie tak dzwonią: to nie! istny kotek,

Skuli się w kabłak, lub, jak ptak, się strzepie
I, pięścią trąc, rozkleja te „nieznośne ślepie“.

XXVIII.

To gramatyka, to miła algebra,

Nieraz do później zajmują go nocy,
Aż krzyże wisną, aż go bolą żebra

Od wybierania tych rajszych owoc;
Nieraz potrzeba „ducha“ całej mocy,

By z jakąś składni porać się zagadką,
Aż rozwiązanie, jak ta kula z procy,

Wystrzeli z głowy, co niby jest klatką
Przeróżnych ptaków „wiedzy“ lub — starganą szmatką.

XXIX.

To znów z pomocą bakalarskich szczudeł

Pnie się, podrósłszy, na Parnasu szczyty,
Garstką z kastalskich czerpie napój źródeł.

Homerowemi olśniony błękity;

Z Horacym stawia pomnik niespożyty,

Nad piramidy trwalszy i nad spiże,

Tylko lepczycą straszliwie owity,

Co go mądrości szkolnej szczecią liże, —
Lub piersią wdycha wonie Wirgilego świeże

XXX.

Tak! co za zapach w onych pieśniach czysty!

Zazdrościć blasków tych starożytnikom!

Tutaj niezwykle, patrzcie! aorysty,

Co się nie śniły żadnym prozaikom;

Tam znów dygamma, bodaj eolikon,

Tu anakruzys, a tam dwa spondeje,

Miał — Bóg wie, czego... W sporze z gramatyką

Tu zwrot się jakiś, niby satyr, śmieje —

Wyliczyć wszystkie cuda, daremne nadzieje!...

XXXI.

O pieśni dawne! o wspaniałe pieśni!

Dziś jeszcze krocym śladem waszych wzorów

Lecz bez tej śniedzi, bez grzybkowej pleśni,

W którą was kryje mądrość profesorów!

Wy macie urok tych jasnych wieczorów,

Kiedy gwiazd tysiąc nad wodami pała,

Lub blask południa, woń mirtowych borów

I nieskalany czar nagiego ciała

Dziewicy, co dopiero z słodkich marzeń wstała...

XXXII.

Wy macie siłę onych wielkich mężów,

Półbogów macie potężną wspaniałość,

Rykiem lwa grzmącą w takt srebrnych orężów,

Na przeniewierstwo i wroga zuchwałość;

Mądrość się kryje i rozumna dbałość

We waszem wnętrzu o skarby żywota;

Sentymentalna obcą wam ospałość,

Lecz jedność jara, niby iskra złota,

Poucza: cnotą rozkosz, a rozkoszą cnota!

XXXIII.

Giętkie jesteście, jak ci zapaśnicy,

Co w świętych Delfach lub gajach Istmosu,

Z zapalem w piersi i z ogniem w żrenicy,

Którą rozpalil cud waszego głosu,

Czarują tłumy, zbite nakształt stosu,

Tęgością mięśni i zręcznemi członki.

I tłum, z szczęsnego zadowolon losu,

Co daje zdrową rozkosz bez oslonki,

W dłoń klaszcze, chwieje czoła, jak oliwne płonki.

XXXIV.

Ileż barw tutaj! ileż we was życia!

Tam Zews grom rzuca; tu się Helios toczy

Na złotym wozie; z leśnego ukrycia,

Jakaś driada wychyla tu oczy,

Tu się chór najad kapie w wód przeźroczy.

Tam z oczekiwań pobladła Selene;

Tu się Demeter skarży, tam ochoczy

Graniem swem leśną Pan wypełnia scenę;

Tam! patrzcie — ona wstaje, Anadiomene!...

XXXV.

O zbliż się do mnie, w całym swym uroku

Zbliż się, o boska! ty, co z głębin morza

Wstajesz i w światła porannym potoku

Kąpiesz swe ciało i płoniesz, jak zorza.

O nieśmiertelna rozkosz! o hoża

Swą dziewiczością wieczystą — rumieńcem,

Który nie gaśnie, choć się dotkniesz łoża:

O zbliż się! zbliż się i swych ramion wieńcem

Przyciśnij mnie do piersi — jam dziś twoim jeńcem!...

XXXVI.

Co? to jest cynizm? orgja?... Wojtek Skiba

Nie weźmie ze mnie przykładu... po temu

Lat jeszcze nie ma, choć świeży, jak ryba,

A wy, panowie, co mi tak ku złemu

Macie mój system, i wy bez systemu

Wszak nie jesteście, jak dwa a dwa cztery:

Nie córce, morskiej, bóstwu niewinnemu,

Ale z systemem, co jest bardzo szczery,

Składacie hołd tiurniurze ulicznej Wenery!

XXXVII.

Ale nie sądźcie, że i mój bohater

Marzył o cudu z srebrnych pian porodzie...

Nie! wówczas jeszcze ów miłosny krater,

Co młode serca rwie, pali i bodzie

Piekącą lawą, że tam już o wodzie

Ani pomyśleć — ratunek daremny! —

Nie miał w nim Etny. O głodzie i chłodzie

O atomicznej styczności wzajemnej

Nie czytał Arystypa teorii przyjemnej...

XXXVIII.

Arystyp!... Boże!... Lubię filozofy

I tych pieśniarzy, co z babska nie płaczą,

Lecz z życia śliczne układają strofy,

Namiętne, zdrowe, wyblakłą rozpaczą

Nie zaprawione — bachantki, co skaczą,

Wpół pijanego czcząc Dionizosa;

Strofy, co mlekiem i miodem nas raczą,

A tak się błyszczą, jak tysiączna rosa

Na polach, gdy się w słońce przystroją niebios...

XXXIX.

Lecz może znowu powód do obruszeń
 Na tę „moralność materialistyczną“,
 Która „śliskością wężowych pokuszeń“
 Żądzę nam w łonie obudza dziedziczną,
 Tę chuć zwierzęcą, hydrę stujęczną,
 Wyciągającą lubieżne języki
 Po oną słodycz, po tę krasę śliczną
 Niedozwolonych owoców, że krzyki
 Tu płone wszelkiej „czystszej, duchowej“ etyki...

XL.

Na miłość blasków porannego słońca
 Nie posyłajcie mnie jeszcze do piekła,
 Gdzie pono ciemność leje się bez końca,
 I czarna smoła, od żaru rozciekła,
 I skąd, gdy duszę w tę otchłań urzekła
 Wasza moralność, już niema powrotu;
 Na woń tych kwiatów, których nie zesiękla
 Ręka, co wszystko dziś poświęca błotu,
 Rozwińcie ze mną pióra do dalszego lotu!...

XLI.

Mój Wojtuś nie był materialistą...
 Rósł, a z latami gdy i wiedza rosła,
 Żądza mu duszę jęła kiełzać czystą;
 Co marzeń cudnych czar za sobą niosła:
 W łódź wchodził złotą, złote chwytal wiosła,
 I tak szybował po bezmiernej fali.
 Olśnionej blaskiem dziewiczego posła,
 Co spłynął z nieba, co się słońcem pali
 I nęci go z sobą wciąż dalej i dalej...

XLII.

I wiatr się rusza i toń cała dźwięczy,
 I brzmi powietrze i ziemia dokoła,
 Że z niemi razem śpiewa duch młodzieńczy,
 Wpatrzon w oblicze jasnego anioła,
 I zachwycony z głębi duszy woła:
 „Posłańcie boży! promienisty Grachu
 Z nieśmiertelności koroną u czoła!
 Odurz mnie siłą rajskiego zapachu —
 Tą siłą dumnej skroni i tych ócz bez strachu!

XLIII.

O Winkelrydzie! o odważny Tellu!
 Nad gór rodzimych niebotyczne wieże
 Duch wasz, porwany wspaniałością celu,
 Płomienne skrzydeł swych roztoczył pierze!
 O ty posępnych cierpień bohaterze,
 Wyrosły z wnętrza rozdartego ducha,
 Anelli! błady, jak śnieżyste leże
 Onych skazańców, zrozpaczon, jak głucha
 Głęb kopali, gdzie młot tylko brzmi i szczęk łańcucha!“

XLIV.

To znów marmury dziejowego dłuta
 I niedościgłe twory wyobraźni,
 Które tworzyła, nieraz jadem truta,
 A jednak zdrowa — jadem lez i kaźni,
 W całość się w bratniej zlewały przyjaźni,
 Prawda, z początku mglistą i niepewną,
 Ale z dniem każdym patrzącą wyraźniej
 Natchnioną twarzą Chrystusa, pokrewną
 Z niebieską tonią, słońca blaskami ulewną.

XLV.

Patrzcie! wnet twarz się promieniująca chmurzy!
 Patrzcie! wnet gibka ta się postać zgina
 Pod ciężkiem jarzmem bolesnej podróży
 Za serc zdobyczą... Patrzajcie! godzina
 Dla człowieczego już nadeszła Syna:
 Jak chmur płachciska, już się tłuszcza zbliża,
 Nad ściek plugawszą, jadem złości sina —
 Postać Judasza prowadzi ją ryżą
 I krzyczy: „Hej! z zbrodniarzem do krzyża! do krzyża!...”

XLVI.

Kona Zbawiciel!... Noc już dzień przyémiewa;
 Wieczorna gwiazda patrzy na konanie,
 I Wojtuś patrzy... Z cedrowego drzewa
 Splywa głos cichy, jak najcichsze granie:
 „Wojciechu, słyszysz?...“ „Słyszę, Chryste Panie!“
 „Widzisz tę gwiazdę na tem mglistem niebie?“
 „Widzę!...” „To prawda ma tak ciemne ślanie,
 Jak ja, idź za nią o zebraczym chlebie:
 Dla bliźnich żyj! cierp za nich! nie chciej nic dla siebie!“

XLVII.

To egzaltacja? o kupieckie dusze!
 Przed wami w własnym padnę interesie,
 Chcę zrobić gieszeft, czek wam podać muszę,
 Zacni maklerzy, co mi coś przyniesie:
 Obniżę poziom mej pieśni... Wszak w lesie,
 Obok wyniosłej, niebosiężnej jodły
 Rośnie krzewina, co jałowcem zwie się...
 Słusznie, gdy skrzydła, co was w górę wiodły,
 W dół skręca, trochę brudny i troszeczkę podły...

XLVIII.

Nie nie chciał Wojtuś dla siebie; tak za nic
 Miał niby swoją osobę; dziwoty
 Żadnej w tem niema, boć przecie od granic
 Najpierwszych latek aż do dziś, gdy złoty
 Spłynął nań promień i brał go w swe sploty,
 Uwite z wiedzy i marzeń, wokoło
 Nikt jakoś w sobie nie uczuł ochoty,
 By mu powiedzieć, że coś wart, że czoło
 Powinien dumnie podnieść, spojrzeć w świat wesoło...

XLIX.

Miłość rodziców była tą miłością,
 Jaką otacza suka swe sześcienią:
 Jak szpik, co chłopskim właściwy jest kościom,
 Silna, choć kryła ją cisza, poczęta
 W trosk legowisku... Miłość owa, święta
 W swojej zwierzęcej prostocie, powoli,
 Niby pszenica ku ziemi nagięta,
 Gdy grad ją zbije na przepulchnej roli,
 Zmieniała się w ten smutek, co do głębi boli.

L.

Ojciec się starzał... Przed rokiem mniej wzięć
 Mał nawet ciężki wypadek, co w łóżce
 Na „kilka czasów“ go rzucił... „Tysięcy
 Chciał się dorobić niestworzenie boże!
 Jak wół harował — na kogo? Czy może
 Na tego synka? Dyć to dmie się owo,
 Jak wesz na szewku! Mówią i we dworze,
 Za taki na nic! Wystrychnie ich zdrowo
 Na dudków“ — takie po wsi rozbrzmiewa już słowo...

Ll.

„Pewnie, że mają rację!“ — w przystępie
 Żalu i troski, rzekł raz Bartosz żonie;
 „Człek tutaj siedzi, jak djabeł na kępie —
 Boże mi przebac — i bije się w skronie,
 A znikąd rady uczciwej... Na łonie
 To się chuchało, myślący pociechy
 Dożyć się kiedyś... Lepiej, że utonie
 Wszystko od razu... Bóg daruje grzechy —
 A grzechem było piąć się — i — ustana śmiechy“.

LII.

Ale kobiecek żal się było rozstać
 Z myślą, co w sercu wypieściła na dnie:
 „Nie wiem-ci, za co Bóg by miał nas chłostać?
 Bieda bo bieda! jak komu wypadnie;
 A że się ludzie, tak jak koń, na zadnie
 Stawiają nogi i szydzą w swej pysze
 Na świecie różnie-ć się dzieje: Któż zgadnie,
 Co onych czeka?... Toć to książka pisze:
 Pocięte jutro żyto, co się dziś kołysze...“

LIII.

Nie idzie dobrze...“ — rzecze — „jesteś chory,
 Ale ja-ć jeszcze zdrowa, Bogu dzięki,
 I krowy-ś jeszcze nie sprzedał z obory —
 A zresztą człowiek stworzony na męki:
 Będę harować... Każdy dąb ma sęki,
 Nie dziw, że żywot też-ci nie jest gładki
 I że nie wszystko tak idzie od ręki:
 Coś począł, dokończ; porzuć one gadki,
 Harujmy, aż ostatnie będą wisieć szmatki...“

LIV.

I harowali tak zimę i lato,
 Za próg domostwa pędząc niepokoje,
 Nazbyt natrętne... A on, patrząc na to,
 Czuł, jak wdzięczności wzbierały mu zdroje
 W młodzieńczej piersi. Bo wszak-ci ostoje
 Człek ma jedyną w rodzicach, co w męce
 Spędzają dni swe — dla dzieci... Oboje
 Byli mu drodzy, w serdecznej podzięce
 Obojgu też całował spracowane ręce.

LV.

Ale to wiedział, że tęczowych skrzydeł,
 Co w ciszy dumań niesły go nad ziemię,
 Nie da rodzicom; że nie porwie sideł,
 W których ich dusza uwikłana drzemie;
 Myśli, co jemu rozsadzały ciemę,
 Ten duch ich prosty — wiedział — nie podziela,
 Bo skąd się na to zdobyłoby plemię,
 Chowane w nocy, w trosce, bez wesela?
 Więc szukał powiernika, szukał przyjaciela...

LVI.

A wszak to przyjaźń, co ożywia sfery —
 Tak sobie szeptal słowami poety —
 Bez niej nauka to martwe litery,
 I ludzie bez niej to żółtkle szkielety...
 Lecz kto tej zaznał płomiennej podniećy,
 Staje się słońca przejasnym okruczem;
 Przyjaźń ma postać przezczystej kobiety,
 Co sypie na cię rajszych kwiatów puchem,
 Że cziekem już nie jesteś, ale jesteś duchem...

LVII.

Zdawało mu się, że swych myśli brata
 Odnalazł w jakiejś figurze sąsiedzkiej:
 Był to młodzieniec snąc z „wyższego świata“,
 Lecz dobrze nie wiem czy to syn szlachecki,
 Czy fabrykancki lub bankierski... Grecki
 Prawie miał profil; był nadzwyczaj grzeczny,
 Chłopskiej-by nawet nie obraził kiecki,
 Więc z jego strony był Wojtek bezpieczny,
 I stąd też się poczuwał do wdzięczności wiecznej.

LVIII.

Mówił z nim nieraz, zwłaszcza, gdy chodziło
 O koleżeńskie, zwyczajne przysługi:
 Dać coś odpisać, jak Wojtkowi miło,
 Coś podpowiedzieć, gdy zawinił drugi,
 Znieść nawet karę... Na słoneczne smugi
 Myślał więc z sobą wziąć tego młodzieńca,
 Gdzie serca ludzkie krają idej plugi,
 Złoczone blaskiem jutrznianego wieńca,
 I czynią z czлека dążeń bohaterskich jeńca...

LIX.

I raz skończywszy właśnie „Irydjona“,
 Czy bodaj „Dziady“, przed dobrym sąsiadem
 Z przepełnionego jał wylewać łona,
 Co czuł, co myślał; z brylantów diadem
 Uplatał wieszczych, rzekł, że trza iść śladem
 Tych mężów z pieśni; niczem wszystkie straty
 Przy wielkich celach; aż na licu bładem,
 Kiedy tak mówił, róż splonęły kwiaty —
 Wtem sąsiad rzekł: „ja nie wiem, lecz się pytam taty....“

LX.

Coś w dzień następny mój panicz siłowczkiem
 Przywita Wojtka ponad zwyczaj skorem —
 Wszak, mówię, zawsze był grzeczny —: „Z tateczkiem
 O wszystkim zaraz mówiłem wieczorem;
 Lecz tatko na to: zostaniesz doktorem,
 A reszta mrzonki... Dalej też powiadał,
 Że niby dobrym nie poświęcę wzorem,
 Gdy będę z tobą tak brat za brat siadał...
 Że jesteś niby — chłopem; lecz w tem się przegadał“.

LXI.

Czy się przegadał lub nie, od tej chwili
 Wojtek dobrego unikał koleżki;
 Już też nikogo więcej się nie sili
 Prowadzić z sobą na słoneczne ścieżki:
 Stroni od wszystkich... Jak te głogów kierzki,
 Co gdzieś w samotnej rozkwitły ustroni,
 Którą zielone pokrywają meszki,
 Tak jego myśli, kąpiące się w toni
 Niebieskiej, kwitną zdala, pełne dzikiej woni...

LXII.

Lecz człowiek, wiecie, to nie żadne głogi,
 Które od lasu stronią nazbyt dumnie:
 Taką naturę dały nam już hogi,
 Że choćbyś bracie działając rozumnie,
 Zamknął się w sobie, niby w ciasnej trumnie,
 To jeszcze widmo, jak ten mgły obłoczek,
 Wciska się z zewnątrz i szepce: „chodź ku mnie“,
 I ty — posłuchasz, palisz się, jak stoczek,
 Jeżeliś, zwłaszcza, skończył siedemnasty roczek...

LXIII.

Pewnego razu... Lecz wprzód, moi drodzy,
 Nim jeszcze dalszym pofolguję słowom,
 Zanim popuszczę swemu piórnu wodzy,
 Aby was z dolą zapoznać Wojtkową,
 Księdza gosposię przedstawię wam nową —
 Owóż stosowną chwileczkę upatrzę
 I powiem naprzód, że już była wdową,
 Po filozofie, tak, po Dyźmie Wiatrze,
 I że ją odziedziczył ksiądz po swym konfratrze...

LXIV.

W Ponikiewicach mąż jej był dzwonnikiem
 I dzwonił zawsze, w piątki i niedziele:
 Czy komu domek zrobić pod krzyżykiem,
 Czy ochrzcić, czy sute wyprawić wesele,
 Bim, bam, bum Dyżma na wieży w kościele.
 Chłopy, bywało, dobrze płacą za to,
 Więc i mój dzwonnik przed gminą na czele
 Szczycił się krową i bielutką chatą
 I kożuch miał na zimę i surdut na lato...

LXV.

Że był piśmiennym, choć swoje nazwisko
 Zbawienia świętym podpisywał znakiem,
 Więc z swej mądrości zwykł się też chłopisko
 Chęć przed księdzem — przecież nie był żakiem,
 Wiedział, że gwiazdy posiał gestym makiem
 Pan Bóg na niebie, że ziemia to pieczeń,
 Co się na różnie obraca, że ptakiem
 Słoń jest — chciał jeszcze w szale swych docieczeń
 Czy słyszał, jak rośnie trawa, ubezpieczeń.

LXVI.

„Dyć, jegomości“, mawiał do księżulka,
 „Są-ci pyszałki, choć im z za kołnierza —
 No Boże odpuść! jak pan, co to Wółka
 Mu się należy — powrócił z Paryża
 I już nie kłęknie u świętego krzyża,
 A jeno dmie się, a tak dmie się sprośnie,
 Kiej niekatolik, a zaś kawał zwierza.
 O, taki mądry, mówią o tem głośnie,
 A jednak, ba! nie słyszy, jako trawa rośnie“.

LXVII.

„Rośnie, nie rośnie“, jegomość odpowie,
 „Oto się dusza nie trwoży pobożna.
 Prawdziwa mądrość tylko w bożem słowie.
 Tu niechaj szuka spokoju myśl trwożna
 I tu mądrości, a dojść do niej można,
 Gdy się w kościele z kornem czołem stawia
 I rzuca wszystko, nawet pieczeń z różną,
 I na ofiarę — choćby spodnie dawa,
 O, taki słyszy nawet, jako rośnie trawa...“

LXVIII.

Odtąd się Dyżma niczem nie rozczuła,
 Nawet tabaki nie sypie do roga,
 Tylko co może zanosz do Szmula:
 Od krowy, kury do snopka i stoga
 Wszystko to oddał słudze Pana Boga —
 Całą chudobę. A kiedy mu żona:
 „Cóżes to zrobił?“ „Cicho, moja droga!
 Ofiara moja będzie nagrodzona,
 Usłyszę jako rośnie ta trawa zielona...“

LXIX.

I od sąsiada chodzą do sąsiada
 Z szyją, nakrytą kawałem fartucha,
 „No“, i bywało, „mój kumotrze“, gada,
 „Jak trawa rośnie, człek na darmo słucha,
 Trzeba się wyrzec wszystkich pokus brzucha,
 Księdzu ostatni zanieść kęs słoniny,
 Bo oto idzie już królestwo ducha —
 Mawia jegomość —, a od tej godziny
 Usłyszysz człek, jak rośnie trawa wśród darniny“.

LXX.

Lecz niezadługo, jak się często zdarza
 Wszem zapaleńcom, mój dzwoniarz piśmienny,
 O obowiązkach zapomniał dzwoniarza:
 Coś niby łaził, jak gdyby był senny,
 Przychodził późno; często i stajenny
 Księdza proboszcza już idzie, bywało;
 Często, gdy dzwonił, nagle głos brzemienny
 Dzwonów się urwie: to jemu się zdało,
 Że w głosie tym złowieszcze: „a czy słyszać?“ brzmiało.

LXXI.

„Dobrze, mój Dyźma“ ksiądz proboszcz wciąż prawi,
 Dopóki Dyźma dostarczał jałmużny,
 Ale gdy chłopci: „myśma nie ciekawi,
 Jak trawa rośnie“, „Dyźma człowiek próżny,
 Dyźma filozof; niech inny usłuźny
 Będzie wam dzwonnik“, rzecze proboszcz gminie...
 „A żona, księżę?“ — (nos miała podłożny
 I piękne oko między księżmi słynie).
 „A! żona! prawda! z żony zrobię gospodynię...“

LXXII.

I tak się stało... żona na probostwo,
 A on w łachmanach po wiosce się włóczy,
 Za nim dzieciaków, jak jakie paprostwo,
 Powiewa ciżba i ze śmiechem huczy:
 „Patrzta! filozof! niech nas też nauczy
 Swojej mądrości — jak trawa podrasta...
 A gdzie Maryna? U księdza się tuczy...
 Matula mówi: to „harna“ niewiasta
 I pulchna jest, jak w dzieży rosły kawał ciasta...“

PIEŚŃ III.

I.

Hej zaszumiały topole nad drogą!

Hej zaszumiały w żalu i zgryzocie:

Świeżem się liściem poszczycić nie mogą,

Skąpanem w słońca wiosennego złocie.

Wiatr je pozrywał i tysiączne krocie

Rozwiał po martwych zagonach, by pierze!...

Śmierć, co się wije, jak mówią po płocie,

Wkrada się w świata promieniste dźwierze

I wszystką krasę rzuca swej zemście w ofierze.

II.

Więc naprzód zbladło ono słońce żywe,

Co się tak śmiało, jak oko dziewczyny —

Oko, spełnioną miłością szczęśliwe.

Potem się zjawił tej smutnej godziny

W górze niebieskiej szmat obłoków siny

I ponad ziemią zaciężył ołowiem...

A potem zwiędły po rowach darniny,

A potem stał się cały świat pustkowiem,

Aż człeka jego nagość przechodziła mrowiem.

III.

Chłopski dobytek dawno znikł z zagonu,

Dawno w dziurawej spoczął już stodołę...

Niejeden nędzarz zbył się swego plonu

I znów się znalazł w tem zakłętym kole,

Co próżną wiarą śmierzy głodu bole,
Że będzie lepiej z przyszłych sprzętów czasem,

Że szparki posiew, porzucony w rolę,

Zaszumi znowu ciężkich kłosów lasem

I serca rozraduje sypkich ziarn zapasem.

IV.

Tak! pusto dzisiaj i smutno na ziemi!

Wiatr, jak to zwykle bywa w listopadzie,

Dmie od zachodu i tchy wilgotnemi

Bez miłosierdzia, niby wąż, się kładzie

Na nagie drzewa w marnym, chłopskim sadzie,

Syczy we wiśniach, na dół zgina grusze,

Rwie się z jabłonią w uporczywej zwadzie,

Na krzewy głogu sypie dżdżów swych próśze,

Że w mętnych lśnią kropelkach, jak skalane dusze.

V.

Nie wiem, jakimi odmalować słowy

Zagrodę Skiby, co w tej mglistej porze

Do dziwnych tonów nastraja duchowy

Bardon pieśniarza... Ach! serce otworzę,

I jeśli znajdę w niem — nie uczuć morze,

Lecz jedną kroplę o prawdziwej treści,

Wnet ją przeleję do tych słów i złoże

Te proste zwrotki w taki hymn boleści,

Że w nim się wszystek zawód, wszystek trud pomieści.

VI.

Że lży wycisnę ze źrenic słuchaczy,

Jeśli też źródła nie wyschły w ich łonie,

Jeżeli nędza, co swe ślady znaczy

Wczesną starością, co fałduje skronie
I w posiekane, chropowate dłonie
Brudem się wgryza, może znaleźć jeszcze
Odzwięk w ich sercach... Ach! w smutku utonie
Ze mną ich wnętrze! Ach! uczują dreszcze
Na obraz ten pępny, na słowa złowieszcze!

VII.

Jedno mi tylko zostało uczucie,
W które się robak nie wgryzł u korzeni;
Nie ma do niego przystępu zepsucie,
Co tak się w grobie mojej duszy pleni;
Ze wszystkich potęg, co dziś znikły w cieni
Plonących pożądań, jedna postać żywa
Jeszcze się dla mnie, jak ów dzień promieni,
Jeszcze mi źródło żywota odkrywa
I szczęściem mnie obdarza sama nieszczęśliwa.

VIII.

Kształt to przesmutny, o pobladłej twarzy,
Z dziwną boleścią w pogłębionem oku,
Co się tak ogniem tajemniczym żarzy,
Niby głąb ciemna górskiego potoku,
Gdy nad nim bluszcze zwieszają się z boku
Skał prostopadłych, a szczeliną z góry
Przecina tkankę żalobnego mroku
Ostry blask słońca, ten złocistopióry
Posłaniec rozkochanej w światłościach Natury...

IX.

Nie potrzebuję wyciągać swych ramion
Za uchodzącym widmem tej postaci;

Nie potrzebuję, drżący i bez znamion
Męskiego hartu, co się w złudach traci,
Płakać, choć nikt mi ły tu nie zapłaci
Próżno wylanej; o prośbę daremną
Nie potrzebuję jęczeć: „Wy, bogaci
W promień duchowie, pozostawcie ze mną,
Sieroctwa mego chmurę rozewijcie ciemną!”

X.

Ona jest przy mnie! Ona, Litość wielka,
W ucieleśnionych objęciach mnie trzyma;
Jak chemicznego roztworu kropelka,
Wżera się w serce swojemi oczyma.
Piecze ta rana i pierś się rozdyma
Od tłumom sytym nieznaną boleści;
Lice błednieje, jak trawa, gdy zima
Swe przyjdzie pierwszą śnieżycą obwieści,
Jak kwiat ostatni, krasnej pozbawiony treści...

XI.

A przecież, patrzcie! Choć mi szarpie łono
Słowo, co z ust jej wsiąka mi do ucha;
Choć mi się zdaje, że cierni koroną
Skoń mi obwija, gdy, niema i głucha
Na rozkosz ludzką (podobna do ducha,
Co, jak mgła wstawszy z łez i ze krwi świata,
Dla jego ciszy jest ciosem obucha),
Wokół mej głowy swe ręce oplata,
W szczęśliwość moja dusza, w szczęśliwość bogata.

XII.

I rozmiłowan w dziewicy bolesnej,
 Jak ów kochanek, gdy go złamiał zmysły
 U stóp wybranej — jak ów powój wczesny,
 Kiedy się czepia gałęzi, obwisłój
 Nad jego kwiatem, z którego wytrysły
 Zdroje zapachów, zwracam się w jej stronę.
 Chwytam się rąk tych, co mi czoło ścisły,
 Otwieram usta i oddech jej chłonę,
 Choć jeszcze bardziej pali piersi rozpalone.

XIII.

Padam na ziemię i znów się podnoszę.
 W pas obejmuję i, patrząc w te oczy,
 Gdzie tak siekące skrzą mi się rozkosze,
 Całuję usta, gładzę splot warkoczy,
 Co się po szyi, by wąż jaki, toczy;
 Zginam ku sobie i do serca tulę,
 Choć od ran strasznych we krwi własnej broczy;
 Na krągłych piersiach rozrywam koszulę
 I poję się nagością, jak pogańscy króle.

XIV.

I z warg mi bladych płyną słowa pieśni,
 Nie wyśpiewanej dziś jeszcze do końca,
 Rozcierwienionej, jak kolor czereśni
 Kiedy dojrzeje pod działaniem słońca:
 Dziś mnie w swojego przemieniłaś gońca,
 O ty jedyna! o kochanko moja! —
 Przez ciebie stał się ludzkich łez obrońca
 Ze mnie, słabego! Gdzie miecz mój i zbroja?
 Do walki staję chętny, dłoń mnie wiedzie twoja!...

XV.

Z wszystkich gwiazd uczuć, co na duszy niebie
 Zgasły przedwcześnie, jak meteoryty,
 Mam jeszcze, gwiazdo najjaśniejsza, ciebie!
 Blask twój, z krwi, z jęków i z głodu uwity,
 Pierś uszlachetnia, przemienia w błękity
 Głębię ponurą, w której zatopiłem
 Zadanie życia mojego, przeżyty,
 Chory złamany, przesycony zgnilem
 Powietrzem naokoło... Zgrzeszyłem! zgrzeszyłem!

XVI.

Zgrzeszyłem brakiem płomienistej wiary,
 Ty mnie oczyszczasz z śmiertelnego grzechu!
 Niech mnie odbiegna wszystkich pragnień mary!
 Niech ulatują w szalonym pośpiechu!
 Ty w ducha mego dojrzałym orzechu
 Pozostań jądrem nietkniętem! Potęga
 Łzą zroszonego, jak cyprys, uśmiechu,
 Co z ocz twoich tryska, niech mi w serce sięga
 I spaja jego karby, gdy je świat rozpręga...

XVII.

O zostań przy mnie, dopóki duch boży
 Z niebios zamglonych nie spłynie na ziemię
 W dnia jutrzejszego promieniającej zorzy,
 Duch, co żebraków naodziwia plemię,
 Co karmi głodnych, z barów zrzuca brzemię
 Nadmiernej pracy, koi lzy dokoła
 Ach! i zarzeka źródła krwi; co ciemię
 Stermierza, piewcy, myśli apostoła
 Uwalnia z ostrych cierni, wieńcząc w kwiat ich czoła...

XVIII.

I dziś od świata nie pragnę nic więcej,
 Choć mnie dotychczas samym poił jadem,
 Jak ciągle poi tysiące tysięcy,
 Tylko, gdy, zbrojna w zniszczenia diadem,
 Śmierć złoży dłoń na mem licu bładem
 I co znikome we mnie zamknie w grobie,
 Niech dobry człowiek, idąc mogił śladem,
 Nad moją w szczerej wyszepnie żalobie:
 „Tu leży, co wziął Litość za kochankę sobie...”

XIX.

Nie mogę patrzeć, jak się łamią w boju
 Dążeń podniosłych najwybrańsze szyki;
 Jak myśl, trawiona żarem niepokoju,
 Kończy w rozpacz, by wichura, dzikięj;
 Nie mogę patrzeć, jak gasną promyki
 W serc zawiedzionych spochmurniałej głębi;
 Jak tłumią dumnych zwycięzców okrzyki
 Jęk zwyciężonych, jak stada jastrzębi
 Swe szpony zatapiają w kark słabych gołębi.

XX.

Pali mię surdut niezdarty na ciełe,
 Gdy ujrzę lachman na plecach nędzarzy;
 Widok głodnego gasi mi wesele,
 Jeśli się kiedy w mem oku zajarzy;
 Chleb staje w gardle, jak ogień mię parzy,
 Dławi, jak stryczek, gdy pomyślę o tem,
 Że czyjeś życie bez chleba się waży;
 Ciepła izdebka zimnym zlewa potem.
 Gdy wspomnę, że ktoś kończy na mrozie pod płotem.

XXI.

I z całej duszy złorzeczę porządkom
 Świata, że ziaren przepelne ma spichrze
 Dla jednych tylko, złorzeczę zaczątkom
 Bytu, że nie znikł w chaosu prawichrze,
 A tylko zrodził pokolenie, lichsze
 On nędznych płazów — bez serca; złorzeczę
 Samemu sobie, że me skargi; cichsze
 Od jęków świerszcza, nie dotrą, jak miecze,
 Gdzie topią się we własnem sadle żądze człecze.

XXII.

Że nie mam siły, by wstrząsnąć słupami
 Tego przybytku, gdzie kadzidla palą
 W część samolubstwa, gdzie Moloch rękami
 Pozłocistemi broni wstępu żalom
 Wydziedziczonych; gdzie rozpusta, falą
 Zbytku owiana, pieje sobie hymny,
 Co w uraganie dla lez się kryształą;
 Gdzie przekosztownej ambry obłok dymny
 Otacza jej nagości kasztal — na nędzę zimny.

XXIII.

Że sam nie umiem podnieść się do czynu,
 Coby kłos zrodził, jak ta płodna gleba,
 I wydał napój dla tych, którym płynu
 Siłodajnego i strawy potrzeba;
 Że tylko rzucam ku sklepiskom nieba
 Słowa mej pieśni, jak niesforne dziecię,
 O sufit kulki ulepione z chleba...
 Tak! pieśń ma tylko została w przekwicie
 Tej woli, która w wielki czyn przemienia życie!

XXIV.

Tak! z pieśnią tylko idę w wasze chaty
 I opowiadam o wielkiej boleści,
 Która zmroziła szalwijowe kwiaty
 W ogródku chłopskim... Słońce ich nie pieści,
 Mgłą przysłonięte; wicher im szeleści
 Dumę pogrzebną, gdy, zwarzone szronem,
 Złamane, sennie, bez ożywczej treści,
 Giną pod plotem; gdy z sercem zmęczonem
 Padają, aby umrzeć pod gruszą lub klonem...

XXV.

A cóż się dzieje w tej nędznej izdebce,
 Że lud do wnętrza wchodzi i wychodzi
 I powiedleńmi wargi pacierz szepce,
 Lub macha ręką i cicho wywodzi,
 Że tak musiało przyjść, że śmierć, jak złodziej,
 Wszędzie się wciska, a już tam najbardziej,
 Gdzie dla niej zdobycz z kłopotów się rodzi,
 Z trosk, których ludzie nie uniosą twardzi,
 Że śmierć plemieniem chłopskiem przenigdy nie gardzi.

XXVI.

O ścianę, z wapna białego odartą,
 Bijącą w oczy poczerniałej gliny
 Plamy wielkimi, chorągwie oparto.
 Naokół drzewców zwinięte, o siniej,
 Żałobnej barwie: snąc dawnej godziny,
 Przed laty, Bóg wie, jakimi, zapewne
 Były jak heban; dziś zblakły z przyczyny
 Deszczów, co niby rozżalone, rzewne,
 Padały przy pogrzebach, ludziom łzom pokrewne.

XXVII.

Za chwilę drzewce ujmą dłonie silne
 I na wiatr puszcza te kawały płótna,
 Na których znaki widnieją mogilne:
 Śmierć z kosą w rękę, trupia głowa, smutna.
 Przerazająca, pustką ocz okrutna,
 Pod nią w znak krzyża złożone piszczele —
 Ach! na ich widok dusza, ni dąb butna,
 Wzdyć mimowoli zatracą wesele
 I staje się, jak burzą połamane ziele.

XXVIII.

Otwórzcie pochód, wy starsi z gromady,
 Psalm zanuciwszy, jak nam każe wiara!
 Czas już wyruszyć! Nie ma na to rady,
 Płynie ostatnia godzina z zegara!
 Przy chłopskim wózku chudych koni para
 Trzęsie się z zimna, nie im nie pomoże
 Welniana derka, wystrzępiona, stara,
 Co je okrywa! Dżdżysty wiatr na dworze,
 Jak gdyby łyż drobnymi zlewał śmierci łożę.

XXIX.

Chwileczkę jeszcze!... Modlitwę ostatnią
 Nad trumną zmarłej bezzębnymi usty
 Odmawia jedna z sąsiadek, co bratnią
 Spełnia przysługę z nawyku: „Rozpusty
 Nie znała żadnej; nie tonęła w tłustej
 Okrasie życia, więc, o Jezu Chryste,
 Co na nas patrzysz z Weroniki chusty,
 Przyjm ją do Siebie, przez twe łyż kropliste
 Królestwa twego bramy otwórz jej wieczyste!

XXX.

Święty Jakóbie! Pietrze! Wszyscy święci!
 Módlcie się za nią!... I my, chrześcijany,
 Jak tu jesteśmy, za świętej pamięci
 Duszę Rozalii, z zgiętymi kolany
 Zmówmy Ojciec nasz... Ty, Panie nad pany!
 Ty, Ojciec — Boże, co z wielkiej litości
 Z Łazarza zdjąłeś podarte lachmany
 I między swoich posadziłeś gości,
 Weź duszę tę do siebie, niech się piekło złości!..."

XXXI.

I potem żółtkle umoczy kropidło
 W wodzie święconej i pokropi zwłoki,
 Ażeby szatan, z tą twarzą obrzydłą
 Baczący pilnie na duszyczek kroki,
 Uszedł od zmarłej w piekła dół głęboki:
 „Idź precz, zły duchu! Odejdź! nie dla ciebie
 Postanowiona! Za tych lez potoki,
 Choć ciało zimna mogiła pogrzebie,
 Jej duch między owieczki pójdzie spocząć w niebie!”

XXXII.

I „w imię Ojca i Syna i Ducha,
 Świętego. Amen” — po trzykroć powtórzmy,
 Po trzykroć w wodzie, nim się trumna głucha
 Zamknie za zawsze, kropidło zanurzy:
 Niech poświęcona krop'la zmarłej służy
 Na ukojenie grzesznych ran, boć przecie
 Najsprawiedliwszy w tej ziemskiej podróży
 Po siedemdziesiąt siedm razy na świecie
 Utyka w jednej chwili... Tak się to już plecie.

XXXIII.

A cóż dopiero, gdy czeka za szyję
 Obejmie nędza, pokus rodzicielka,
 I krew mu z serca, jak ów upiór, pije;
 Gdy mu na piersiach zacięży, jak belka
 I tak je gniece, że odporność wszelka
 Nim się, jak z jajka owy ptak wykluje,
 Ginie na zawsze?... Lecz twej krwi kropelka,
 Chryste, nędzarzy zbrodnie okupuje
 I światłość wiekiutą najgorszym gotuje.

XXXIV.

A ona, wdowa po Bartoszu Skibie,
 Choć była zawsze, ni święty Antoni,
 Kuszony w puszczy przez lichy, co dybie
 Na przenajczystszych, pod naciskiem dłoni
 Ponurej biedy, przecież się uchroni,
 Bywało, zawsze od grzechów śmiertelnych,
 Z cierniowym wieńcem na zoranej skroni
 Szła zawsze śladem bohaterów dzielnych
 A cichych, w bój odważny z hucem sił piekielnych.

XXXV.

Dziś wyczerpawszy siły do ostatka,
 Padła, jak owa skruszona kolumna,
 Nieszczęsna żona i nieszczęsna matka!
 Oto już nad nią zamknęła się trumna
 Niedługo pośród powszechnego gumna,
 Co chowa w sobie ziarna naszych bytów —
 Śród świętej ziemi wypocznie... I tłumna
 Porośnie trawa na grobie w błękitów
 Wiosennych blasku, lśniących u niebieskich szczytów.

XXXVI.

Oto patrzajcie! stary Jan, w sukmanie,

Co juścić dawne, jak to mówią, Greki
Zapamiętała, w środku izby stanie

I wszystkie kąty żegna już na wieki
Imieniem zmarłej: „Juścić w kraj daleki

Tak nieznany Rozalja odchodzi,

Prędzej od morza cofną się te rzeki,

Prędzej się żyto z kamienia urodzi.

Niż ona wróci do nas“ — tak z łzami wywodzi.

XXXVII.

„Żegnajcie, ściany, które ręką własną

Nieraz bielila! Żegnajcie, obrazy,

Z których ścierała owy kurz, by jasną

Twarzyczkę Matki Najświętszej, bez zinaży

Z Ducha poczętej, oczyścić ze skazy,

Którą nanosił dym lub owad marny!

Juścić te ręce zimne są, jak glazy;

Juścić te oczy, niby obłok czarny,

Na wieki poprzysłaniał ten nasz los bezkarny.

XXXVIII.

Żegnaj, kominku, na którym tę trochę

Codzienną strawę w garnuszku warzyła!

Ty, święty prog, coś widział i płocze

Chwile wesołej młodości, gdy była,

Jako wiewiórka wśród boru, i siła

Ciężkich kłopotów, gdy później ta dola

Na te jej słabe plecy się zwała:

Żegnaj! o żegnaj! Taka boża wola,

Że już cię nie przestąpi ta nasza kumola,

XXXIX.

Opowiadają i w księgach tak pisze,

A i niejeden z nas, żyjących ludzi,

Sam się przekonał, że wskrósć nocną ciszę

Nieraz się zmarły z swej mogiły budzi

I dom nawiedza, gdzie się jeszcze trudzi

Człek mu pokrewny: mąż, żona lub dziecię,

Lecz to się serce nadaremnie ludzi:

W grobie, Rozaljo, swą północ prześpicie,

Wszak tu już obey będą narzekać na życie!...

XL.

Bo któż tu z twoich pozostał w chałupie?

On, z którym wiernie dzieliłaś swe losy,

Mąż twój „pocziwy“, nie żyje! Te trupie

Oczy już dawno wyzariły mu rosy,

A syn?... Nie słuchał, kiedyś słała głosy,

Niby ptak chory, by do gniazda wrócił!

Ha! niech mu wszystko przebaczą niebiosy,

Że cię zakrwawił, że cię tak zasmucił,

Że prawie sam do dołu ciemnego cię rzucił.

XLI.

A teraz do was, kochani ludkowie,

Zwracam to słowo ze serca jedyne:

Nie ważcie sobie tego w swojej głowie,

Jeśli w niej jaką widzieliście winę!

Przebaccie wszystkie urazy w godzinę

Tę ostateczną! niech ma spokój w grobie —

Choć nikt nie słyszał, by na kogo ślinę

Jakiej zawiści w swego życia dobie

Rzuciła!... Tę jej dobroć rozpoznać sobie!...

XLII.

Żegnamy ciebie, ty nasza sąsiadko
 I przyjaciółko, po raz ostateczny!
 Po drodze ziemskiej, którą tobie gładko
 Przebyć nie dano, idź już w kraj ten wieczny,
 Gdzie człek cnotliwy nazawsze bezpieczny!...
 Czas już wyruszyć — tak wyrzeczcie dalej
 Glosem, co niby drży, jak blask słoneczny,
 Kiedy się kąpie w pomarszczonej fali —
 Do ludzi tak wyrzeczcie, którzy we łzach stali.

XLIII.

I wzięli trumnę i na wóz złożyli,
 Na owe snopki dżdżem zroszonej siomy...
 I w tego smutku żałobliwej chwili,
 Który, bezmiaru łez ludzkich lakomy,
 Stał się na wszystkich obliczach widomy.
 „Kto się w opiekę“ zajękło w przestworze!...
 I szli z tą pieśnią silniej, niżli gromy,
 Przenikającą ludzką pierś: ukorzę
 Skroń przed nią — znać oddechy stworzyły ją boże.

XLIV.

O niechaj idą! Niech w ten grób głęboki
 Dłoń ich na trumnę grudki ziemi ciska,
 My w inną stronę zwróćmy swoje kroki!
 Spieszmy w stolicę! Do tego ogniska,
 Z którego promień nauki wytryska,
 Do tego kojca, gdzie cienie ponure
 Śród cuchnącego gnieźdzą się łożyska,
 Tam, gdzie się puszą zbytki pawłopióre,
 Gdzie nędza trędowatą pokazuje skórę.

XLV.

Do tej izdebki wejdźmy, gdzieś pod dachem,
 Małym okienkiem patrzącej w podwórze,
 Na które oko spogląda ze strachem:
 W turmę ją zmienia wazki mur przy murze,
 Ciemną, zatęchłą; ten szmat niebios w górze,
 Przymglony dymu i pary kłębam,
 Podwórka tego nie skąpie w purpurze
 Bożego światła; wilgoć mury plami,
 Zbyt hojnie ściekająca zbrudzonemi łzami.

XLVI.

Cisza tu straszna... Wszak sabaudczyk kruczy
 Z płomiennem okiem, z opaloną szyją,
 Na katarynce nawet nie zahuczy
 W tym wstrętnym kącie... Czasem się pobija
 Brudne kucharki, co tu statki myją,
 Czasem tu handlarz starzyzny się zjawi,
 Chwaląc swój towar szorstką litanją
 Schrypłych wyrazów, albo piaskarz bawi
 Dzieciaki, „pia! pia!“ wrzeszcząc, aż się oko krwawi.

LXVII.

Tu Wojciech Skiba, śmieszny w swojej nędzy,
 Znalazł w izdebce schron Chattertonowy,
 Do lotu chciałby wznieść się stąd coprędzej,
 Chciałby tchów świeżych dla płonącej głowy:
 Życie go w ciężkie zakulo okowy,
 A on daremnie szuka w sobie mocy,
 Aby je zerwać... Piekącemi słowy,
 Jak skry, gdy pożar gdzieś wybuchnie w nocy,
 Złorzeczy swoim losom, swej doli sierocęj.

XLVIII.

Dziś go nie wabią mistrze w spokój płodni,
 Którzy z uśmiechem szli przez burze świata,
 Bez nienawiści w płomiennej pochodni,
 Bez uwitego z skorpionów bata...
 Jak błyskawica jego pieśń skrzydłata
 W Lucyferowe obleka się dźwięki,
 Szarpie i pali — jak wichur, co zmiata
 Czerwone kwiecie z wonnej róży miękkiej,
 Jak ogień, gdy węń rzuca suche drzewa pęki...

XLIX.

„W tym chłodzie życia“ — pisał — „w tym więziennym
 Mroku snąć wszystkie straciłem zapaly:
 Snąć dziś już jestem podobien jesiennym
 Szronom, warzącym bławat, pozostały
 Z dawnej korony jasnej i wspaniałej
 Serdecznych uczuć... Snąć-ci już do końca
 Będę, jak człowiek, wiecznie strupieszaly,
 Przeobojetny na złoty żar słońca —
 Z tej winy nie oczyści mnie żaden obrońca.

L.

Tak! sam to widzę, że jestem ostatni
 Z najostatniejszych, że straciłem skrzydła,
 Co dawniej rwały mnie z poziomej matni
 Ku empirejskim niebiosom... Wędzidla
 Nakłada na mnie lada czeru obrzydła
 I lada zawód hamuje me loty;
 I tak mnie ziemskie okielzały sidła,
 Że nie odczuwam wyższej już tęsknoty,
 Że łoże swoje ścielę zdaleka od cnoty!...

LI.

Wszak nawet miłość, ta twórcza potęga,
 Czystych rumieńców na moje oblicze
 Już nie wylewa... Wszak mi już nie sięga
 Do głębi serca żadna Beatrycze...
 Jeśli się we mnie rozpalą te znicze,
 Wtedy o zgrozo! ściekami kałuży
 Pragnę je zgasić... O! wtedy słodczye
 Nie płyną dla mnie z lilji albo z róży,
 Mnie wtedy zapach zielska trującego durzy...

LII.

Jak więc widzicie! jestem bardzo szczery,
 Niech to przynajmniej winę mą złagodzi,
 Ale na Bacha! na brzemień Wenery,
 Na ową Pallas, co się zbrojna rodzi
 Z mózgu tyrańskich Jowiszów — nie szkodzi
 Wpleść i Amora w bóstw litanję całą,
 Co waszą Psychę rozlubieżniać schodzi,
 Na wszystkie bogi wasze klnę się śmiało,
 Żem nie jest tak ostatni, jakby wam się zdało.

LIII.

Nie wszystko jeszcze zmarło czucie we mnie,
 Nie wszystkie jeszcze przygasły płomienie!
 Mam ja w swem wnętrzu coś, co mi daremnie
 Zwierzęce bodaj rozbudza pragnienie:
 Oto ja chciałbym, aby straszne cienie
 Nad kolumnami waszych świątyni legły
 I, kiedy słodkie zdejmie was marzenie,
 Aby się zewsząd dzikie hordy zbiegły
 I w waszym Panteonie pożogę rozżęgły.

LIV.

Gdy się kościołów waszych zwałą szczyty,
 Gdy w rumowiska zmienia się ołtarze,
 Posąg Jowiszów kopnąłbym rozbity
 I w Apollina i Minerwy twarze
 Rzuciłbym ślinę ze śmiechem... Tak! w parze
 Z szalonym gniewem szedłby śmiech! Na dzieje
 Waszego końca jabym w mściwym żarze
 Nie lę upuścił, jak duch, co boleje,
 Lecz śmiałbym się, ach! śmiałbym, jak się szatan śmie-
 je!!!"

LV.

I tyle było tej pieśni... W jej sercu
 Zamknął poeta, niby w czaszy świętej,
 Krew swego serca: W wiosennym kobiercu,
 Co z czarnej roli i z słońca poczęty,
 Trującej woni zzieleniałe męty
 Łączą się w jedno z woniami zdrowemi:
 Tak i w tych zwrotkach... W ich labirynt kręty
 Rozlał duch jego między promiennemi
 Falami źróń, co tryska z podeptanej ziemi...

LVI.

Oto w tej chwili do izdebki wrócił —
 Zapewne z lekcji... Zmęczony, wpółsenny,
 Upadł na krzesło, książki na stół rzucił,
 Odetchnął z głębi; snąc trud całodzienny
 Zaciężył nad nim, jako ów brzemienny
 Obłok nad sercem czystego jeziora —
 W czas, gdy się rodzi z mgłami duch jesienny,
 Gdy się zniszczenia bezlitośna Pora
 Na trawy, kwiaty, drzewa kładzie, niby zmora.

LVII.

Pomiędzy książki sięgnął i papiery,
 Które na stole zalegały stosem,
 I z ich pośrodka dobył kartek cztery,
 Zbrukanych, żółtych; jał czytać półgłosem
 Nieprawą ręką, grubo i ukosem
 Stawiane słowa; matki to schorzałej
 List był ostatni; niby włos za włosiem
 Po raz już setny rozbierał ten cały
 Różaniec łez, choć serce kraje się w kawały.

LVIII.

A w onym liście było napisane,
 Że matkę straszna ogarnia tęsknota
 Za jedynakiem i że w sercu ranę
 Uczuwa krwawą; że żadna robota
 Już jej nie idzie; że jest, jak u płota
 Samotne zielsko, odkąd mąż jej stary
 Poszedł na wieki; czemu nie dziwota,
 Bo juścić zawsze lepiej jest do pary
 Tę taczkę pchać na świecie, wśród trudów bez miary

LIX.

I potem dalej w liście opowiada,
 Jak niby ojciec umarł ze zmartwienia,
 Że na nie poszła wszystka dobra rada;
 Że, jak pamięta, to od pokolenia
 Nie było w rodzie hańby ani cienia,
 Dopiero własny syn na plecy jego
 Ściągnął wstyd straszny: juści-ć świat się zmienia,
 Że się najlepsi grzechu nie ustrzegą;
 Tak wielką dziś na świecie jest potęga złego...

LX.

Nie chciał Wszechmocny udzielić pociechy,
 Aby w ornacie stanął przed „narodem“;
 Przeto niech wraca do rodzinnej strzechy,
 Gdzie niby ona i z chłodem i głodem
 Walczyć wciąż musi... Pomoże, swem młodem
 Oslodzi życiem starości godzinę...
 Wszystko sprzedane; chałupę z ogrodem,
 Te po chorobie ostatki jedyne,
 Zdołały ledwie ręce utrzymać matczyne...

LXI.

I dalej pisze, jako niby w duszy
 Do tego dzisiaj doszła przekonania,
 Że kiedy chłop się ze zagonu ruszy,
 Książek spragniony, jako deszczu kania,
 Tak się wszystkiego zbędzie zmiłowania
 I w grzech popadnie; a gdy robi w ziemi,
 To ona ziemia grzeszyć mu zabrania,
 Bo przecież każdy powie słowy swemi,
 Że ziemię to już można porównać z świętymi...

LXII.

I w końcu mówi, że winy przebaczy,
 Niech tylko wróci, bo snąć wola boża
 Była we wszystkim, kiedy już inaczej
 Stać się nie mogło, gdy już taka dola
 Zawisła nad nią, że jest już ta rola,
 Na której żadnej uciechy nie wzrośnie
 Kłosek złocisty, ino chwast kąkola,

Tak go znękana, uprasza miłośnię,
 By wrócił, nim w jej wnętrzu wszystka siła pośnie...

LXIII.

Lecz on nie wracał... Dlaczego, sam nie wie...
 Nie wie, dlaczego nie rzucił stolicy,
 Aby przy matce ugasić żarzewie,
 Co mu niezdrowo gorzało w żrenicy;
 Aby się chwycić pluga i kozicy
 I przeorywać te czarne zagony
 Pod ciężki zasiew mączystej pszenicy
 I, jak Bóg kazał, obfitemi plony
 Swej pracy, potem złanej, karmić miliony...

LXIV.

Widać zasady, tej pańskiej mądrości,
 Która na surdut zmienić nie pozwala
 Chłopskiej sukmany, nie umiały w gości
 Zawitać k'niemu... Heliogabala
 Rozkosz, co wewnątrz swym ogniem rozpala,
 Widać, płynęła mu z wiedzy, że dla niej
 Poświęcał nawet ból matki, co zdala,
 Szczęścia ostatniej szukając przystani,
 Padła naksztalt rannej w samo serce łani.

LXV.

W list się wczytywał i wtedy przed oczy
 Tulących losów stawały upiory...
 I wnet się przed nim wspomnienie roztoczy
 Zła, co go pchnęło na dzisiejsze tory,
 Wygnawszy z chaty rodzinnej — za bory

I hen! za lasy, jak mówią; za rzeki
I za te góry, tu, gdzie wiadł, jak z kory
Odarte drzewo schnie od słońca spieki,
Ratunku oczekując — ratunek daleki!

— — — — —
— — — — —

PRZYPISY POETY

NA SŁUŻBIE

„Dziewczyna wiejska, upadająca w mieście na służbie, jest to temat tak zużyty, że chyba nie można w tej mierze powiedzieć już nic nowego“. Podobne zdanie da się słyszeć niejednokrotnie, a jest w nim pewna doza prawdy. Jeżeli jednak pokusiłem się o podjęcie tego samego tematu, to nie ze względu, jakoby wierzył, że powiem tutaj coś nowego. Nie! zdawało mi się tylko, że upadek dziewczyny, jak w niniejszym poemacie, wysoce moralnej, religijnej, przywiązanej do matki i narzeczonego, posiada w sobie tyle tragicznych momentów, iż warto było tematowi temu poświęcić raz jeszcze strof kilkadziesiąt.

Czytelnik, którego nie zraża sam już widok rymowanych zwrotek, a który zechce cierpliwie przedrzeć się przez nie od końca, do końca zrobi może autorowi zarzut, że uciał tam, gdzie podług powszechnego pojęcia rozpocząć się powinien trzeci akt tragedji. Być może, że nie postąpiłem sobie w danym wypadku — jak Niemcy powiadają — „kunstgerecht“, ale mi się nie sprzeniewierzył zadaniu, którem się kierowałem, siadając do niniejszego poematu: pragnąłem tylko — o ile to się da w pieśni — wykazać, że „popędy zmysłowe“ silniejsze są od nabytych „zasad moralnych“. Wprawdzie zasady te grunтую się na popędach, tkwiących również w organizacji a zatem wrodzonych, ale kultura popędów zmysłowych uwarunkowana jest fizycznym rozwojem jednostki, kultura popę-

dów moralnych zaś, rozwojem warunków społecznych. Fatalne skutki jej — w dzisiejszych przynajmniej warunkach społecznych — strasznej konieczności zaznaczyłem jednak, jakkolwiek nie wyczerpująco: w boleści matki i w cierpieniach modlącej się w kościele Jagusi. Być może, że przynajmniej częściowo ulagodzę tem zwolenników „wolnej woli“ i wierzących w niepodzielną, niewyciężoną władzę „zasad moralnych“.

DWAJ BRACIA RODZENI

Lud w Poznańskim nie zupełnie jeszcze zatracił poczucie wspólnej własności, bractwa etc. — zachowało się ono tu i owdzie w całej sile swojej, pomimo, że separacja, przeprowadzona przez rząd pruski około drugiej połowy bieżącego wieku, znosząc gminne pastwiska, torfowiska i t. p., zatarła prawie ostatnie ślady wspólności pod względem ekonomicznym. Lud wspólnemu pożyciu przypisuje wielkie znaczenie etyczne — stanowi to zasadniczą myśl poematu niniejszego. Jeszcze dziś spotykałem w uczciwszych rodzinach chłopskich nieprzewyciężony wstręt do „działów“. Zindywidualizowanie własności niejedną spłodziło zbrodnię: podobny fakt zabójstwa, jak w poemacie, który oddaję w ręce czytającego ogółu, zdarzył się — wprawdzie dawne już temu czasy — w mojej własnej rodzinie: z ręki swego szwagra zginął mój dziad. W poemacie niniejszym szatanem — kusicielem jest kobieta, której zarówno nasz lud jak i słowianin południowy w danych wypadkach przypisuje winę. Południowy słowianin wyraża myśl tę w ogromnej ilości przysłów n. p. „Žene braću dijele“ (kobiety dzielą braci); „tudja krv braću dijeli“ (obca krew braci dzieli), „Gde je mnogo žena, mira u kući nema“ (gdzie dużo kobiet, tam nie ma szczęścia w chacie). „Ova bi

moma kuću rozdijelila“ (owa dziewczyna rozdzieliłaby wspólność domu).

Lasno bi se brate iženili,
Al kad ludje seje zastawimo,
Tudje će nas seje zavaditi,
Baska će nam dvore pograditi.

[Łatwo moglibyśmy się my, bracia, ożenić; ale gdy obce wprowadzimy dziewczęta w dom, wtedy one poróżnią nas ze sobą; pobudują nam domy oddzielne (t. j. doprowadzą do działów)].

„Žmija i žena otvar je jedna“ (żmija i kobieta to jedno) etc. etc. Polskich przysłów nie przytaczam, ponieważ zbyt są znane...

W szczegółowy rozbiór poematu nie wchodzę: czytelnik znający życie ludu choć pobieżnie, sam sobie unaoczní całą sumę *pozornie* małych, *psychologicznie* zresztą uzasadnionych powodów i namiętności, wchodzących tutaj w grę.

SALUSIA ORCZYKÓWNA

Kiedy poemat niniejszy ukazał się po raz pierwszy w druku (w tygodniku warszawskim „Głos“ za lipiec 1889 r.), podniosły się w gronie przyjaciół mojego kierunku poezji tu i ówdzie uwagi, zarzucające „opowiadaniu poznańskiego chłopca“ pewien brak jednolitości w kompozycji, rozwlekłość i zbytnią ilość epizodów. Jakkolwiek mogłem, zanim się zdecydowałem poemat ten wraz z innemi, również drukowanemi już w piśmie warszawskich (w „Głosie“ i „Przeglądzie Tygodniowym“), oddać w osobnej odblacie w ręce czytającego ogółu, pousuwać ustępy zakwestjonowane i poczynić odpowiednie zmiany w częściach pierwszych (bo tylko do pierwszej połowy

„opowiadania“ mogły by się ewentualnie odnosić owe zarzuty), nie uczyniłem tego jednakże z przyczyn następujących: „Opowiadanie“ włożyłem w usta „poznauńskiego chłopca“, chcąc zaś zachować charakterystyczną właściwość opowieści chłopskich, trzeba mi było, jak to mówią, rozpocząć rzecz ab ovo i dawać ustępstwo epizodycznemu traktowaniu rzeczy. Zarzut więc z tego względu mogą mi czynić tylko ludzie, nie znający chłopca i jego natury. Wie o tem „mój przyjaciel, Ignacy Walkowiak“, że opowiadanie jego zbyt jest daleko sięgającym i że porusza zbyt dużo momentów, ale

„...kiedy serce pełne,
To staremu tak się wszystko płata,
Jakbyś widział rozczochną welnę...”

Tak! serce pełne winne temu, że kompozycja stała się w pierwszych częściach „rozwlekłą“; serce winno, że „mój przyjaciel“, nim doszedł do zakomunikowania mi historii nie-szczęśliwej dziewczyny, przytacza całą sumę dalszych nawet przyczyn, które się złożyły na to, że „Salusia“, ofiara nowych stosunków, staje się zbrodniarką — choć nieporozumiałą; serce i otwarta, szczerą naturą kujawskiego chłopca, który, zagadawszy się raz, potrzebuje wygadać się do syta, winne temu, że skalpel chłodnego krytyka-„estetyka“ zwróci się i przeciwko mnie, obiektywnemu spisywaczowi chłopskich wrażeń i pojęć.

Wypadki, stanowiące treść „Salusi Orczykówny“ tyle poruszyły stron w duszy chłopca, nad którym przeważnie zaciężyły, że ściśle „skupienie“ myśli około jednej z ich ofiar było w danym razie po prostu niemożliwym. Zresztą uważny a nie-uprzedzony czytelnik znajdzie pomiędzy najdalszemi nawet epizodami a jądrem poematu najściślejszy związek, epizody

zaś przyjmie on z tem większem — pochlebiam sobie — zadowoleniem, bo odzwierciadlają się w nich wiernie właściwości duszy poznauńskiego chłopca, tak niesłusznie łzonego przez mniej lub więcej szlacheckich pisarzy i pismaków.

Nie o losy też „Salusi“, ale o duszę „mojego przyjaciela“ głównie mi chodziło: W poemacie niniejszym chciałem choć w części wykazać, jaki refleks znalazły w tej typowej duszy chłopskiej znane, ostatnie wypadki dziejowego znaczenia. Atoli wypadki lat ostatnich nie stoją osamotnione: chłop poznauński szuka przyczyn spełniających się w prastarej dzielnicy piastowskiej zmiany stosunków już w latach pięćdziesiątych, to jest w czasach tak zwanej separacji i pierwszych główniejszych, „kulturowych“ prac Prusaków.

Moment ten, uwzględniony przeze mnie w „Dwóch braciach“, wprowadziłem i w pierwsze części „Salusi“: faktycznie wiąże się on też ściśle z dalszemi ustępami opowiadania — jest nieodłącznym od tła poematu, jakkolwiek pozornie spójnia ta może się wydawać luźną. — W jednej jeszcze sprawie chciałbym jeszcze zabrać głos: w poemacie niniejszym znajdzie czytelnik aluzje, które ludziom uprzedzonym, zacierzwionym w pojęciach stronnicych, mogą dać powód do stawienia mnie pomiędzy zwolenników reakcyjnego prądu rasowej nienawiści. Mówię tu o nienawiści względem żydów. Malując jednak wyobrażenia chłopca, dla którego „służba u żydów“ jest wyrazem hańby i ostatniego upodlenia, byłem tylko wiernym kopistą uczuć chłopskich: ideały postępowe, którym holduję otwarcie, wykluczają sympatję dla wszelkich brutalnych nienawiści. Zresztą chłop poznauński, odnosząc się do żydów niezbyt przyjaźnie, ma po części słuszość: zgermanizowany żywił ten, jak wszyscy oddani służbie silniejszych, jest w Poznauńskim daleko więcej plemieniu polskiemu wrogim, aniżeli Niemiec z krwi i kości.

POSŁOWIE TOMU IV

Utwory, zawarte w niniejszym tomie, pojawiały się w czasopiśmie między rokiem 1887—1893 łącznie pod rozmaitemi nazwami: jako „Obrazki chłopskie“, „Echa z Poznańskiego“, „Ze Śląska“, „Ze swojskiej flory“ i t. p. Spora ich część, jak to w spisie rzeczy podajemy, została napisana w 1888 i 1889 roku. Kilka z nich ukazało się w tomiku „Anima Lachrymans“. Dopiero w wydaniu zbiorowem Bernackiego znalazły się one wszystkie w wydaniu książkowem poraz pierwszy. Tam też poraz pierwszy w książce ukazały się fragmenty „Wojtka Skiby“, którego w całości nie zdołali wtedy ani poeta ani wydawca odszukać, jedna część, jako słaba artystycznie na żądanie poety, pozostała niedrukowana i znajduje się obecnie w Zakładzie im. Ossolińskich. Tekst wszystkich Obrazków i Gawęd, zawartych w tomiku „Anima Lachrymans“ z r. 1894 i większości tych, które zdołałem porównać z pierwodrukami, nie różni się niczem z tekstem w wydaniu Bernackiego. W tej formie je też wszystkie tu podajemy. Pomnażanie „Wojtka Skiby“, dość rozulekłego o ten fragment, który poeta sam usunął, nie uważałem za wskazane, ponieważ nie uświetni on ani nie wyjaśni w niczem twórczości poety.

Najwcześniejsze utwory Kasprowicza są czysto liryczne. Najpierw daje On wyraz swoim uczuciom, tęsknotom, nastrojom, swej wierze w przyszłość i swemu buntowi. Epicko-naturalistyczna postawa w jego twórczości jest czemś wtórnem. Rzecz to naturalna:

trzeba już było wyzwolić się psychicznie ze środowiska chłopskiego, trzeba już było pewnej orientacji w budzącym się ruchu naturalistycznym, aby spojrzeć na świat chłopski oczami malarza rodzajowego. Odgrywając w tej twórczości rolę już pewne intencje dydaktyczne, jak świadczą choćby przedmowy i komentarze autora, nie jest więc ona tak bezpośrednią jak w najwcześniejszych poezjach. Jest w tych utworach również i mimowolna naiwność młodego autora, ale błędem byłoby przypisywać ten naiwny, czy niedołężny sposób myślenia postaci młodemu twórcy, jak to czynili niektórzy współcześni krytycy. Wszak mamy tu przed sobą obrazki naturalistyczne, rodzajowe, w których wszystko: krąg myśli i sposób wypowiedzania się harmonizuje z otoczeniem. Dziś z perspektywy lat, gdy widzimy jasno, ile schematycznej dadyktyki, idealizacji, sentymentalizmu, albo też, przy upadaniu w drugą ostateczność, przejawiania i pasji do trywialności i drastyczności było w sztuce naturalistów — ocenić możemy istotny naturalizm takich pisarzy jak Kasprówicz lub Dygasiński. Wartość tych opowiadań jest rozmaita, tak jak i ich rodzaje. Obok impresyj liryczno-opisowych mamy skrzętnie wypracowane naturalistyczne minjaturki, rozwlekłe, niekiedy niezbyt jasne, gawędy, całkiem przedmiotowe, to znów subiektywno-dydaktyczne opowiadania, a wreszcie utwory o charakterze balladowo-dramatycznym. Większą wartość artystyczną od gawęd mają te naturalistyczne minjaturki, pełne liryzmu, jak n. p. znany z I tomu cykl „Z chałupy“. Wyżej też z pośród utworów naturalistycznych, stoi od gawęd dramat, „Świat się kończy!“. Ale też pisarze, żyjący tak z twórczością poety jak Wł. Kozicki i Z. Wasilewski zauważyli dawno, iż dramat odgrywa dziwną i oryginalną rolę w pochodzie twórczym poety: staje się on koroną i syntezą pierwiastków twórczości poprzedniego etapu. Chronologicznie biorąc „Świat się kończy!“ nie jest, o ile z dat druku sądzić można, ostatnim z utworów naturalistycznych, będzie nim dopiero „Bunt Napierskiego“, ale już

jest wyrazem opanowania metody naturalistycznej. Może on służyć czytelnikowi za rodzaj wprowadzenia w ten zawity las gawęd. Dlatego też umieściliśmy go w poprzednim tomie; nie przeczyło to o tyle zasadzie chronologicznego układu, że niektóre gawędy były pisane po tym dramacie. Różnorodność tych obrazków ma swoje znaczenie. Trudno takie postaci jak Jewka Orliczka lub Maciej Kosarczyk nazywać typami, mamy tu przed sobą różnorodne indywidualności i właśnie bogactwo artystyczne tych utworów polega na tem, że Kasprówicz, mając w pamięci mnóstwo konkretnych scen, wolnym był od tego mimowolnego schematyzowania, z którym się spotkać można w dziełach pisarzy, wychowanych w innej sferze, znających chłopów tylko z szeregu dorywczych obserwacji i intuicyjnych wniosków w ich życie. Ciekawem jest słownictwo i styl tych utworów rodzajowych, szeroka skala języka, wzbogaconego mnóstwem zwrotów gwarowych, porównań, określeń istic ludowych, jędrnych, dosadnych, obrazowych. Niektóre utwory, szczególnie „Wojtek Skiba“ i „Hanka Olpińska“, obfitują w pierwiastki subiektywne, autobiograficzne.

S. K.

SPIS RZECZY TOMU IV

I OBRAZKI

	Str.
I Na rozdrożu, 21/XI 1888 r. w Szymborzu . . .	7
II W karczmisku, 24/XI 1888 r. w Szymborzu . . .	12
III Pod Krzyżem, pd. 1886/7 r.	19
IV Szły zbierać kłosy, 8/XII 1888 r. w Szymborzu .	26
V Ostatnia pociecha, 23/II 1889 r. we Lwowie .	30
VI Z nizin, pd. 1887 r.	35
VII Szwaczka, pd. 1887 r.	43

II Z FLORY SWOJSKIEJ

I Rumianek pospolity, 5/XII 1888 r.	51
II Niezapominajka, 3/XII 1888 r.	56
III Bieluń pospolity, 27/I 1889 r. we Lwowie . . .	62
IV Psianka, 29/I 1889 r. we Lwowie	67
V Żmijowiec pospolity, 2/II 1889 r. we Lwowie .	74

III TYPY I GAWĘDY

I Król Lear z Biedaczewa, pd. 29/XI 1888 r. . .	83
II Rudawski, pd. 1893 r.	89
III Maciej Kosarczyk, pd. 1893 r.	98
IV Hanka Olpińska, pd. 1894 r.	107
V Marcin Szafran, pd. 1891 r.	118
VI Jewka Orliczka, 15/II 1889 r. we Lwowie . . .	127
VII Na służbie, 16/VI 1890 r.	140

	Str.
VIII Dwaj bracia rodzeni, pd. 1889 r.	171
IX Salusia Orczykówna, ustęp III 20/XII 1888 r.,	208
ustęp V 6/X 1888 r. w Szymborzu	

IV WOJTEK SKIBA

Pieśń I	267
Pieśń II	293
Pieśń III	318

Przypisy poety.	341
-------------------------	-----

VI Posłowie IV tomu	347
-------------------------------	-----